

NR 11 (46)  
listopad  
2004

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



Kontrwywiad  
i dziennikarze

IPN – powinni  
tego zabronić!

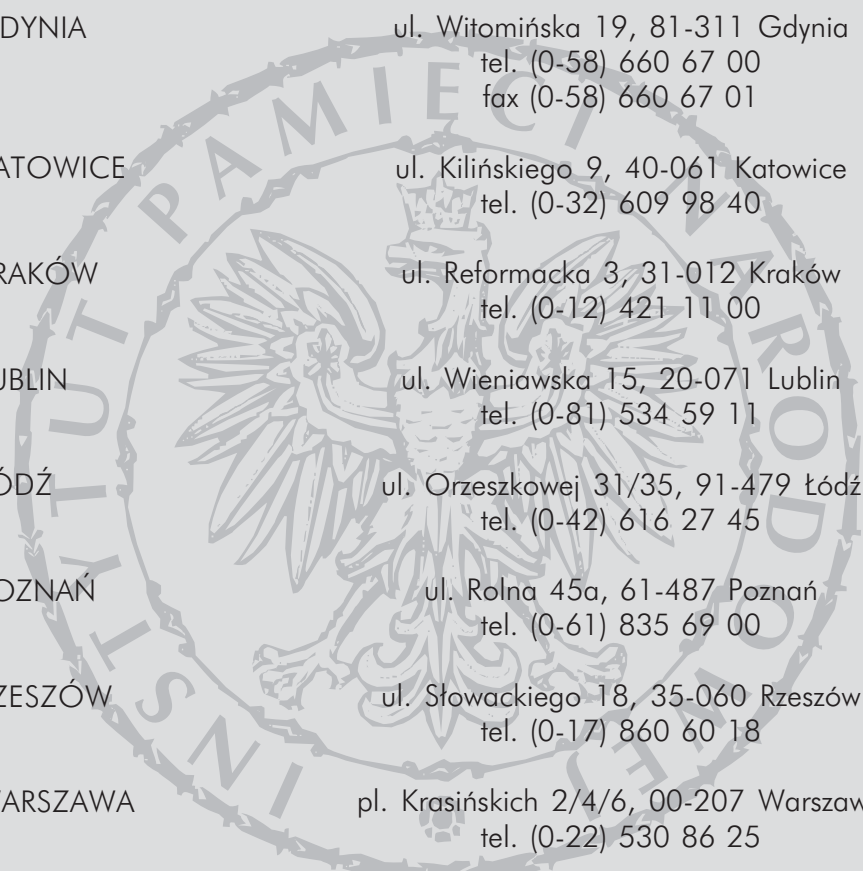
ISSN 1641-9561



9 771641 956001

numer indeksu 374431  
nakład 3000 egz.  
cena 6,50 zł (w tym 0% VAT)

# ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

## BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Bułhak (redaktor naczelny),

Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,

Bartłomiej Noszczak, Barbara Polak, Jan M. Ruman

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Korekta: Anna Kaniewska

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Tel. (0-22) 581 89 24, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: [Barbara.Polak@ipn.gov.pl](mailto:Barbara.Polak@ipn.gov.pl)

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji

ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

# BIULETYN

## INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 11 (46)  
LISTOPAD  
2004

### SPIS TREŚCI

#### ■ POLEMIKI

Krzysztof Persak – **IPN – Powinni tego zabronić!** ..... 4

#### ■ ROZMOWY BIULETYNU

**Wszystko pod kontrolą** o inwigilacji zachodnich korespondentów  
z Krzysztofem Bobińskim, Bernardem Margueritte’em  
i Krzysztofem Persakiem rozmawia Barbara Polak ..... 18

#### ■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Janusz Wróbel – **Powrót profesora Infelda** ..... 37  
Krzysztof Persak – **Kontrwywiad i dziennikarze** ..... 48  
Waldemar Franciszek Wilczewski – **„Albion” i żubry** ..... 62



#### ■ DOKUMENTY

Andrzej Paczkowski – **Bardzo krótki słownik wywiadu** ..... 67  
Robert Witalec – **„Kos” kontra UPA** ..... 72  
Marek Gałęzowski – **Literaci dla PPR** ..... 76

#### ■ RELACJE

Chris Niedenthal – **Fotoreporter komunizmu** ..... 79

#### ■ LISTY

**Nie podawać – nie dopuszczać – eliminować...** ..... 92

#### ■ WSPOMNIENIA

**Śp. Tomasz Strzembosz (1930–2004)** ..... 95



Zdjęcie na okładce: Tomasz Atkins w towarzystwie zagranicznego dziennikarza. Zdjęcie operacyjne wykonane 19 marca 1959 r. pod Grand Hotelem w Warszawie przy ul. Kruczej, fot. AIPN.



# Wrzesień 2004

- 1 września **Wystawa „Z największą brutalnością...». Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień–październik 1939 r.**, przygotowana przez Biuro Edukacji Publicznej IPN i Niemiecki Instytut Historyczny, została otwarta w Bibliotece Stanistawowskiej w Zamku Królewskim w Warszawie. Wystawę otworzył prof. Leon Kieres. Następnie zabrali głos: prof. Klaus Ziemer z NIH, Włodzimierz Cimoszewicz, minister spraw zagranicznych, prof. Władysław Bartoszewski oraz prof. Lech Kaczyński, prezydent Warszawy.
- 3 września **W 65. rocznicę bitwy w obronie Gór Borowskich** OBEP Łódź i Muzeum Regionalne w Bełchatowie przeprowadziły V terenową lekcję historii. Zajęcia odbyły się w Borowej pod pomnikiem ku czci żołnierzy poległych we wrześniu 1939 r. oraz w Grocholicach.
- 6 września **Konferencja naukowa „Dekret o reformie rolnej 6 IX 1944 r. Założenia. Realizacja. Skutki”** i wystawa „Dekret o reformie rolnej po 60 latach. Dokumenty i świadectwa z czasu wygnania” zostały zorganizowane w poznańskim Centrum Kultury „Zamek”. Wystawę i konferencję przygotowali wspólnie OBEP Poznań i Polskie Towarzystwo Ziemiańskie Oddział Wielkopolski. Uroczystego otwarcia wystawy w Holu Parterowym Zamku dokonali Dyrektor CK „Zamek” Marek Raczak, Prezes Oddziału Wielkopolskiego PTZ Wojciech Kęszycki, zastępca prezesa IPN Janusz Krupski oraz dyrektor poznańskiego Oddziału IPN Ireneusz Adamski.
- 7 września **Wystawa „Obraz wroga w propagandzie PRL”** przygotowana przez OBEP Łódź została zaprezentowana w muzeum w Koszalinie. W otwarciu uczestniczyli: wicedyrektor muzeum Anna Mosiewicz oraz dyrektor Oddziału IPN w Gdańsku Edmund Krasowski. Kamil Rutecki z OBEP Gdańsk przedstawił przesłanie wystawy, a także schemat działania aparatu propagandowego w PRL.
- 9 września **Z przedstawicielami Rady i Zarządu Federacji Rodzin Katyńskich**, skupiających środowisko z kraju i zagranicy, spotkali się: prof. Leon Kieres, prof. Witold Kulesza, dyrektor GKBZpNP, oraz prokuratorzy Głównej Komisji. Celem spotkania było poinformowanie Federacji o wynikach moskiewskich rozmów przeprowadzonych przez prezesa IPN z Głównym Prokuratorem Wojskowym Federacji Rosyjskiej w sprawie śledztwa dotyczącego Zbrodni Katyńskiej. Władze Federacji Rodzin Katyńskich poparły dotychczasowe działania Instytutu, zmierzające do uznania przez prowadzącą śledztwo prokuraturę rosyjską Zbrodni Katyńskiej za zbrodnię ludobójstwa, oraz zadeklarowały swoją pomoc w przyszłym śledztwie polskim. Dr hab. Paweł Machcewicz, dyrektor BEP, przedstawił dotychczasowy dorobek badawczy i edukacyjny Instytutu dotyczący Zbrodni Katyńskiej.
- **Uroczystość wręczenia dyplomu i medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”** odbyła się w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie. „Sprawiedliwi” i ich rodziny spotkali się z ambasadorem Izraela Davidem Pelegiem oraz prof. Leonem Kiersem.
- 10 września **Wystawa „Zwyczajny resort. Ludzie i metody bezpieki 1944–1956”** przygotowana przez warszawski OBEP została otwarta w Muzeum Regionalnym w Kościanie. W wernisażu uczestniczyli m.in. starosta powiatu kościańskiego Andrzej Jęcz, wicestarosta Michał Jurga oraz zastępca burmistrza Kościana Sabina Bresińska. Goście wysłuchali krótkiego wykładu na temat funkcjonowania aparatu bezpieczeństwa w latach powojennych, który wygłosiła Agnieszka Łuczak, pracownik OBEP Poznań. Po wystawie oprowadził zebranych dyrektor muzeum Eugeniusz Śliwiński.
- **Wystawa „Stan wojenny – spojrzenie po dwudziestu latach”** została pokazana w Muzeum Ziemi Rawickiej w Rawiczu. Podczas wernisażu Przemysław Zwiernik, pracownik OBEP Poznań, wygłosił referat na temat stanu wojennego w dawnym województwie leszczyńskim.
  - **Wystawa „Życie codzienne w okupowanej Wielkopolsce 1939–1945”** przygotowana przez OBEP Poznań została otwarta w Muzeum Regionalnym w Wągrowcu. Wśród gości znaleźli się m.in. wicestarosta powiatu wągrowieckiego Michał Piechocki, burmistrz Stanisław Wilczyński, wójt gminy Przemysław Majchrzak oraz nauczyciele i przedstawiciele mediów. O realiach życia w okupowanej Wielkopolsce, a także o działalności IPN mówił dr Jan Miłosz, kierownik Referatu Badań Naukowych w poznańskim OBEP.
- 14 września **Główna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej planuje zakończenie wstępnego śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej we wrześniu b.r.** – poinformował prezesa IPN Władimir Siedych, chargé d'affaires Ambasady Federacji Rosyjskiej. W związku z tym Główna Prokuratura Wojskowa FR uważa za niecelowe przyjazd w chwili obecnej przedstawicieli polskich do Moskwy w celu zapoznania się z „aktami sprawy karnej Nr 159 (w sprawie śmierci obywateli polskich wiosną 1940 r.)”.
- **Prezes IPN poinformował prezydenta RP o inicjatywie powołania Komitetu Honorowego Obchodów 65. Rocznicy Zbrodni Katyńskiej.** W swym wystąpieniu prof. L. Kieres napisał m.in.: „Mord ten, dokonany na tysiącach polskich oficerów, policjantów i przedstawicieli inteligencji, jest symbolem sowieckich zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu”.
  - **Drugie spotkanie prezesa i kierownictwa IPN z przedstawicielami rumuńskiej Narodowej Rady Badań Archiwów Policji Politycznej Securitate (CNSAS)** odbyło się w Warszawie. Delegacji Rumuńskiej przewodniczył prezes prof. Gheorge Onișoru. W spotkaniu uczestniczył również Zastępca Rzecznika Interesu Publicznego Krzysztof Lipiński.
  - **Wystawa „Sowieckie piekło 1939–1956”** przygotowana przez OBEP Poznań została otwarta w Miejskim Domu Kultury w Policach. W otwarciu uczestniczyli burmistrz Stanisław Diakun, Małgorzata Machałek z OBEP Poznań, dyrektor MDK Anna Ryl oraz przedstawiciele Zachodniopomorskiego Związku Sybiraków – Stefania Myślicka, Tadeusz Szumowski i ks. Robert Witkowski.

- 16 września **Wystawa „PRL – tak daleko, tak blisko...”** przygotowana przez BEP i warszawski OBEP została otwarta w Krakowie podczas 17. Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich (15–18 września 2004 r.). BEP współorganizował także dyskusję panelową zatytułowaną „Czas wielkiego przelomu: społeczeństwo, gospodarka i kultura państw Europy Środkowo-Wschodniej 1989–1990”.
- 17 września **Wystawę „Sowieckie piekło 1939–1956”** przygotowaną przez OBEP Poznań otwarto w Muzeum Regionalnym w Jarocinie, w Skarbczyku. W wernisażu uczestniczyli burmistrz Jarocina Adam Pawlicki i jego zastępca Robert Kazimierzczak i Witosław Gibasiewicz oraz przewodniczący rady miejskiej Stanisław Martuzalski, a także radni, przedstawiciele Związku Sybiraków i Rodziny Katyńskiej.
- 21 września **Wystawa „Arcybiskup Ignacy Tokarczuk – Kościół, władza, opór społeczny”** przygotowana przez OBEP Rzeszów została pokazana w domu rekolekcyjnym Konferencji Episkopatu Polski „Księżówka” w Zakopanem. Wystawa przedstawia sylwetkę i działalność ks. abp. Ignacego Tokarczuka oraz dzieje kierowanej przez niego diecezji przemyskiej w latach 1966–1989.
- 22 września **Spotkanie z prof. Normanem Daviesem** odbyło się w ramach Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota” w gmachu IPN. Sesję rozpoczął prof. Leon Kieres, przedstawiając postać i dorobek naukowej historyka z Wielkiej Brytanii oraz dziękując mu za popularyzację historii Polski w świecie. Dyskusję o wydanej ostatnio książce „Powstanie ‘44” poprowadził prof. Jerzy Eisler, dyrektor warszawskiego OBEP.
- 23 września **Rozstrzygnięcie II edycji konkursu historycznego dla nauczycieli „Drogi do wolności”**. Celem konkursu zorganizowanego przez OBEP Gdańsk było poszukiwanie i popularyzacja najciekawszych metod dydaktycznych w nauczaniu najnowszej historii Polski.
- **Wystawa „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”**, ukazująca pomoc udzielaną przez Polaków żydowskim mieszkańcom Rzeszowszczyzny w latach 1939–1945, przygotowana przez OBEP Rzeszów, została otwarta w Samorządowym Ośrodku Kultury w Nowej Dębie.
- 25 września **Rajd „Szlakiem batalionu „Zośka”** odbył się w Warszawie. Pracownicy IPN opowiadali uczestnikom o przebiegu walk i zaprezentowali uzbrojenie obu walczących stron. Rajd zakończył się spotkaniem z żołnierzami batalionu „Zośka” w budynku Liceum im. S. Batorego, w którym uczyło się wielu żołnierzy Grup Szturmowych.
- **Sesja historyczna upamiętniająca 65. rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego** odbyła się w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego. Zorganizowały ją: Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i OBEP Wrocław.
- 28 września **Rozmowa premiera Republiki Estonii Juhana Partsa z prof. Leonem Kiersem** odbyła się w siedzibie IPN w Warszawie. W spotkaniu z delegacją estońską uczestniczyli m.in. zastępca prezesa IPN prof. Witold Kulesza, Janusz Krupski i Grzegorz Ciecierski oraz Bernadetta Gronek, dyrektor BUiAD, i Władysław Bułhak, zastępca dyrektora BEP. Prezes IPN przedstawiał premierowi Estonii historię Instytutu oraz działalność trzech pionów: śledczego, archiwalnego i naukowo-badawczego. Premier Estonii Juhan Parts wyraził zainteresowanie pracami IPN oraz możliwością współpracy Instytutu z estońskimi partnerami.

Opracowali: Elżbieta Duda, Michał Durakiewicz i Artur Gut

## STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	wrzesień 2004 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	7	884
GDAŃSK	13 (8* + 2**)	2390 (755* + 292**)
KATOWICE	20	1681
KRAKÓW	12	1736
LUBLIN	23	806
ŁÓDŹ	11	873
POZNAŃ	14	1607
RZESZÓW	16	1059
WARSZAWA	19	1739
WROCŁAW	16	1139
BUiAD	44 (2***)	1656 (114***)
KONSULATY	1	253
RAZEM	200	15 823
WNIOSKI ZREALIZOWANE		<b>13 791</b>

wnioski przyjmowane w delegaturach: \*Bydgoszcz, \*\*Koszalin, \*\*\*Radom



# IPN – POWINNI TEGO ZABRONIĆ!

**Niewątpliwie działalność IPN nie jest doskonała, a krytykowana przez Andrzeja Romanowskiego ustawa o IPN ma wiele wad. Można by zapewne napisać równie długi artykuł krytykujący sposób funkcjonowania IPN. Jednak to, co napisał Romanowski (IPN - bezprawie i absurd, „Gazeta Wyborcza”, 25–26 IX 2004 r.), jest krytyką nierzetelną i głęboko nieuczciwą. Jego artykuł to nawet nie pamflet, to paszkwil.**

Tekst Romanowskiego jest wściekłym atakiem na Instytut Pamięci Narodowej, dotyczącym wszystkich aspektów działalności tej instytucji. Argumentacja autora jest w większości tendencyjna i demagogiczna. Nie cofa się on przed manipulacją, podawaniem fałszywych danych, zestawianiem wyrwanych z kontekstu cytatów i przekręcaniem ich sensu. Wielokrotnie formułuje gołostowne oskarżenia IPN o łamanie prawa, nie wskazując konkretnych przykładów ani nie wyjaśniając, jakie przepisy prawa i w jaki sposób miałyby być jego zdaniem naruszone. Zabiegi mające na celu zdyskredytowanie IPN autor stosuje często już na poziomie używanego języka. Wielokrotnie w miejsce rzeczowych argumentów używa wykrzykników i dramatycznej (acz przy bliższym oglądzie – nielogicznej) retoryki. Nie cofa się też przed sformułowaniami po prostu obraźliwymi dla Prezesa i pracowników IPN. Co znamienne, w swoim zacierzewieniu autor stosuje niejednokrotnie argumentację wewnętrzną sprzeczną. Niektóre jego zarzuty są tak pokrętne, że niezrozumiałe.

## „Dzika lustracja”

Autor wielokrotnie twierdzi, że działalność IPN prowadzi do „dzikiej” i „bezprawnej” lustracji. Przypuszczam, że Romanowski celowo używa tego wywołującego różne emocje określenia dla zdyskredytowania IPN. Utożsamianie udostępniania przez IPN akt komunistycznych organów bezpieczeństwa<sup>1</sup> z lustracją jest argumentem chybionym, a mówienie o „IPN-owskiej lustracji” – nadużyciem. Obie instytucje rządzą się innymi prawami i służą innym celom. Zasadniczym przedmiotem procesu lustracyjnego jest nie tyle fakt współpracy z SB (to sprawa wtórna), ale kłamstwo na temat tej współpracy popełnione przez osobę zobowiązaną przez prawo do jej ujawnienia. Negatywne konsekwencje prawne (utrata pełnionego stanowiska i utrata zdolności do zajmowania stanowisk publicznych przez 10 lat) wiążą się właśnie z ewentualnym kłamstwem i dlatego sprawa jest rozstrzygana na gruncie postępowania karnego oraz procesu sądowego. Sama współpraca z SB nie jest – z punktu widzenia prawa – oceniana negatywnie i nikt z tego powodu nie ponosi konsekwencji. Nie ma więc powodu, aby kwestia ewentualnej współpracy agenturalnej osób niepełniących stanowisk określonych w tzw. ustawie lustracyjnej była rozstrzygana z zastosowaniem rygorów postępowania karnego. Osobie pomówionej o współpracę agenturalną służą nato-

<sup>1</sup> Dalej, na zasadzie *pars pro toto*, będę posługiwał się skrótem SB. Należy jednak pamiętać, że IPN udostępnia dokumenty wytworzone zarówno przez „cywilne”, jak i wojskowe organy bezpieczeństwa państwa (m.in. UB, SB, Informację Wojskową, WSW), a także akta sądowe i prokuratorskie.

miast środki prawne określone w przepisach kodeksu cywilnego regulujących ochronę dóbr osobistych.

IPN udostępnia osobom inwigilowanym/rozpracowywanym przez SB („pokrzywdzonym” – termin użyty w ustawie jako określenie tych osób) dotyczące ich dokumenty, a na ich żądanie ujawnia tożsamość agentów, którzy na nie donosili, oraz funkcjonariuszy SB, którzy je rozpracowywali. Romanowski oburza się na to, że „nic nie jest tajne”, że pokrzywdzeni „mogą czytać akta w IPN, wyciągać wnioski, poznawać wszelkie nazwiska” oraz że nie ma zakazu, aby poznane informacje upubliczniali. Należy powiedzieć wprost, że tak jest w istocie i na tym właśnie – między innymi – polega sens istnienia IPN. Taki był wyraźny i świadomy zamiar ustawodawcy. I jest to rozwiązanie słuszne.

Ponieważ Andrzej Romanowski – poza słowami świętego oburzenia – nie tłumaczy, na czym polega nieprawidłowość tego rozwiązania, a zwłaszcza, jak jego zdaniem być powinno, trudno zrozumieć istotę jego zarzutu, a tym bardziej z nim polemizować. Należy jednak rozważyć implikacje kwestionowania przez autora rozwiązań przyjętych w art. 32 ustawy o IPN<sup>2</sup>. O co właściwie chodzi Romanowskiemu?

Czy autor w ogóle sprzeciwia się udostępnianiu osobom, które były obiektem inwigilacji/rozpracowania przez SB, dotyczących ich dokumentów? Ma do tego dobre prawo, ale jeśli tak, powinien swój pogląd sformułować wprost. Takie stanowisko byłoby jednak niesłuszne. W demokratycznym państwie obywatele mają prawo do prawdy, mają prawo poznać informacje, jakie na ich temat zbierały organy represji państwa totalitarnego. I nie jest to „wynałazek” polski, ale zasada przyjęta przez wspólnotę międzynarodową. W 1997 r. na zlecenie UNESCO Międzynarodowa Rada Archiwalna opraco-

<sup>2</sup> Art. 32 ust. 1 ustawy o IPN stanowi: „Jeżeli w istniejących i dostępnych dokumentach, w które pokrzywdzony miał wgląd lub otrzymał ich kopie, znajdują się nazwiska funkcjonariuszy, pracowników lub krytonimów współpracowników organów bezpieczeństwa państwa, którzy zbierali lub oceniali dane o nim, lub tych, którzy prowadzili tych współpracowników, to – na żądanie pokrzywdzonego – należy mu podać nazwiska oraz dalsze dane osobowe tych funkcjonariuszy, pracowników i współpracowników, jeżeli można je jednoznacznie określić na podstawie dokumentów danego organu bezpieczeństwa. Przepis ten stosuje się również do innych osób, które denuncjowały pokrzywdzonego”.



wała standardy postępowania ze spuścizną archiwalną organów bezpieczeństwa upadłych reżimów represyjnych. Raport na ten temat podkreśla m.in. prawo obywateli do prawdy, w tym prawo do pełnej wiedzy o działalności organów represji; prawo obywateli do identyfikacji osób odpowiedzialnych za przestępstwa przeciwko prawom człowieka; prawo do historycznych badań naukowych<sup>3</sup>. Czyżby autor chciał kwestionować te pryncypia?

Odnoszę wrażenie, że w tle oburzenia Romanowskiego pobrzmiewa dezaprobata dla tych pokrzywdzonych, którzy chcą się zapoznać z materiałami SB na swój temat i chcą się dowiedzieć, kto na nich donosił. To kwestia bardzo indywidualna – dla niektórych ludzi jest to ważna sprawa, inni w ogóle nie czują takiej psychicznej potrzeby. Jednak czynienie zarzutu ludziom, którzy chcą skorzystać ze swojego prawa do prawdy, wydaje mi się nieprzyzwoite.

Być może autor jest przeciwny tylko temu, by na żądanie pokrzywdzonych podawano im dane donosicieli i ubeków? Czy jednak można odmówić pokrzywdzonym prawa do wiedzy na ten temat? Jak powiedziano powyżej, mają oni do niej moralne prawo. Nawet jednak gdyby IPN nie miał obowiązku rozszyfrowywania pseudonimów tajnych współpracowników SB, jest rzeczą niewątpliwą, że w bardzo wielu przypadkach z samej treści dokumentów – zestawiając ją z faktami z własnego życiorysu – pokrzywdzeni mogą ustalić tożsamość donosicieli. I nikt nie może im zabronić, by tą wiedzą dzielili się z innymi. Aby to wykluczyć, należałoby w ogóle odmówić pokrzywdzonym prawa do wglądu w dokumenty. Wydaje się więc, mimo wszystko, lepszym rozwiązaniem, jeżeli tożsamość tajnych współpracowników będzie (na żądanie pokrzywdzonych – przymusu nie ma!) weryfikowana przez IPN na podstawie dostępnej dokumentacji niż pozostawiona domysłom. Zgodnie z art. 32 ustawy informacji takiej można udzielić, jeżeli tożsamość danej osoby (tajnego współpracownika lub funkcjonariusza SB) można ustalić bezspornie. Nie wyobrażam sobie, by wykonując ten przepis ustawy, archiwiści IPN działali pochopnie. W tej dziedzinie – znając logikę działania urzędu państwowego – należy raczej spodziewać się podejścia asekuranckiego niż ryzykanckiego.

Trzecią implikacją wyphywającą z przeprowadzonej przez Romanowskiego krytyki byłoby wprowadzenie zakazu upubliczniania przez pokrzywdzonych wiedzy, jaką powzieli z udostępnionych im dokumentów SB (względnie zakazu dotyczącego tylko informacji na temat tożsamości tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB). Oznaczałoby to, że wymaga się od ludzi, będących ofiarami komunistycznego aparatu represji, aby dziś stali się strażnikami tajemnic bezpieczeństwa! Taki hipotetyczny postulat byłby w oczywisty sposób nieprzyzwoity i niemoralny. Pokrzywdzeni – jeśli czują taką potrzebę, a ich sumienie się temu nie sprzeciwia – mają prawo głośno powiedzieć, kto ich denuncjował i kto ich represjonował. Romanowski nazywa to „donosicielstwem”, zrównując tym samym ofiary systemu z delatorami. Jest to argumentacja obrzydliwa i oburzająca.

Krytykując zasady pozwalające pokrzywdzonym poznać nazwiska donosicieli, Romanowski daje przykład dramatycznego losu swojego wuja, Stanisława Dydo, żołnierza AK i WiN, straconego po wojnie z wyroku komunistycznego sądu, który złamany torturami podpisał w więzieniu zobowiązanie współpracy z UB, ale w rzeczywistości nigdy jej nie podjął. Czy wuj – pyta dramatycznie Romanowski – nie miałby dziś kłopotów z ipeenowską lustracją? Co by było, gdyby jego akta ujrzał dziś „pokrzywdzony w rozumieniu ustawy”?

Pomijając już kwestię, moim zdaniem tendencyjnego, posługiwania się przez autora pojęciem „ipeenowskiej lustracji”, należy zauważyć, że argumentacja Romanowskiego jest z grun-

<sup>3</sup> *Archives of the Security Services of Former Repressive Regimes: Report prepared for UNESCO on behalf of the International Council of Archives*, red. Antonio Gonzalez Quintana, Paris 1997 ([http://www.unesco.org/webworld/ramp/secret\\_english.htm](http://www.unesco.org/webworld/ramp/secret_english.htm)).





tu fałszywa i demagogiczna. Otóż po pierwsze, pokrzywdzeni otrzymują do wglądu akta dotyczące ich samych, a nie innych osób represjonowanych. Po drugie zaś, skoro Stanisław Dydo nigdy nie podjął współpracy z UB, nie powstały sygnowane jego pseudonimem donosy. Nie mogłaby więc zdarzyć się sytuacja, w której jakimś pokrzywdzonemu podano by jego nazwisko jako donosiciela. Po trzecie wreszcie, czy zdaniem Andrzeja Romanowskiego wolno ujawniać fakt podjęcia przez kogoś współpracy z organami bezpieczeństwa czy nie? O losie swego wuja autor dowiedział się przecież nie skądinąd, tylko z biogramu Stanisława Dydo autorstwa Tomasza Balbusa, ogłoszonego w wydany przez IPN słowniku biograficznym *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956*.

Autor podnosi larum, że „nic nie jest tajne” (cytowaną frazę złożono w tekście wielkimi literami). Jak sądzę, chodzi mu przede wszystkim o dane identyfikujące tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB. Abstrahując od aktualnego stanu prawnego (o czym poniżej), należy zapytać: a dlaczego te informacje miałyby być dziś tajne? Jakie racje za tym przemawiają? Współpraca z komunistyczną policją polityczną służyła zniewoleniu społeczeństwa i nie była niczyją prywatną sprawą. Owszem, ujawnianie tożsamości donosicieli SB może być dla nich bolesne, ale trudno oczekiwać, by było inaczej. Nie ma natomiast racjonalnego powodu, by po upadku systemu komunistycznego tajemnice bezpieki były nadal chronione przez prawo demokratycznego państwa. Byłoby zrozumiałe, gdyby o tajność dokumentów bezpieki upominał się generał Kiszczak. Dlaczego jednak czyni to Andrzej Romanowski?

W Niemczech przeszłość pracowników mógł sprawdzić każdy pracodawca. W Czechach lista agentów StB została ogłoszona drukiem, a słowacki Instytut Pamięci Narodu zapowiedział umieszczenie ich nazwisk w Internecie. Nie zaważyło się od tego ani państwo niemieckie, ani Republika Czeska. Andrzej Romanowski szantażuje zaś czytelnika wizją bliżej nieokreślonego nieszczęścia, jakie miałyby sprowadzić na Polskę działalność IPN.

Co znamienne, autor artykułu w wygodny dla siebie sposób nie zauważa, że krytykowany przez niego przepis art. 32 ustawy o IPN, normujący uprawnienie pokrzywdzonych do żądania informacji o tożsamości donosicieli i funkcjonariuszy SB zaangażowanych w represję przeciwko nim, jest niemal dosłownym powtórzeniem analogicznej regulacji zawartej w niemieckiej ustawie o aktach Stasi (art. 13 ust. 5 Stasi-Unterlagen-Gesetz). Przyjęcie takiego rozwiązania przez polskiego ustawodawcę niewątpliwie nie było przejawem dążenia do „dzikiej lustracji”, ale świadczy o chęci oparcia się na sprawdzonej i niekwestionowanej konstrukcji prawnej.

## „Bezprawie” IPN

Krytykując zasady udostępniania dokumentów pokrzywdzonym, Romanowski kilkakrotnie powołuje się na art. 54 ustawy o IPN i stwierdza ze zgrozą, że „dane osobowe obywatela mogą być ujawniane bez jego zgody”. W ten sposób autor ustawia sobie IPN w pozycji chłopca do bicia. Taki zabieg świadczy o nieznaomości prawa lub świadomej manipulacji.

Romanowski przedstawia sprawę tak, jakby owo wspomniane w art. 54 ustawy ujawnianie danych bez zgody zainteresowanego miało dotyczyć wszystkich obywateli. To jawny fałsz. W rzeczywistości bowiem art. 54 ustawy jest przepisem karnym dotyczącym byłych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB, którzy podszywając się pod pokrzywdzonych, chcieliby podstępem wydobyć z akt IPN informacje, do których uzyskania nie są uprawnieni<sup>4</sup>. Abstrahując od

<sup>4</sup> Art. 54 § 3 ustawy o IPN brzmi: „Kto w celu uzyskania informacji udzielanych pokrzywdzonemu na podstawie przepisów ustawy podaje nieprawdę lub zataja prawdę wiedząc, że dotyczą go okoliczności, o których mowa w art. 6 ust. 3, lub że jego dane osobowe mogą zostać ujawnione na podstawie ustawy bez jego zgody, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 3”.



zasadności stosowania w takim przypadku represji karnych (co budzi moje wątpliwości), należy stwierdzić, że przepis ten – wbrew sugestii autora – wcale nie służy określeniu procedury udostępniania pokrzywdzonym danych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB. Ta kwestia jest w bardziej szczegółowy sposób unormowana w innych przepisach ustawy. Również w innym miejscu określono zakres i tryb ochrony danych osób niebędących TW ani funkcjonariuszami (tj. innych pokrzywdzonych i osób trzecich). Nie jest więc tak, jak suponuje Romanowski, że panuje w tej kwestii pełna dowolność. Autor jednak przemilcza istnienie w ustawie o IPN bardziej szczegółowych (i niekiedy rygorystycznych) regulacji w tych sprawach. Co się zaś tyczy funkcjonariuszy i tajnych współpracowników SB, czyżby Romanowski proponował, by pytać ich o zgodę na ujawnienie ich danych pokrzywdzonym? To dopiero wydaje mi się absurdalne<sup>5</sup>!

Powoławszy się na art. 54 ustawy o IPN, Romanowski dokonuje przeskoku myślowego i stwierdza, że „jesteśmy w konflikcie z aż dwoma aktami prawnymi” – ustawą o ochronie danych osobowych oraz ustawą o ochronie informacji niejawnych. Otóż, po pierwsze nie jest to prawdą, po drugie zaś taki zarzut niejako z definicji nie ma sensu. W systemie prawnym bardzo często przepisy różnych ustaw, jeśli odczytać je dosłownie, wydają się pozornie wzajemnie sprzeczne, gdyż odmiennie regulują pewne kwestie. W takim przypadku znajdującą zastosowanie normę prawną ustala się w drodze wykładni, stosując m.in. znane reguły kolizyjne (*lex specialis derogat legi generali*, *lex posterior derogat legi priori*). Jest to abecadło, którego każdy student prawa uczy się na pierwszym roku na zajęciach ze wstępu do prawoznawstwa. Czyżby autor tego nie wiedział? Czynienie zarzutu jednej ustawie, że jest „w konflikcie” z inną, jest pozbawione sensu, właśnie dlatego, że oba akty prawne są równego rzędu i żaden nie ma „przewagi” nad drugim.

Co więcej, wbrew temu, co sugeruje Andrzej Romanowski, wykonywanie przepisów ustawy o IPN nakazujących podawanie pokrzywdzonym danych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB wcale nie powoduje sytuacji sprzecznych – nawet pozornie – z ustawą o ochronie danych osobowych i ustawą o ochronie informacji niejawnych. Ustawa o ochronie danych osobowych mówi wprost, że dane osobowe mogą być przetwarzane (w tym udostępniane), jeżeli pozwalają na to przepisy prawa. Jedną z takich (wielu) szczególnych regulacji jest właśnie ustawa o IPN – i żadnej sprzeczności tu nie ma.

Romanowski zdaje się sugerować, że ujawnianie pokrzywdzonym nazwisk agentów i funkcjonariuszy SB stanowi naruszenie tajemnicy państwowej. Otóż dane te od marca 2002 r. przestały być tajne – i to wcale nie na podstawie ustawy o IPN, którą autor tak krytykuje, a na podstawie ustawy o ochronie informacji niejawnych, na którą wielokrotnie w swoim tekście z aprobatą się powołuje, i o której przestrzeganie tak się troszczy. Wyjątek stanowią nadal objęte tajemnicą państwową dane identyfikujące tajnych współpracowników SB, którzy byli czynni po wejściu w życie ustawy o ministrze spraw wewnętrznych z 1983 r. (nie dotyczy to wszakże tajnych współpracowników wojskowych służb specjalnych). Ich udostępnianie następuje na podstawie ustawy o IPN, traktowanej w tym przypadku jako *lex specialis*. Nie można więc mówić o łamaniu ustawy o ochronie informacji niejawnych.

Sprawą wartą osobnej dyskusji (już bez związku z artykułem Romanowskiego) jest zasadność utrzymywania klauzuli tajności w odniesieniu do danych TW czynnych po 1983 r. Data ta nie jest

<sup>5</sup> Szkoda, że polski ustawodawca kopiując w istocie rozwiązanie niemieckie, nie przejął także ostatniego zdania odnośnego przepisu ustawy o aktach Stasi, który stanowi wprost, że „interesy funkcjonariuszy i informatorów [Stasi] dotyczące utrzymania ich nazwisk w tajemnicy nie stoją na przeszkodzie ujawnieniu ich nazwisk [pokrzywdzonym]”. Przeciętoby to spory na ten temat.

żadną cezurą z historycznego ani politycznego punktu widzenia. Dotyczy ona jedynie tego, że wówczas po raz pierwszy ustawowo upoważniono SB i MO do werbowania tajnych współpracowników (wcześniej odbywało się to bez żadnych podstaw prawnych). Wydaje się, że przy najbliższej możliwej okazji ta granica czasowa powinna zostać zniesiona, a dane TW działających do końca istnienia SB, czyli do maja 1990 r., powinny stać się jawne.

Za inny przykład „IPN-owskiego bezprawia” Romanowski uważa zawartą w ustawie o IPN definicję zbrodni komunistycznych. Przemilcza jednak, że taka konstrukcja prawna („czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego [...] polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszania praw człowieka”) nie została wcale wymyślona w ustawie o IPN, a została przejęta z ustawy o Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Konstrukcja ta, aczkolwiek uprzednio odnosząca się tylko do tzw. zbrodni stalinowskich (czyli czynów popełnionych do końca 1956 r.), została wprowadzona do polskiego prawa karnego już w 1991 r. Czy wcześniej Andrzejowi Romanowskiemu nie przeszkadzała?

Koncepcję zbrodni komunistycznych autor nazywa „potworkiem prawnym” i stwierdza: „wykroczenie bądź występki może być zbrodnią, o ile tylko popełnił je komunista”. Tu mamy do czynienia już nie z ignorancją autora, ale z ordynarną manipulacją. Po pierwsze, poglądy polityczne sprawcy nie są znamieniem zbrodni komunistycznej (liczy się sprawowana funkcja). Po drugie – i ważniejsze – cytując ustawową definicję zbrodni komunistycznej, Romanowski pominął jej ostatni człon, stanowiący wyraźnie, że za zbrodnię taką mogą być uznane jedynie „czyny stanowiące przestępstwa według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia”. Wbrew kłamliwemu stwierdzeniu autora, wynika stąd, że wykroczenie nigdy nie może być uznane za zbrodnię komunistyczną. Sprawa ta pokazuje metody argumentacji Andrzeja Romanowskiego i w moim przekonaniu dowodzi jego złej woli.

Autor twierdzi, że konstrukcja zbrodni komunistycznej wprowadza nierówność wobec prawa. Nie ma racji, gdyż przestępstwa popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego są sądzone na podstawie tych samych przepisów co przestępstwa popełnione przez inne osoby, a sytuacja prawna oskarżonego w żaden sposób nie jest pogorszona. Zbiorcza kategoria zbrodni komu-



nistycznych wprowadzona została po to, by bieg ich przedawnienia liczył się od początku 1990 r. Dzięki temu nie unikają kary sprawcy przestępstw, którzy popełniali je w imieniu państwa komunistycznego i przez to państwo byli przez lata chronieni. Służy to właśnie realizacji zasady równości wobec prawa, bo żaden sprawca zbrodni nie powinien zostać bezkarny.

Romanowski odnosi się również do kwestii skuteczności działania Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Sugeruje, że powstanie IPN, kierującego się, jego zdaniem, logiką quasi-rewolucyjną (co to w tym przypadku znaczy?), nie wpłynęło w istocie na przyspieszenie ścigania zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy reżimu komunistycznego. Jest to twierdzenie jawnie fałszywe. Z dokładnymi danymi można się zapoznać w ogólnie dostępnym, corocznym sprawozdaniu Głównej Komisji. Ale nawet na podstawie doniesień prasowych widać, że pod rządami starej ustawy w latach 1991–1998, kiedy prokuratorzy Głównej Komisji byli mniej liczni i nie dysponowali uprawnieniami przysługującymi im dzisiaj, polskie sądy skazały kilkunastu zbrodniarzy stalinowskich (z Adamem Humerem na czele), podczas gdy w ciągu czterech lat istnienia IPN jego prokuratorzy wnieśli kilkadziesiąt aktów oskarżenia o zbrodnie komunistyczne.

Ujawnianie danych TW i funkcjonariuszy SB na żądanie pokrzywdzonych oraz pojęcie zbrodni komunistycznych są chyba jedynymi kwestiami, w których można podjąć merytoryczną polemikę z oskarżeniami autora o bezprawne działania IPN. W dalszej części artykułu Romanowski powtarza wielokrotnie te zarzuty już całkiem gotostownie, bez wykazywania, jakie przepisy i w jaki sposób miałyby być przez IPN naruszane. Oskarża pracowników IPN o łamanie prawa, a Prezesa IPN o tolerowanie tego stanu rzeczy. Posuwa się do stwierdzenia, że działalność IPN jest sprzeczna z polską racją stanu. Insynuuje, że Prezes Instytutu lekceważy zasady praworządności. Nie tylko obraża w ten sposób Prezesa IPN oraz pracowników tej instytucji, ale w istocie rzeczy bezpodstawnie zarzuca im popełnianie przestępstw urzędniczych (niedopełnienie lub przekroczenie obowiązków). Nie wiem, czy rzucanie takich fałszywych oskarżeń wobec urzędników państwowych jest w obecnym stanie prawnym przestępstwem ściganym z urzędu, z pewnością jednak stanowi obrazę czci zainteresowanych. To zresztą nie jedyne twierdzenia autora, które odbieram jako potwarz.

Zupełnie niezrozumiały – by nie powiedzieć głupi – jest natomiast zarzut, że istnienie IPN narusza monteskiuszowski trójpodział władzy. Andrzej Romanowski stwierdza z oburzeniem, że Prezes IPN w niektórych przypadkach zastępuje władzę wykonawczą. Czyżby nie wiedział, że IPN jest z formalnego punktu widzenia urzędem państwowym, a jego Prezes, będąc organem administracji państwowej, jest częścią właśnie władzy wykonawczej? Funkcje archiwalne i śledcze IPN nie są niczym innym jak wykonywaniem owej władzy w tych dziedzinach w granicach określonych przez ustawę.

### **Casus Henryka Karkoszy**

Osią wywodów Andrzeja Romanowskiego jest sprawa Henryka Karkoszy. Rzecz przedstawia się następująco. Byli członkowie krakowskiego SKS jako pokrzywdzeni zapoznali się z dotyczącymi ich aktami SB. Analizując ich treść, doszli do wniosku, że jednym z tajnych współpracowników SB w ich środowisku był Karkosza. Korzystając ze swoich ustawowych uprawnień, zażądali od IPN ujawnienia tożsamości TW „Monika” i uzyskali informację, że był nim Henryk Karkosza.

Podobnie jak Andrzej Romanowski nie znam dokumentacji na ten temat i nie wiem, na jakiej podstawie Archiwum IPN dokonało takiego ustalenia. Niewątpliwie jednak IPN, udzielając takiej informacji, bierze odpowiedzialność za jej prawdziwość. Ciekawi mnie więc, na jakiej podstawie – nie dysponując wiedzą wynikającą z dokumentów – autor podważa

a priori ustalenie IPN. Porównywanie w tym przypadku wykonania ustawy o IPN ze sporządzeniem „listy Macierewicza” uważam za nieuczciwe, gdyż ta ostatnia akcja nie opierała się na ustawowej procedurze. Jest przy tym znamienne, że cytując art. 32 ustawy o IPN, Romanowski przemilczał jego istotne postanowienie, zastrzegające wyraźnie, iż dane tajnych współpracowników ujawnia się pokrzywdzonym jedynie wtedy, „jeżeli można je jednoznacznie określić na podstawie dokumentów danego organu bezpieczeństwa”.

Kontrargumenty Romanowskiego w sprawie Karkoszy wydają się notabene dosyć słabe. Pierwszym zarzutem jest to, że fakt czyjejś agenturalnej współpracy ustala się na podstawie dokumentów esbeckich (w domyśle: niewiarygodnych). To stawianie sprawy na głowie. Oczywiście, akta SB należy traktować z najwyższą ostrożnością i stosować wobec nich rygorystyczne zasady krytyki źródłowej – ale w jakiej innej dokumentacji miałyby, zdaniem autora, znajdować się informacje na temat spraw agenturalnych? Po drugie, sam zainteresowany zaprzecza. Niestety, to jeszcze niczego nie dowodzi. Jak wynika z doświadczeń niemieckich (vide Timothy Garton Ash „Teczka”), zaprzeczenie było najbardziej typową reakcją ujawnionych tajnych współpracowników Stasi. Trzecim argumentem Romanowskiego jest dziennikarskie śledztwo Wojciecha Czuchnowskiego w „Gazecie Wyborczej”, które nie przyniosło żadnego rozstrzygnięcia. Rzecz jednak w tym, że Czuchnowski (podobnie jak Romanowski i ja) nie zapoznał się ze stosownymi dokumentami. Nawiasem mówiąc, ten akurat dziennikarz wykazał się wyjątkową niekompetencją i niedbalstwem w korzystaniu z akt IPN, pisząc swoją książkę na temat procesu kurii krakowskiej w 1953 r., co osłabia zaufanie do jego rzetelności (vide miążdżąca recenzja z książki Wojciecha Czuchnowskiego *Blizna pióra Wojciecha Frazika i Filipa Musiała*, opublikowana w „Pamięci i Sprawiedliwości”, nr 1/2003).

Powtórzę: nie wiem, czy Henryk Karkosza był agentem SB i nie twierdzą tego (ani nawet specjalnie mnie to nie interesuje). Być może jest tak, że – nawet zakładając najwyższą staranność archiwistów IPN – Karkosza padł ofiarą nieszczęśliwej pomyłki. To jednak nie powinno być argumentem przeciwko zasadzie, zgodnie z którą dane agentury i funkcjonariuszy SB są ujawniane pokrzywdzonym. Pomyłki – jak w każdej dziedzinie ludzkiej aktywności – niestety mogą i zapewne będą się zdarzać. Nie jest jednak wcale tak, że osoba pomówiona o agenturalność nie ma wcale możliwości obrony. Wbrew twierdzeniu Romanowskiego, Henryk Karkosza – czy ktokolwiek inny – wcale nie musi wykazywać swojej niewinności. Ustawodawca wziął pod uwagę możliwość „wypadków przy pracy”, stwierdzając, że „za szkodę wyrządzoną obywatelowi przez pracownika Instytutu Pamięci w związku z działalnością Instytutu ponosi odpowiedzialność Skarb Państwa na zasadach ogólnych” (art. 32 ust. 4 ustawy o IPN). Jednocześnie jednak, odsyłając do „zasad ogólnych”, ustawodawca uznał, że nie ma powodu, by pomówienia o agenturalną współpracę z SB traktować inaczej niż inne naruszenia dóbr osobistych. Osobom, które uważają się za niesłusznie pomówione, służy powództwo cywilne przeciwko pomawiającym, w tym również przeciwko Instytutowi Pamięci Narodowej, będącemu źródłem obciążających je informacji. W takim procesie to pomawiający muszą wykazać prawdziwość zarzutów, nie zaś pomówiony dowodzić swojej niewinności, a ocena przedstawionych dowodów leży w gestii niezawisłego sądu. Ustawodawca przewidział *expressis verbis* tę ewentualność, a nawet w takich przypadkach zwolnił zainteresowanych od kosztów sądowych. Oznacza to zarazem, że ustawodawca uznał za właściwą w tego rodzaju sprawach jedynie drogę procesu cywilnego. Jak dotąd, Henryk Karkosza nie złożył pozwu.

## Nierówność wobec prawa

Andrzej Romanowski twierdzi, że ustawa o IPN wprowadza nierówność obywateli wobec prawa. Ma na myśli uprawnienia pokrzywdzonych i „niepokrzywdzonych” dotyczące

dostępu do akt zgromadzonych przez IPN. Ten argument był już wcześniej podnoszony w debacie przed utworzeniem IPN. Należy się zastanowić, czy nierówność wobec prawa rzeczywiście występuje i na czym miałyby polegać ewentualna „równość” w tej dziedzinie.

Można wyróżnić cztery zasadnicze sytuacje: pokrzywdzonego, tajnego współpracownika SB, funkcjonariusza SB oraz kogoś, kto nie był obiektem zainteresowania SB. Ten ostatni przypadek nie stanowi problemu, gdyż takiej osobie po prostu nie ma czego udostępniać, skoro archiwum IPN z definicji nie posiada dokumentów na jej temat. Przypadek pokrzywdzonych również nie jest kontrowersyjny – mają oni możliwie pełne prawo wglądu w dotyczące ich dokumenty. Problemem jest oczywiście sytuacja TW i funkcjonariuszy SB. Zgodnie z obecnym stanem prawnym mogą oni otrzymać informację o dotyczących ich dokumentach, ale nie mają w nie wglądu, a funkcjonariusze SB mogą ponadto otrzymać kopie świadectwa pracy i opinii o służbie. Warunkiem skorzystania z tych uprawnień jest przyznanie się do swojej współpracy/służby w SB. Czy należy się tu dopatrywać nierówności wobec prawa?

O nierówności można mówić, gdy prawo w odmienny sposób traktuje osoby znajdujące się w takiej samej sytuacji. Sądzę, że sytuacja donosicieli/funkcjonariuszy SB i ich ofiar jest na tyle różna, iż uzasadnia to odmienne traktowanie tych kategorii osób, jeżeli chodzi o dostęp do dokumentów zgromadzonych w IPN. Być może się mylę, ale argument nierówności wobec prawa nie jest dla mnie przekonujący.

Nie znaczy to jednak, że wywody Romanowskiego w kwestii uprawnień dostępu do akt IPN są zupełnie pozbawione racji. Ma on słuszność, krytykując wyraźnie utożsamną definicję pokrzywdzonego. Zgodnie z ustawą „pokrzywdzonym nie jest osoba, która została następnie funkcjonariuszem, pracownikiem lub współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa”. Co prawda w drodze wykładni przyjęto, że status pokrzywdzonego nie przysługuje także osobie, która najpierw była TW/funkcjonariuszem SB, a potem (np. zerwawszy współpracę) sama stała się obiektem inwigilacji, ale wydaje się, że przy najbliższej nowelizacji ustawy o IPN sprawy te powinny zostać *explicite* ujęte w odpowiednich przepisach.

Można zauważyć, że w Niemczech dostęp byłych informatorów i funkcjonariuszy do dokumentów Stasi został uregulowany bardziej liberalnie niż w polskiej ustawie o IPN. Mogą oni przeglądać własne akta personalne, a w niektórych przypadkach nawet składane przez siebie doniesienia. Z drugiej strony umożliwienie dostępu do akt IPN tajnym współpracownikom SB podważyłoby sens ustawy lustracyjnej, będącej istotną częścią porządku prawnego. Konsekwencją takiej decyzji musiałoby być zatem powszechne ujawnienie tajnych współpracowników, podobnie jak to miało miejsce w Niemczech i w Czechach. Wszystkie te sprawy stanowią autentyczny problem i wymagają poważnej, spokojnej debaty. Zaciętrzewiony głos Romanowskiego nie jest dobrym prognostykiem.

### **„Tendancyjna historiografia”**

Dokonując totalnej krytyki IPN, autor nie omija działalności badawczej i edukacyjnej Instytutu. Ten fragment jego filipiki nie wnosi wiele nowych elementów w stosunku do oskarżeń formułowanych pod adresem IPN z lewa i z prawa od początku istnienia tej instytucji. Jednym z nich jest zarzut, że IPN sprowadza pamięć narodową do dokumentów UB i SB. Jest to chwyt równie tani, co nieuczciwy, polegający na zestawieniu ustawowo określonego zakresu badawczego IPN z jego nazwą, nawiązującą do chlubnej tradycji działającego w latach czterdziestych pod kierownictwem Stanisława Płoskiego, a zlikwidowanego w okresie stalinowskim, Instytutu Pamięci Narodowej. Owszem, być może mniej byłoby kontrowersyjny, gdyby nazwa Instytutu brzmiała bardziej neutralnie, np. Instytut Historii Najnowszej. Czy jednak

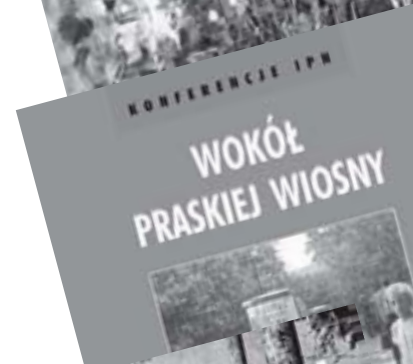
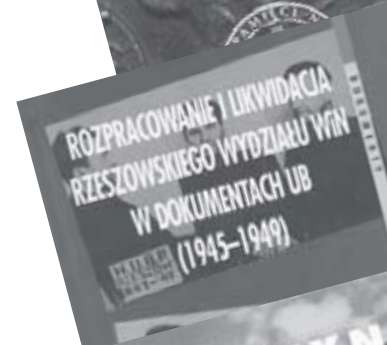
rzecz tylko w etykietce? Dlaczego Romanowski nie chce zauważyć, że w swej działalności naukowej i edukacyjnej IPN stara się wychodzić poza przyciasne ramy badań nad zbrodniami i represjami i w istocie otwiera się na szersze zagadnienia historii politycznej i społecznej Polski lat 1939–1989, stając się *de facto* instytutem badania najnowszych dziejów Polski?

Autor kwestionuje zasadność połączenia w jednej instytucji pionu naukowego i śledczego. Poza niepoparty dowodami stwierdzeniem o instrumentalnym traktowaniu pracy historyków przez instytutowy pion śledczy, nie potrafi jednak uargumentować swojego stanowiska. Tymczasem, jeśli można coś IPN zarzucić, to właśnie zbyt izolację obu pionów i zbyt mały zakres roboczej współpracy prokuratorów i historyków. Romanowski zapomina notabene, że przez cały okres powojenny Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce prowadziła również działalność naukową i dokumentacyjną – by przypomnieć tylko prace Szymona Datnera. Czy wartość tej spuścizny autor również podważa?

Tradycyjnym zarzutem formułowanym wobec Biura Edukacji Publicznej IPN jest „prawicowe odchylenie” i gloryfikowanie powojennego antykomunistycznego podziemia. To prawda, że w publikacjach IPN, ze względu na dotychczasowe zainteresowania zatrudnionych w BEP historyków, dużo miejsca poświęcano problematyce powojennego podziemia. Ale czy ten obraz był całkowicie jednostronny? To właśnie na jednej z konferencji IPN poruszono problem „bandycenia się” podziemia (opublikowane referaty Janusza Marszałca i Piotra Niwińskiego). To w „Biuletynie IPN” Jerzy Kułak opisał morderstwa na Białorusinach popełnione przez oddział partyzancki „Burego”.

Dalsze zarzuty pod adresem publikacji IPN są zwykłym czepianiem się. W zbiorze relacji ze stanu wojennego nie zamieszczono bibliografii – a dlaczego miano by to uczynić? Miejsce bibliografii jest w monografii naukowej, ale nie ma powodu, by opatrzyć nią wybór źródeł. Można wprawdzie zgodzić się z Romanowskim, że nie zaszkodziłoby opatrzyć publikowane tam relacje datami. Jest to jednak sprawa marginalna, zwłaszcza że relacje te były zbierane na potrzeby wspomnianego tomu i datuje je rok wydania książki.

Zdaniem Andrzeja Romanowskiego „Biuletyn IPN” uprawia „dydaktyczną, nierzadko natrętną publicystykę – najczęściej w formie wywiadów, co samo w sobie jest już dziwactwem”. Taka krytyka, jeśli się jej nie uzasad-





nia, ma podobną wartość co np. nazwanie artykułu Romanowskiego wrednym paszkwilem, także bez uzasadnienia. Najbardziej intrygująca jest jednak negatywna opinia autora na temat wywiadów „Biuletynu”. Owszem, ich poziom merytoryczny jest rozmaity, ale dlaczego Romanowski uważa tę formę za dziwactwo? Prasa periodyczna co chwila przynosi wywiady z naukowcami, gdyż jest to dobra forma popularyzacji wiedzy. Co w tym osobliwego?

Swoje zarzuty wobec BEP Romanowski podsumowuje cytowanymi z wyraźną aprobatą słowami Jerzego Wiatra, który ostrzegał przed upolitycznieniem IPN i forsowaniem „jednostronnej wizji historii najnowszej zgodnej z politycznym obstalunkiem”. Gdzie tu logika? Jeśli z jednej strony zarzuca się IPN-owi „prawicowe odchylenie”, z drugiej zaś sugeruje realizację politycznych zamówień, to biorąc pod uwagę, że cały okres dotychczasowego istnienia Instytutu przypada na rządy postkomunistów, nasuwa się pytanie: na czyj „obstalunek” IPN gloryfikuje antykomunistyczne podziemie – Leszka Millera? Longina Pastusiaka? Ryszarda Jarzembowskiego?

Wracając do tonu poważniejszego, trzeba stanowczo stwierdzić, że jednym z największych sukcesów IPN jest zachowanie politycznej neutralności. Jeśli Instytut bywa bity ze wszystkich stron, to znaczy, że prawdopodobnie udaje mu się utrzymać niezależność w swojej działalności.

Na tle całego wywodu Romanowskiego jego krytyka pod adresem BEP IPN brzmi jeszcze całkiem umiarkowanie. Autor „obawia się” i „niepokoi” o kierunek prac naukowych IPN. W zakończeniu artykułu porzuca jednak pozory troski i obiektywizmu. Pisze wprost – znów bez uzasadnienia – o tendencyjnej historiografii uprawianej w IPN.

Autor stawia naukowcom z IPN jeszcze jeden zarzut, tyleż poważny, co fałszywy. Pisze mianowicie: „Dziś pracownicy IPN, ujawniając w swych publikacjach – samowolnie, bez procedury odtajnienia – kolejne wykryte przez siebie nazwiska i pseudonimy, funkcje i dokumenty, nieustannie łamią ustawy o ochronie danych osobowych i o ochronie informacji niejawnych”. Jest to oskarżenie po prostu kłamliwe. Wszystkie dokumenty z zasobu IPN udostępniane do celów naukowych – tak historykom z IPN, jak i spoza Instytutu – przechodzą odpowiednie procedury i nie są objęte klauzulami tajności (o czym świadczą odpowiednie pieczęcie na teczkach archiwalnych). Nie ma też mowy o naruszaniu w publikacjach naukowych ustawy o ochronie danych osobowych. Zgodnie bowiem ze stanowiskiem Generalnego Inspektora Ochrony Danych Osobowych publikacje w prasie i książkach, zawierające dane osobowe w formie nieuporządkowanej, nie stanowią przetwarzania danych osobowych w zbiorze, a więc nie podlegają przepisom ustawy o ochronie danych osobowych (w odniesieniu zaś do danych osób nieżyjących przepisy tej ustawy w ogóle nie znajdują zastosowania).

Jeżeli zaś chodzi o sam fakt zamieszczania w publikacjach naukowych – stanowiących z punktu widzenia prawa informacje jawne – nazwisk bohaterów opisywanych wydarzeń, w tym pokrzywdzonych, oraz funkcjonariuszy SB czy tajnych współpracowników, to w sposób oczywisty muszą się one tam znajdować. Nie ma bowiem historii bez uczestniczących w niej ludzi. Jeśli więc meritum pracy naukowej tego wymaga, nazwiska agentów SB są i będą w niej umieszczane. Nie można opisywać działań aparatu bezpieczeństwa, udając jednocześnie, że nie miał on agentury.

### **„Zbrodnia na polskiej archiwistyce”**

Romanowski *per fas et nefas* zwalcza pomysł zgromadzenia w IPN archiwaliów wytworzonych przez komunistyczne organy bezpieczeństwa państwa. W tym fragmencie swych wywodów jest chyba najbardziej niespójny i najczęściej posługuje się fałszem, by wprowadzić czytelnika w błąd. Krucjata przeciwko archiwum IPN wydaje się wręcz obsesyjna, a argumentacja – absurdałna.

Podważając sens istnienia IPN, autor pisze: „Czyżby po 1989 r., a przed powstaniem IPN historycy nie korzystali z tajnych akt? Ależ korzystali, jak najbardziej! Uwzględniali procedury, zwracali się z oficjalną prośbą o odtajnienie, otrzymywali zgodę – i pracowali. Komu przeszkadzał ten trwający parę lat stan, jakie właściwie utrudnienia rodził?”. Słowa te świadczą albo o piramidalnej ignorancji Andrzeja Romanowskiego, albo – co bardziej prawdopodobne – o próbie oszukania czytelnika.

W rzeczywistości dostępność akt wytworzonych przez komunistyczne służby specjalne była przed powstaniem IPN znikoma. Zależała ponadto od sytuacji politycznej i kaprysów aktualnych szefów UOP i ministrów spraw wewnętrznych. Akta udostępniano „po uważaniu”, a badacze nie mieli dostępu do pomocy ewidencyjnych (inwentarzy archiwalnych). Byli zdani na wybór dokonany przez resortowych archiwistów. Przez długi czas nie istniały też żadne szczegółowe procedury, regulujące zasady udostępniania archiwaliów. Zarządzenie szefa UOP w tej sprawie zostało wydane dopiero w 1997 r. Niektórych kategorii akt (np. akta operacyjne SB, akta WSW po 1956 r., akta wywiadu wojskowego) nie udostępniano w ogóle.

Śmiesznie mała była „przepustowość” tych archiwów. W czytelni naukowej Archiwum MSW były, jeśli dobrze pamiętam, cztery miejsca, a w Archiwum UOP chyba o dwa więcej. Na udostępnienie akt czekało się już nie tygodniami i miesiącami, ale latami. Ja sam czekałem na udostępnienie w UOP akt dotyczących sprawy Henryka Hollanda przez trzy lata. Kiedy po powstaniu IPN wróciłem do tego tematu, okazało się, że w Archiwum UOP udostępniono mi jedynie połowę istniejących dokumentów. O istnieniu pozostałej części nawet mnie nie poinformowano. Gdybym – z różnych powodów – nie opóźnił pisania swojej książki o sprawie Hollanda, napisałbym – bezwiednie – pracę w dużej mierze nieprawdziwą, a w każdym razie niepełną.

Na porządku dziennym były, różnie motywowane, odmowy udostępniania archiwaliów. Mnie samemu Archiwum UOP odmówiło przed dziesięciu laty udostępnienia dokumentów na temat harcerstwa. Usłtne uzasadnienie brzmiało: nie, bo nie. Najczęściej wykręcano się jednak nawałem pracy, jako że „kolejka osób oczekujących na realizację wniosków naukowo-badawczych systematycznie się powiększa. Na pro-



wadzenie intensywnych prac związanych z uporządkowaniem i opracowywaniem zasobu archiwalnego nie pozwala nam zarówno skromna obsada personalna, jak również ogrom korespondencji napływającej do BEiA UOP. Kwerenda źródłowa we wnioskowanej przez Pana Profesora sprawie i późniejsze typowanie dokumentów oraz ich przygotowywanie do udostępnienia wymagałyby zaangażowania wielu osób, co w chwili obecnej nie jest możliwe”<sup>6</sup>. Jeśli Andrzej Romanowski twierdzi, że przedstawiony wyżej stan rzeczy nikomu z historyków nie przeszkadzał – to po prostu mówi nieprawdę.

Pożądaną alternatywą dla utworzenia archiwum IPN jest dla Romanowskiego przekazanie akt służb specjalnych PRL do Archiwum Akt Nowych. Zapewniłoby to, jego zdaniem, „komplementarność” (cokolwiek to znaczy) zbiorów archiwalnych. Jest to postulat demagogiczny. AAN od 1990 r. nie uporało się z uporządkowaniem i pełnym udostępnieniem czytelnikom kluczowego dla badań nad powojenną historią Polski zespołu KC PZPR, liczącego ok. 1 300 metrów bieżących. W jaki sposób to centralne archiwum miałoby „przetrawić” akta przekazane do IPN, które w samej Warszawie liczą 28 tys. m.b.?

Zaskakujące jest aż trzykrotne powrót przez autora do kwestii karencji archiwalnej, której poddane byłyby akta komunistycznych organów bezpieczeństwa, gdyby przekazano je do AAN. Najwyraźniej Romanowskiemu bardzo zależy, by akta dotyczące ostatnich kilkunastu lat PRL nie były udostępniane (gdyby przyjęto standardową klauzulę 30 lat, dziś dostępne byłyby dokumenty wytworzone do 1973 r.). Ten z kolei postulat jest anachroniczny. Przygotowany przez Naczelną Dyрекcyję Archiwów Państwowych projekt nowej ustawy archiwalnej postuluje zniesienie karencji w ogóle.

W dalszej części swego wywodu autor krytykuje obecny stan rzeczy i działalność Archiwum IPN. Twierdzi, że powstanie IPN jako placówki „historyczno-edukacyjno-śledczo-politycznej” (dlaczego pomija przymiotnik „archiwalna”?) przyczyniło się do rozproszenia archiwaliów. Jest to zarzut całkowicie niedorzeczny. Efektem powstania IPN było wszak scalenie w jednej instytucji dokumentacji służb specjalnych i organów represji PRL, która była do tychczas rozproszona w różnych archiwach. Powstał zasób archiwalny ukształtowany w sposób spójny pod względem merytorycznym. Co więcej, historycy uzyskali możliwość korzystania m.in. z dokumentacji wcześniej zupełnie niedostępnej, która była przechowywana np. w archiwach zakładowych sądów i prokuratur. O istnieniu niektórych zespołów i kolekcji – dziś udostępnianych w IPN – historycy nawet nie wiedzieli.

Niezrozumiały jest zarzut polityzacji archiwów, cokolwiek autor ma na myśli. Należy zauważyć, że to właśnie ustawa o IPN daje gwarancje apolityczności (Prezes Instytutu nie podlega innym organom władzy, a jego pracownicy mają zakaz należenia do partii politycznych, a nawet związków zawodowych). Jeżeli Romanowski postuluje przekazanie akt służb specjalnych PRL sieci archiwów państwowych z AAN na czele, to trzeba przypomnieć, że właśnie one podlegają – za pośrednictwem ministra kultury – Radzie Ministrów, a więc ciału z definicji na wskroś politycznemu. Z kolei twierdzenie, że kadre archiwistów IPN dobrano na zasadach politycznych lub towarzyskich, jest zwykłym pomówieniem kierownictwa Instytutu. Na jakiej podstawie autor tak sądzi?

Andrzej Romanowski oskarża Archiwum IPN o swoistą zachłanność. Jego zdaniem, mimo że IPN nie ma gdzie pomieścić 75 km już posiadanych dokumentów, chce jeszcze przejąć

<sup>6</sup> Cytat autentyczny z listu Archiwum UOP do prof. Andrzeja Paczkowskiego z 1998 r. w sprawie odmowy udostępnienia dokumentów na międzynarodową konferencję w Warszawie nt. upadku komunizmu. Treść listu podano do wiadomości uczestników tej konferencji.

z AAN 20 km akt. To już kosmiczne bzdury. Cały zasób archiwalny IPN w skali kraju liczy 80 km akt. Z danych Romanowskiego wynikałoby, że IPN prawie w ogóle nie ma pomieszczeń magazynowych, co oczywiście nie jest prawdą. Natomiast wielkość całego zasobu archiwalnego AAN liczy ok. 18 km akt. W jaki sposób IPN miałby stamtąd przejść 20 km akt?

W kolejnych wywodach Romanowski dopuścił się manipulacji cytatami z wywiadu udzielonego „Biuletynowi IPN” przez dyrektorów Archiwum IPN Bernadettę Gronek i Leszka Postołowicza (nr 4/2002). Wyrażając – moim zdaniem faryzejską – troskę o interesy historyków korzystających z zasobu IPN, zacytował opis skomplikowanej procedury przygotowania akt do udostępnienia. Rzecz w tym, że wypowiedź pani Gronek dotyczyła udostępniania akt pokrzywdzonym (tu istotnie procedura jest bardziej złożona), a nie badaczom. Podobnie informacja o ośmiu miejscach w czytelni IPN w Warszawie dotyczy czytelni akt tajnych, z której korzystają pokrzywdzeni, nie zaś pracowni naukowej liczącej miejsc kilkanaście. Oczywiście w skali kraju liczba miejsc w czytelniach IPN jest wielokrotnie większa. Romanowski krytykuje również przepisy ustawy umożliwiające pokrzywdzonym zastrzeżenie swoich danych osobowych, argumentując, że to przeszkoda dla badań naukowych. Popada tym samym w sprzeczność, skoro wcześniej grzmiał, że dane osobowe zawarte w aktach SB nie są w żaden sposób chronione.

Trafnie natomiast autor krytykuje art. 34 ustawy o IPN, dotyczący anonimizacji danych dotyczących pokrzywdzonego na jego żądanie. Znaczenie tego przepisu nie wydaje się jasne. Romanowski interpretuje to jako nakaz trwałego wymazania danych w oryginalnym dokumencie i nazywa to zbrodnią na polskiej archiwistyce. Przemilcza jednak wypowiedź pani Gronek, którą musi znać z cytowanego wcześniej wywiadu, że żadne ingerencje w oryginalne dokumenty nie będą miały miejsca.

Chwilę później Andrzej Romanowski dokonuje kolejnej manipulacji cytatami. Przywołuje przepis art. 33 ustawy o IPN, uprawniający pokrzywdzonych do dołączania do dokumentów, które ich dotyczą, własnych uzupełnień, sprostowań i wyjaśnień. Następnie zestawia ten przepis z wyrwaną z kontekstu wypowiedzią Leszka Postołowicza, że „wykorzystywanie wiedzy pokrzywdzonych o ich donosicielach »nie należy do zadań IPN«”. Interpretując te słowa jako zapowiedź zignorowania przez Archiwum IPN art. 33 ustawy, Romanowski oskarża pracowników IPN o „psucie” i tak złej ustawy. W rzeczywistości pan Postołowicz miał na myśli to, że IPN nie zamierza w żaden sposób „grać” pochodzącą od pokrzywdzonych wiedzą. Pani Gronek natomiast natychmiast dopowiedziała, że „Pokrzywdzony ma jednak prawo składać różne wnioski, oświadczenia, a my mamy obowiązek dołączania ich do jego akt”. Nie ma więc wątpliwości, że dyrektorzy BUiAD zamierzają przestrzegać wspomnianego przepisu. To jednak Romanowski przemilczał.

## Rozbić IPN!

Na początku artykułu Andrzej Romanowski powołuje się na swój tekst ze stycznia 1999 r., w którym już wtedy ostrzegał przed niebezpieczeństwami „dzikiej lustracji”. Porównanie obu tekstów pokazuje, że obecnie niemal w całości powtórzył argumenty sformułowane ponad półtora roku przed faktycznym powstaniem IPN. Podobna jest też temperatura wypowiedzi w tych artykułach. Oznacza to, że Andrzej Romanowski był *a priori* przeciwnikiem powstania IPN i poglądów nie zmienił. Dziś w sposób niezawołowany wzywa do rozbitcia Instytutu Pamięci Narodowej: „Tylko decyzje radykalne mogą zapobiec dalszemu bezprawiu”. Romanowski oskarża IPN o wszystkie możliwe grzechy i stara się zdezakwalifikować tych, którzy na temat Instytutu mają odmienną opinię.

# WSZYSTKO POD KONTROLĄ

**O INWIGILACJI ZACHODNICH KORESPONDENTÓW  
Z KRZYSZTOFEM BOBIŃSKIM, BERNARDEM  
MARGUERITTE'EM I KRZYSZTOFEM PERSAKIEM  
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

**B.P.** – Chcemy rozmawiać o inwigilacji przez peerelowskie służby specjalne cudzoziemców, przede wszystkim dziennikarzy. Warto pamiętać, że na początku Peerelu obcych dziennikarzy było bardzo niewielu, a służby i tak miały pełne ręce roboty, bo w ich pojęciu szpiegiem był absolutnie każdy obcokrajowiec. Potencjalnymi szpiegami byli także powracający z różnych miejsc po wojnie Polacy – repatrianci, żołnierze, jeńcy wojenni, przesiedleńcy, nawet więźniowie z obozów koncentracyjnych i przymusowi robotnicy.

**K.P.** – Jeszcze tytułem wstępu. Wbrew nazwie kontrwywiad po 1956 r. zajmował się nie tylko zwalczaniem obcych wywiadów. Moje badania dotyczą okresu sprzed panów pobytu w Polsce, ale myślę, że mechanizmy działania były podobne przez kolejne lata. Kontrwywiad był po prostu częścią Służby Bezpieczeństwa, czyli częścią policji politycznej, i zajmował się także inwigilacją cudzoziemców, czyli operacyjną kontrolą wszystkich dziedzin, w których występował tak zwany styk z zagranicą. Interesowali go przede wszystkim cudzoziemcy przebywający w Polsce, od studentów, stypendystów, przez handlowców, po różnego rodzaju specjalistów oraz dyplomatów. W stosunku do dyplomatów kontrwywiad zajmował się także działalnością *sensu stricte* wywiadowczą, ponieważ dokonywał penetracji ambasad. Kontrwywiad zajmował się także takimi sprawami, jak zwalczanie przemytu międzynarodowego na wysoką skalę, utrudnianie ucieczek z Polski itd. Trzeba też podkreślić, że wbrew mitom, które ostatnio usiłuje się upowszechniać, kontrwywiad był częścią SB aż do końca lat osiemdziesiątych, *de iure* – zarówno Departament I, jak i II wywiadu MSW były częścią SB. Pod koniec lat osiemdziesiątych dokonano formalnego podziału MSW na Służbę Bezpieczeństwa, Służbę Wywiadu i Służbę Kontrwywiadu. To była tzw. reforma Kiszczaka, ale przeprowadzono ją tylko na papierze. Faktycznie nadal były to zintegrowane służby.

**B.P.** – Kiedy i w jakich okolicznościach pojawili się panowie w Polsce i jakie było to pierwsze zetknięcie się z Peerelem?

**B.M.** – Pierwsi – Anglicy, jak na bitwie.

**K.B.** – Urodziłem się w Anglii, przyjechałem do Polski jako chłopak, po raz pierwszy byłem u rodziny, gdy miałem dwanaście lat. Potem w 1972

czy 1973 r., już po studiach, starałem dostać się do polskiej sekcji BBC w Wielkiej Brytanii. Wtedy okazało się, że moja znajomość polskiego jest niedostateczna, żeby tłumaczyć czy mówić do mikrofonu. Pomyślałem, że przyjadę do Polski i postaram się poprawić mój język. Potem w 1974 r. dostałem stypendium do Polskiej Akademii Nauk na dwa lata, w dziedzinie historii. Byłem u prof. Ryszki i starałem się dowiedzieć, w jakich warunkach funkcjonowała inteligencja we Lwowie w latach 1939–1941, a także, porównawczo, w latach 1945–1946. Było to dla mnie dość wyszukane i chyba za trudne, niewiele z tego wyszło, choć sporo przeczytałem na te tematy. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Ludwikiem Zimmererem, korespondentem niemieckiego radia, u którego bywałem bardzo często. Wziął mnie trochę pod swoje skrzydła i sporo mnie nauczył. W 1976 r. uzyskałem akredytację dla „Financial Times”. To była wtedy jedyna gazeta londyńska, która była zainteresowana posiadaniem korespondenta w Polsce, ponieważ Polska pożyczyla sporo pieniędzy i oni uważali, że ktoś tu powinien być. To był marzec 1976 r. i odtąd do 2000 r. pisałem o Polsce dla „Financial Times”.

**B.M.** – W moim przypadku to jest dość romantyczna historia. W Polsce znalazłem się po raz pierwszy w 1959 r. Byłem studentem i mój ojciec (jako pierwszy w naszej rodzinie był związany z Polską – był oficerem, potem walczył w ruchu oporu i był łącznikiem z armią Andersa, za co zaraz po wojnie dostał *Virtuti Militari* i Krzyż Walecznych), który zajmował się wymianą młodzieży, zadzwonił do mnie, gdy byłem na wakacjach u dziadka w Normandii, i powiedział, że jest wyjazd na obóz letni do Polski, tam trzeba mówić o Francji, o kulturze francuskiej, ktoś zrezygnował w ostatniej chwili, wyjazd jest za tydzień, czy mnie to interesuje. 14 lipca 1959 r. wchodziłem do autobusu czekającego przed hotelem Grand w Warszawie. Tam było pięćdziesiąt dziewcząt z gimnazjum im. Żmichowskiej, które miały francuski jako język wykładowy. Jedna z tych pięćdziesięciu dziewcząt jest od wielu lat moją żoną.

Moje studia były zupełnie niezwiązane z Polską ani z dziennikarstwem, to były studia klasyczne na Sorbonie. Chciałem pracować w Polsce, aby być blisko Joanny, wtedy to nie było proste. Po powrocie i odbyciu służby wojskowej spotkałem się z dyrektorem „Le Monde” i powiedziałem, że chciałbym zostać korespondentem w Warszawie. To był rok 1965. Już w grudniu tego roku zostałem specjalnym wystannikiem na kilka tygodni. To był pechowy okres, wymiany listów między Episkopatami Polski i Niemiec. Chodziłem za ks. prymasem Wyszyńskim krok w krok, od ambony do ambony – to był jedyny sposób, żeby wiedzieć, co myślał Kościół. I pisałem o tym. Wróciłem i prosiliśmy znowu o akredytację. Pierwsza odpowiedź była negatywna – nie chcemy mieć korespondenta „Le Monde”. Ale dyrektor czynił nadal starania, tylko miał jedną prośbę: „Niech pan nie robi tego, co pana poprzednicy, obaj ożenili się z Polkami i obaj zostali wydaleny z Polski, więc proszę tego nie powtarzać”. Jako trzeci z kolei powtórzyłem tę historię, łącznie z wydaleniem.



**K.P.** – To taki, można powiedzieć, stały los korespondenta „Le Monde”, najpierw został wydalony Philippe Ben, potem Jean Wetz. Nic w tym szczególnie dziwnego, bo w 1956 r. Polska trafiła na czołówki światowych gazet, a do Warszawy zaczęli ściągać zagraniczni dziennikarze. Ze względu na znaczny stopień liberalizacji systemu Warszawa zyskała opinię miejsca, gdzie można zdobyć cenne informacje nie tylko o sprawach polskich, ale i o problemach innych państw bloku komunistycznego. Dlatego dziennikarze zagraniczni byli szczególnie interesującą grupą dla kontrwywiadu. Tym bardziej że z punktu widzenia kontrwywiadu prawie każdy dziennikarz zachodni był traktowany jako potencjalny szpieg, więc wszyscy stali korespondenci byli objęci sprawami ewidencyjno-obsługowymi przez Sekcję IV Wydziału VII Departamentu II MSW.

**B.P.** – Ponieważ kontrwywiad traktował swoją działalność również jako misję polityczną, musiał efekty swojej pracy przekazywać dalej.

**K.P.** – Rozpracowanie zagranicznych dziennikarzy i dyplomatów było kierowane w formie biuletynu „Informacje o działalności kapitalistycznych dyplomatów i dziennikarzy przebywających w Polsce” na biurka Władysława Gomułki, premiera Józefa Cyrankiewicza, ministra spraw wewnętrznych Władysława Wichy i wiceministra Mieczysława Moczara. A Gomułce dostarczano także *in extenso* ciekawsze korespondencje i materiały zdobyte drogą operacyjną.

**B.M.** – Byłem młodym, nieznanym człowiekiem, ale moje losy jako ewentualnego korespondenta rozstrzygały się na dość wysokim szczeblu. André Fontaine, który był szefem wydziału zagranicznego, przyjechał latem 1965 r. do Warszawy i rozmawiał z ministrem spraw zagranicznych, którym był Adam Rapacki, a potem spotkał się ze Stanisławem Staniszewskim, dyrektorem Departamentu Prasy i Informacji MSZ. Staniszewski powiedział mu: „Jutro pan redaktor ma spotkanie z panem Kliszko, to jest bardzo duży zaszczyt”. Fontaine mówi „Dobrze, ale czy będę mógł omówić sprawę Marguerittaé, którego nie chcecie akredytować?” Staniszewski się wściekł – ma pan możliwość spotkania się z drugim człowiekiem w państwie, są chyba ważniejsze tematy. Jednak rozmawiali o tym, i Kliszko powiedział, że są dwa powody odmowy, po pierwsze, że byłem na Śląsku i pisałem o separatyzmie śląskim, a po drugie, że byłem korespondentem przy Kościele, a my takiego nie chcemy, bo to państwo akredytuje. Na to Fontaine: „Czy pan nie sądzi, że pańska policja nieco przesadziła w tych raportach?” Kliszko powiedział wtedy: „Och, to też możliwe”. W ten sposób zostałem stałym korespondentem w Polsce w 1966 r.

**K.P.** – Chciałbym poprosić o podzielenie się własnymi doświadczeniami w tych kwestiach, które wynikają z moich badań. Jeśli chodzi o korespondentów zagranicznych, to SB interesowało przede wszystkim to,





Fot. AIPN

Fotografie operacyjne wykonane z ukrycia przez wywiadowców Biura „B” MSW.

kim są, ich sylwetki, skąd czerpią dochody, ich słabości, cechy charakteru, bo to oczywiście można było przeciwko nim wykorzystać. Jest rzeczą oczywistą, że zawód dziennikarza bywa przykrywką dla pracy wywiadowczej i to się zdarza, więc zainteresowanie korespondentami zagranicznymi jest naturalne, aczkolwiek w okresie, którym się zajmowałem – ośmiu lat po 1956 r. – nie dość, że nie wykryto pracy wywiadowczej prowadzonej przez jakiegoś stałego korespondenta zagranicznego, ale nawet nie pojawiły się takie podejrzenia. Celem tej inwigilacji było przede wszystkim przeciwdziałanie temu, co nazywano „dywersją ideologiczną”, czyli ujawnianiu na zewnątrz, poza Polską tego, co dzieje się w Polsce za kulisami życia politycznego. Kontrwywiad był także mocno zainteresowany tym, w jakim środowisku obracają się korespondenci, z kim się spotykają i kto ich informuje.

**B.M.** – Dobrze pamiętam dramatyczny rok 1968. Mieszkaliśmy wtedy na Mokotowie. Przyszli do mnie między innymi panowie Michnik i Szlajfer – że mają coś do powiedzenia, ale nie chcą tego mówić w budynku. Zaproponowali, żebyśmy wsiedli do samochodu. Krążyliśmy po dzielnicy. Później, kiedy Michnik został zatrzymany, powołano mnie na świadka. Mówiłem, że żadnych specjalnych kontaktów z panem Michnikiem nie miałem, a oni mi pokazali zdjęcia nas w tym samochodzie. Powoływałem się w sądzie na prawo polskie, które umożliwia dziennikarzowi nieujawnianie treści swoich rozmów, na co przewodnicząca powiedziała: „W ten sposób pan przyznaje, że miał pan relacje zawodowe z panem Michnikiem”. Odparłem, że dziennikarz niestety nigdy nie może określić, które relacje są natury zawodowej, a które natury prywatnej. Na tym się skończyło.

**B.P.** – **Świadomość, że jest się inwigilowanym, to jedno, ale czy było to widoczne, odczuwalne?**

**B.M.** – To był okres, kiedy mieszkaliśmy na rogu Malczewskiego i Krasickiego. Później, kiedy byliśmy w Wiedniu, spotkaliśmy syna państwa, którzy mieszkali w domu naprzeciwko, powiedział „Moi rodzice ogromnie się ucieszyli, że wyjechaliście, bo przez cały wasz pobyt oni mieli jeden pokój zarezerwowany i była tam jakaś aparatura itd.” Uważałem to mimo wszystko za rzecz fantastyczną, że jednemu korespondentowi okazuje się tyle zainteresowania. Kiedy wróciłem w 1977 r., wszystko już było o wiele łagodniejsze, ten pierwszy okres był gorszy. Kiedyś jechaliśmy Puławską, a za nami pojawiła się żółta wołga. Jedziemy, a ona ciągle jest za nami. Na placu Unii Lubelskiej było wtedy pełne rondo, zacząłem krążyć, ona za mną, i tak zrobiliśmy trzy okrążenia. Ale to był rodzaj zamanifestowania obecności. Kiedy na przykład chodziliśmy w niedzielę na spacer na Pole Mokotowskie z psem, zawsze jakieś pięćdziesiąt, sto metrów za nami towarzyszyła nam dwójka ludzi. To było bardzo demonstracyjne, ale poza tym nic szczególnego się nie działo.

**K.B.** – Bardzo szybko zorientowałem się, że wszystko, co my korespondenci robimy, jest wiadome władzom. Nie ma mowy o jakiejś tam konspiracji, jakimś specjalnym ukrywaniu się, bo wszystko mniej więcej o nas wiadomo. Wiedziałem, że jestem inwigilowany, obserwowany i wobec tego nie ma co się wygłupiać. Miałem także świadomość, że jak oni chcieli, bym zobaczył, że za mną idą, to ich widziałem, a jak nie chcieli, to ich nie widziałem. Albo robili to dyskretnie, albo traktowali to jako sposób zastraszania.

#### **B.P.** – Kim byli panów informatorzy?

**B.M.** – Fakty były takie – z lektury „Trybuny Ludu” mieliśmy może 10 proc. potrzebnej informacji, więc musieliśmy mieć kontakt z żywymi ludźmi. Miałem taką zasadę, że po pierwsze muszę pisać to, co myślę, nawet gdyby były wywierane na mnie naciski. Po drugie, żeby nie robić nic, co mogłoby prowadzić do zagrożenia ludzi, z którymi rozmawiałem. Kolejna zasada, że kontakty muszą być bez żadnych ograniczeń, starałem się skontaktować ze wszystkimi, którzy mieli w konkretnej sprawie coś do powiedzenia. Miałem kontakty i z ludźmi partii, i z ludźmi Kościoła czy opozycji. Na przykład w grudniu 1970 r. pojechałem do Szczecina, gdzie trwał strajk, i byłem świadkiem tych wydarzeń, ale z drugiej strony miałem również bardzo dobre informacje na ten temat z Biura Politycznego.

#### **B.P.** – Kto był pana źródłem?

**B.M.** – Napiszę o tym w swoim pamiętniku. Ten wysoko postawiony, nieżyjący już, członek partii oczywiście nie chciał rozmawiać w pomieszczeniu zamkniętym, więc spacerowaliśmy razem po lesie. Od niego wiedziałem, co było na posiedzeniu Biura, jeszcze przed Szczecinem. Gierek, nowy pierwszy sekretarz, chciał tam pojechać – To są robotnicy argumentował – ja też jestem robotnikiem, trzeba z nimi rozmawiać. I tu towarzysz Józef Kępa powiedział – nie, ja się nie zgadzam, niech oni wrócą do pracy, a potem zobaczymy. Gierek upierał się przy swoim. Kępa wziął go za kłapy – nie, to są chuligani, z chuliganami się nie rozmawia. Potem była dwugodzinna przerwa i Gierek z Jaruzelskim, ówczesnym ministrem obrony, pojechali na lotnisko wojskowe, i do Szczecina. „Pomożecie? Pomożemy!” Opisałem to i zawiadomiono mnie telefonicznie z pałacu Mostowskich – pan redaktor jest wydalony z Polski, została anulowana moja wiza. Przez dwa dni nie wiedział o tym ani MSZ, ani ambasada PRL w Paryżu.

**K.P.** – W znanych mi dokumentach Departamentu II MSW wiele uwagi poświęcono kontaktom zachodnich dziennikarzy z ich źródłami informacji, pochodzącymi głównie ze środowiska inteligenckiego: dziennikarze (przede wszystkim związani z redakcją tygodnika „Świat” – małżeństwo Edda i Roman Werflowie), literaci (m.in. Antoni Słonimski,

Sławomir Mrozek, Jan Kott), plastycy, filmowcy, adwokaci, naukowcy (m.in. Julian Hochfeld, Adam Schaff, Oskar Lange), a także niektórzy księża oraz działacze katoliccy (m.in. Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski). W końcu 1961 r. Wydział VII Departamentu II MSW prowadził 26 tzw. teczek porządkowych na obywateli polskich, stanowiących ważniejsze źródła informacji dla zagranicznych korespondentów. Nie wiem, czy panom są znane nazwiska Aleksandra Wołowskiego, który współpracował z prasą francuską, Tomasza Atkinsa (który był współpracownikiem m.in. Philippe'a Bena) i Henryka Hollanda. To są trzy przypadki pociągnięcia obywateli polskich do odpowiedzialności karnej za to, że udzielali informacji zagranicznym korespondentom (mówię o okresie gomułkowskim).

**B.P. – Wyobrażam sobie, że panowie musieli doświadczać wielu sytuacji, utrudniających wam pracę. Myślę tu działaniach SB, które miały na celu utrudnienie dotarcia do źródeł informacji czy jakiejś formie nękania – rewizje, konfiskata materiałów, intrygi.**

**K.P. –** Jest jeszcze kwestia, na przykład rozmów ostrzegawczych w Departamencie Prasy i Informacji MSZ. I najostrzejsza forma represji, jaką można było zastosować w stosunku do niewygodnego korespondenta, czyli ekspulsja. W latach 1957–1962 na wniosek Departamentu II MSW ekspulsowano dziewięciu korespondentów zachodniej prasy, sześciu innym nie przedłużono akredytacji. W tym samym okresie uznano za *persona non grata* i wydalono z Polski około dwunastu dyplomatów i pracowników placówek dyplomatycznych oraz konsularnych.

**K.B. –** Gdy przyjechałem do Polski, to wiedziałem, że najważniejszą rzeczą jest nie dać się wplątać w żadne szpiegostwo, to znaczy ani na rzecz polskich służb, ani angielskich służb, bo to jest kanał straszny. To jest najważniejsze, żeby nie dać się w to wplątać, to do niczego dobrego nie prowadzi. Mój najgorętszy okres – to było tuż po otrzymaniu akredytacji – jesień 1976 r., powołanie KOR, Radom, Ursus, procesy korowskie we wrześniu. Wtedy zwracano mi uwagę: „Niech się pan odczepi od tych tak zwanych dysydentów”. I chcieli mnie wówczas wyrzucić z Polski. Nie doszło do tego, chyba z tego powodu, że oni zabrali się za to tuż przed wizytą Jaroszewicza w Londynie. Wyrzucenie korespondenta „Financial Times” przed wizytą premiera stworzyłoby złą atmosferę. Mam wrażenie, że interweniował wtedy MSZ. W tym czasie ktoś mi opowiadał, że jechał autobusem, a obok niego stał człowiek, który wyjął z teczek notatnik, a w nim miał moje teksty z „Financial Times”. Pokazał mu te teksty i palcem zrobił taki gest „nie, nie”, żeby już się ze mną nie kontaktować.

**B.P. – Zachowanie rodem z przedszkola, jeśli chodzi o wprowadzanie jakiejś dyscypliny.**

**K.B.** – A gdy chodzi o presję na to, co pisałem, to była ona wywierana przez MSZ. Jeżeli im się coś nie podobało, to wzywali na rozmowę. Straszne były takie doroczne przyjęcia w MSZ, tam właśnie zbierali się wszyscy ci faceci z tego departamentu, a nie był to miły departament; wizyta w nim także nie. Niemiłe też było coroczne przedłużanie akredytacji, mogli ją zawsze cofnąć. W moim przypadku nie nadużywano wywierania na mnie presji. Raczej mówiono, że oczekuje się ode mnie, żebym trzymał się tematów bardziej ekonomicznych, a mniej politycznych, co do 1980 r. nie było wcale takie proste, bo tematów ekonomicznych zwyczajnie nie było. W latach 1980–1981 dali sobie spokój.

**K.P.** – Mówi się, że policja polityczna wie tyle, ile jej doniosą agenci. Uderzające jest, że rzadko dokonywano merytorycznej analizy nadawanych przez dziennikarzy korespondencji. Najczęściej przepisywano dosłownie oceny i opinie na ich temat zawarte w doniesieniach agentów. Po części było to spowodowane dość niskim, przynajmniej w badanym przeze mnie okresie, poziomem wykształcenia oficerów operacyjnych kontrwywiadu (zwłaszcza słabą znajomością języków obcych), po części zwykłym urzędniczym lenistwem.

**B.P.** – **No właśnie, to kolejna ważna sprawa – agentów w najbliższym otoczeniu – wśród współpracowników, tłumaczy, zatrudnianego przez panów personelu biura czy w domu.**

**K.B.** – Ja nie musiałem mieć tłumacza. Od początku liczyłem się z tym, że mam założony podstuch, że gospoia może być współpracownikiem. Nie było na to sposobu. Nie będę przecież szukał podstuchu, bo nawet gdybym go znalazł, to oni mi założą nowy, a jak będę znęcał się nad gospoią za to, że ona donosi – to ona odejdzie, a tę następną też zwerbuję. Takie było wstępne założenie – jesteśmy w tym kraju, robimy to, co robimy, ten kraj jest taki jaki, jest i są w nim określone warunki tej pracy. A jeżeli chodzi o pracowników, to rzeczywiście poproszono mnie, żebym zatrudnił chłopaka po stanie wojennym. Pamiętam, że do niego się przyczepiali. Opowiadał mi, że oni się długo zastanawiali, dlaczego ja w faksie, w depeszy zmieniam jakieś słowa. Z tego rozumiałem, że analizowali każdy znak, przecinek i kleks. Ale muszę powiedzieć, że okres, w którym pracowałem, nawet na początku, w 1976 r., był zupełnie inny niż ten, o którym pan mówi. W zeszłym roku oglądałem swoją teczkę w IPN. Z tego, co tam widziałem, wynika dosyć prawdziwie to, co donoszono i co pisano o mnie. Interesowano się mną z punktu widzenia zwerbowania mnie do pracy w Anglii, tutaj nie byłem im potrzebny.

**B.P.** – **Pana wprowadzającym do pracy i mentorem, przynajmniej na początku, był Ludwik Zimmerer. Czy on pana przed niczym nie ostrzegął, nie dzielił się jakimiś swoimi doświadczeniami?**

**K.B.** – Wszystko było właściwie zupełnie jasne. Ja byłem młody i głupi i nie przychodziło mi do głowy, że może mi się coś złego zdarzyć.

**K.P.** – Z materiałów, które badam, wynika, że w willi Zimmerera założono podsłuchy.

**K.B.** – A gdzie je włożyli? I jak oni to zrobili?!

**B.P.** – Była przecież specjalna sekcja techniczna, która dysponowała takimi możliwościami. Na początku zakładano podsłuch telefoniczny, podsłuch mikrofonowy w pomieszczeniu, później stosowano także podgląd fotograficzny. Możliwości, żeby to zrobić było mnóstwo, każde przybycie do jakiegokolwiek awarii w domu było do tego stosowną okazją. Wytrenowano to dobrze, między innymi na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Tam zawsze było duże zagęszczenie obcokrajowców, cudzoziemców umieszczano w określonym hotelu itd. Służby miały też dobrze rozpracowane mieszkania korespondentów, bo bywało niejednokrotnie, że oni przejmowali mieszkania po swym poprzedniku, był też w Warszawie specjalnie dla nich wybudowany hotel Zgoda.

**K.P.** – Pensjonat Zgoda, mówię o tym nowym, już w momencie budowania został wyposażony w odpowiednią infrastrukturę, odpowiednią instalację podsłuchową i chyba też podgląd. To był „inteligentny” budynek. Ale chciałem jeszcze zapytać, czy panowie mieli jakiś rodzaj nieprzyjemności w związku z treścią panów korespondencji, jakieś ostrzeżenia?

**K.B.** – Jesienią 1976 r. zwabili mnie do hotelu Europejskiego do jakiegoś pokoju, to było podczas zatrzymań całego KOR. Tam było dwóch mężczyzn. Na początku myślałem, że oni chcą mi coś powiedzieć, bo ktoś zadzwonił i powiedział, że chce mi przekazać wiadomości. I ja głupi tam polecałem. Oni mówili, a może byśmy współpracowali, my byśmy panu dawali materiały... Panu byłoby łatwiej, miałby pan sukcesy zawodowe. Uciąłem tę rozmowę od razu i wyszedłem stamtąd. Taka była ideologia korowska – żadnych kontaktów. Jedyna koncesja, jaką zrobiłem na ich rzecz, to tyle, że nikomu nie powiedziałem o tym spotkaniu. I to w tej teczce mojej jest opisane. Tak, jak było. Od czasu do czasu czepiali się – to właśnie były te rozmowy w MSZ. Ich częstotliwość zależała od krnąbrności korespondenta.

**B.M.** – Ja miałem te rozmowy dość często, także ze Staniszewskim. Ludzie, którzy byli uprzejmi i uśmiechnięci, raptem zapraszają mnie do MSZ i mówią „Pan jest wrogiem Polski, działa przeciwko socjalizmowi, w zmoiwie, na szkodę państwa, prowadzi pan dywersję”. Tak było regularnie. Czuję taką presję. Ciekawe, że my dwaj zachowywaliśmy się nieco inaczej. Ja miałem trudności, najpierw w 1968 r., a potem przy okazji



odnawiania wizy, które się odbywało w pałacu Mostowskich. Ktoś się zajął tą sprawą, wyszedł z pokoju, mówiąc, że zaraz to załatwią. W tym czasie pojawiło się dwóch panów i mówią: „No, wiza to jedno, ale czym się pan zajmuje, jakie tematy pana interesują, bo musimy sprawdzić, czy pańska działalność jest w zgodzie ze statusem korespondenta”. Nie widziałem powodu, żeby im tego nie powiedzieć, bo zawsze rozmawiałem z nimi otwarcie o tych tematach i o tych osobach, o których oni doskonale i tak wiedzieli, że się nimi interesuję, czy to dlatego, że mnie śledzą, czy dlatego, że o tym po prostu piszę w swoich korespondencjach. Nie mówiłem natomiast oczywiście, z kim spotykałem się potajemnie – z ludźmi Kościoła czy opozycji, bo tak to robiłem, żeby oni o tym nie wiedzieli. To była swego rodzaju tragikomedia. Ty byłeś w Europejskim, a ja byłem w kawiarni koło Morskiego Oka. Tam w latach 1968–1971 mniej więcej raz na trzy miesiące prowadził ze mną rozmowy pewien jegomość. Skądinąd były to często bardzo ciekawe rozmowy, bo ludzie delegowani na takie spotkania byli na znacznie wyższym poziomie niż większość przedstawicieli partii. Na ogół był to absolwent wydziału prawa, młody, inteligentny człowiek. Zwykle też miał zupełnie inny punkt widzenia niż przedstawiciele aparatu partyjnego. Dla mnie jako korespondenta było to bardzo istotne. To było jeszcze jedno dodatkowe źródło informacji. Poza tym czasem chodzili za mną, jeździli samochodem. Zakładałem, że te rozmowy nie były dla nich zbyt interesujące, znacznie bardziej interesujące były one dla mnie, bo pozwalały mi na przykład rozumieć, jaka jest gra między aparatem bezpieczeństwa a aparatem partyjnym.

**K.P.** – Kontrwywiad interesował się też kontaktami korespondentów z własną ambasadą, przede wszystkim chodziło o to, czy ambasady zlecały zbieranie informacji politycznych, o wykorzystanie przez korespondentów kanałów dyplomatycznych do przekazywania za granicę zdobytych nieoficjalnie poufnych lub sensacyjnych wiadomości itd. Czytałem raporty wydziału Departamentu II. Oni się bardzo konspirowali, stosowali kryptonimy, ale jest to pasjonujące, na przykład kiedy te podstuchy są zakładane, zdejmowane i zakładane znowu. A przecież ambasada jest obiektem bardziej strzeżonym niż prywatne mieszkanie, ale włamania do kas pancernych były na porządku dziennym.

**B.M.** – W ambasadzie francuskiej znaleziono mikrofony w windach pięć lat po ich zainstalowaniu. Ja miałem takie stanowisko, że jestem tutaj gotów rozmawiać z każdym i wykorzystuję to jak najlepiej zawodowo, w zgodzie z sumieniem, ale muszę powiedzieć, że od razu informowałem o naszych „spotkaniach przy kawie” ambasadę francuską. Po takim wypiciu kawy i rozmowie jeździłem zawsze do ambasady, do pułkownika, i szliśmy do pokoju, który był jakoby bezpieczny. Opowiadałem o przebiegu całej rozmowy, o co pytał ten człowiek, co go interesuje, jakie jest jego nastawienie i dlaczego on w niektórych przypadkach krytykuje partię. Był taki moment, w którym zostałem potępiony w prasie, nawet w prasie



sportowej, gdy napisałem na temat Wścigu Pokoju. W książce *Sąd idzie* Maria Osiadacz pisze, że na początku lat siedemdziesiątych pan Margueritte przyjechał do Polski, aby uprawiać dywersję ideologiczną według dyrektyw pana Wiesenthala z Wiednia. Kiedy to było pisane, ja w ogóle go jeszcze nie znałem. Była jeszcze jedna rzecz, która ich denerwowała, miałem kontakt ze służbą wojskową w ambasadzie francuskiej i chciałem, żeby oni wszystko wiedzieli, a jednocześnie w ambasadzie amerykańskiej miałem swoją skrzynkę pocztową wraz z korespondentami amerykańskimi, zamawiałem przez nich oprócz korespondencji na przykład także drukarkę czy inne potrzebne mi rzeczy. W pewnym momencie jedna strona była przekonana, że jestem szpiegiem współpracującym z CIA, a druga, że może jestem współpracownikiem KGB. Podejrzanie o współpracę z CIA wynikało stąd, że kiedy byłem w Wiedniu, po czterech latach dostałem zaproszenie od Amerykanów do Harvardu i do ośrodka badań rosyjskich, gdzie był między innymi Richard Pipes. Ten ośrodek miał w krajach socjalistycznych, co jest dla mnie absurdalne, opinię ośrodka CIA, co nie było prawdą. Po prostu tam powstawały opracowania, które mogły być zamówione czy czytane przez CIA. W końcu ci „panowie” stracili ochotę do zapraszania mnie na kawę (trochę załowałem i trochę załowała nasza ambasada), bo zrozumieli, że ja mam z tego większą korzyść niż oni. Kiedy wróciłem po przerwie w 1977 r. do Polski, to chyba tylko raz miałem takie zaproszenie.

**K.B.** – Chciałem oświadczyć, że ja nie miałem żadnej skrzynki w ambasadzie amerykańskiej ani w angielskiej. Anglicy byli najgorsi, w ogóle nam nie pomagali. Nie rozmawiałem z żadnym wywiadem angielskim ani żadnym innym. Byłem zapraszany do ambasady i rozmawiałem z dyplomatami angielskimi, ale ja nawet nie wiedziałem, kto z nich jest z wywiadu wojskowego.

**B.P.** – To jest miejsce naszej rozmowy, w którym podzielę się z panami pewnym swoim doświadczeniem. Pracowałam przez kilka lat w Ośrodku Studiów Wschodnich, byłam już po sowietologicznym stypendium w Stanach, między innymi w ośrodku Pipesa. OSW metodą białego wywiadu zbierał informacje oficjalne o Wschodzie. Bardzo często wyjeżdżałam najpierw do ZSRS, potem do Rosji. Kolejny wyjazd zdarzył mi się, kiedy zaczynało się zainteresowanie Polski rynkiem paliwowym i perspektywami rozwoju wydobycia ropy naftowej. Umawiałam się w różnych miejscach z rozmówcami, wcale nie kryjąc, skąd jestem, oficjalnie, korzystając z telefonów. Mieszkałam w mieszkaniu mojej znajomej, której akurat nie było, bo wyjechała na zimowe wakacje, to było tuż przed Nowym Rokiem. Wróciłam wieczorem do domu i już przy otwieraniu drzwi zorientowałam się, że coś jest nie tak, choć nic nie wskazywało na to, że ktoś był w tym mieszkaniu, do momentu, kiedy weszłam do pokoju, który zajmowałam. Tam był po prostu totalny, teatralny kipsz, łącznie z wyrzuconymi książkami dotyczącymi



Korespondent „Chicago Daily Tribune” Irvin Lisagor, który odwiedził Polskę w sierpniu 1959 r. w ekipie dziennikarzy towarzyszących wiceprezydentowi Richardowi Nixonowi. Fotografie operacyjne wykonane w Warszawie przez wywiadowców Biura „B” MSW.

w znacznej mierze geologii, poniszczone moje rzeczy, ale co ciekawe, nie zginęło nic, łącznie z dolarami, które leżały na stoliku. Z rzeczy mojej przyjaciółki też nic nie zginęło, a miała i biżuterię, i jakiś nowoczesny sprzęt radiowo-telewizyjny. To była taka demonstracja i ostrzeżenie – jesteśmy. Natychmiast, tego samego wieczoru, zgłosiłam to na milicję, której przedstawiciel zameldował się po kilku dniach. Chciano mnie przestraszyć, co w jakimś sensie się powiodło, bo uświadomiło mi, że narażam moich przyjaciół.

**K.B.** – Ja też miałem takie wydarzenie, ale jeszcze przed akredytacją, w 1975 albo 1976 r. Moja babcia mieszkała na Tamce i miała tam wolny pokój. Akurat wtedy Joanna Szczęsna, którą poznałem u Zimmerera, nie miała gdzie mieszkać, więc zaproponowałem jej ten pokój. I wydarzyło się to samo, zrobiono coś strasznego z tym jej pokojem. Na milicji także się tym w ogóle nie zainteresowano. Wracając do tej wywieranej presji. Oczywiście takim miejscem urabiania korespondentów był Interpress, choć pozornie było to miejsce bardziej przyjazne niż wezwania na rozmowy, bo one były bardzo nieprzyjemne.

**B.M.** – Dyrektorem był Mirosław Wojciechowski. To był człowiek wywiadu wojskowego.

**K.B.** – Maciej Górski, aktualny wiceminister obrony, szef w ostatnim okresie, był zięciem Staniszewskiego.

**B.P.** – **A nigdy nie zginęły panom jakieś korespondencje, materiały, zdjęcia?**

**B.M.** – Nie, bo ja zawsze pracowałem sam, bez tłumacza, sekretarza. Jak przyjechałem w czasie strajku do Szczecina, to przed główną bramą stała furgonetka z Amerykanami. Cała ekipa próbowała wejść, a ja wszedłem bocznymi drzwiami, zadzwoniłem do przewodniczącego komitetu strajkowego i wszedłem w pojedynkę. Kiedyś jednak w Zalesiu Górnym, gdzie mieszkaliśmy, był napad na nasz dom. O tym zresztą sporo pisano.

**B.P.** – **O ile pamiętam, ten napad nosił wszelkie znamiona napadu bandyckiego.**

**B.M.** – Do dziś, szczerze mówiąc, nie wiem, co to było. Nasz dziadek został wtedy z dziećmi, my byliśmy na kolacji w Warszawie. Gdy wróciliśmy, zastaliśmy go poranionego w krzakach, zdołał tylko powiedzieć, że było dwóch z nożami. Gdy wszedłem do domu, z pierwszego piętra schodził mój syn, niosąc telewizorek, miał wówczas jakieś dziewięć lat. Za nim szedł jakiś młody człowiek. Gdy mnie zobaczył, wziął od syna telewizor i rzucił nim we mnie. Ale ja kiedyś grałem w rugby i złapałem ten telewizor...

**K.B.** – ... odrzuciłeś go temu facetowi?

**B.M.** – Nie, złapałem syna, wyprowadziłem na taras i powiedziałem – uciekaj! Sąsiedzi sprowadzili pogotowie i milicję, ja chciałem wrócić do domu, córka była na pierwszym piętrze, miała wtedy rok. Kiedy przyjechała milicja i weszliśmy do domu, widok był okropny, wszystkie kable były pocięte na drobne kawałki, telefon zniszczony. To był rok 1987. Wszędzie, a zwłaszcza w dużym pokoju, było dużo krwi. Z inspektorem milicji wchodzimy do kuchni, a tam wszędzie jest czerwono, nawet na szafkach. On wyraził obawę, że dziadek stracił mnóstwo krwi, marnie z nim będzie, ale po jakimś czasie spogląda znowu na te szafki i mówi: „Zaraz, zaraz, to jest sok z buraków”. W dużym pokoju rzeczywiście była krew, ale w kuchni – sok z buraków. Potem złapano jakichś dwóch młodych ludzi. Ja do dziś nie wiem, czy to miało charakter rabunkowy. Najbardziej zdumiewająca była jednak ta inscenizacja w kuchni. A syna trzymali przez pół godziny z nożem przy szyi i usiłowali od niego wydobyć, gdzie są pieniądze. On już wtedy miał zimną krew (dziś jest pilotem Air France) i zwodził ich, wskazując a to walizki, a to jakąś szafę. Potem osobiście zatelefonował do mnie Kiszczak, który gwarantował mi, że oni z tym nie mają nic wspólnego.

**K.B.** – Wspominaliśmy już, że najgorsze dla korespondenta było wydalenie z kraju. To była groźba i dla dziennikarza, i dla jego redakcji. Każdy szef mówił – nie daj się wyrzucić, bo to są koszty. Jak się wysyła korespondenta do jakiegoś kraju, trzeba go opłacić. Gdy go wyrzucą, trzeba wystać następnego. Wszyscy więc rozumieli, że są pewne granice, których się nie przekracza. Oczywiście w różnych okresach te granice trochę inaczej przebiegały. To była pewna gra. Z ich strony wydalenie też było dużą rzeczą. Przede wszystkim, gdy kogoś wydalali, to była zła publicity dla kraju itd. Według mnie, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, ale także w siedemdziesiątych, im zależało na tym, żeby było dużo dziennikarzy zagranicznych w Polsce. To był prestiż, to znaczyło, że ludzie interesują się Polską, przyjeżdżają tu. Można ich urabiać i trzeba mieć nad nimi kontrolę. Jak ktoś siedzi w Nowym Jorku i pisze o Polsce, to może pisać wszystko i nikt go nie kontroluje. Wydalenie było więc dla obu stron kłopotliwe. W latach osiemdziesiątych została wydalona tylko jedna osoba, koleżanka Ruth Gruber z UPI, kompletnie nie z powodu tego, co pisała, ale oni po prostu chcieli zrobić prowokację, to na pewno jest w teczkach. Myśmy musieli o tym pamiętać, że pracowaliśmy w kraju, który nie był wolny, i w związku z tym były pewne reguły, które trzeba było respektować. Amerykanie mieli większą swobodę manewru. Ale też nie chcieli być wyrzucani. Ktoś, kto zostałby wyrzucony na przykład w stanie wojennym, tracił kontakt z historią, która wtedy była bardzo chodliwa w świecie. Każdy dbał o to, żeby go nie wydalili.

**B.M.** – Na pewno inne było podejście Amerykanów i inne Europejczyków. Dla naszych agencji, we Francji, Anglii czy w Niemczech, ważne

było, by utrzymywać korespondenta, który jest długo, wszystkich zna, rozumie sytuację. Amerykanie nie; oni myśleli, że po trzech latach człowiek jest już za bardzo uwikłany i należy go zmienić jak najprędzej.

**K.B.** – Taki wyrzucony korespondent był bohaterem tylko przez chwilę.

**K.P.** – Jeśli chodzi o ekspulsję, to była taka ambiwalencja ze strony władz polskich. Z jednej strony oni chcieli, żeby byli tu zagraniczni dziennikarze, ale z drugiej dobrze byłoby, żeby ci dziennikarze pisali to, co podaje partia, co Urban mówi na konferencjach prasowych itd. Była więc kontrola nad źródłami i utrudnianie czy uniemożliwianie zdobywania informacji. Znalazłem taką historyjkę, którą znam ze źródeł, ale ciekaw jestem, czy panowie tego doświadczyli, czy słyszeli o podobnych rzeczach. Mianowicie w 1964 r. był w Łodzi taki rabin Wawa Morejno, swoją drogą chyba trochę wariat. Zamęczał władze różnymi memoriałami, w tym przypadku słusznymi, na temat losu cmentarzy żydowskich. Wysłał jeden memoriał i do premiera, i do ministrów, postanowił też poinformować zagranicę i umówił się z korespondentem bodaj UPI, że udzieli mu na ten temat wywiadu. Ten korespondent wraz ze swoim tłumaczem miał pojechać do Łodzi, o czym – nie wiem dokładnie skąd – ale dowiedziała się Służba Bezpieczeństwa. Zrobiono tego typu operację, że pod jakimś pretekstem zatrzymano korespondenta w Warszawie, natomiast do Łodzi pojechało dwóch oficerów kontrwywiadu, którzy przedstawili się jako korespondent i jego tłumacz, i oczywiście umówiony wywiad przeprowadzili. Czytałem ich raport. Były też różne inne sposoby utrudniające dziennikarzom dotarcie do źródła informacji, zatrzymanie w drodze, konfiskowanie tekstów, rewizje na granicy.

**K.B.** – Moim kolegom to się przytrafiało. Mnie tylko raz zabrali notatki, jak weszliśmy do stoczni w 1988 r. Kiedy wychodziliśmy, wszystkich nas zatrzymali i przeszukiwali, zabrali notatki, w których i tak nic ważnego nie było.

**B.M.** – Nie miałem nigdy rewizji na granicy w Polsce, ale w krajach sąsiednich to się zdarzało. Kiedy wracałem do Polski, zatrzymano mnie w NRD, wieczorem. Byłem już szczęśliwy, że koło północy dotrę do Warszawy, a tu mnie zatrzymują na parking, zabrali paszporty i mówią: „Pan wygląda na zmęczonego, to niebezpiecznie prowadzić w takim stanie samochód, niech pan tutaj zostanie, jutro rano wrócimy z paszportem”. Wrócili o szóstej rano następnego dnia. Czułem się wtedy bardzo niepewnie, bo byłem jednak przez ileś godzin bez dokumentów. Drugi przypadek, bardziej humorystyczny, zdarzył się kiedy po raz pierwszy z żoną, której rodzina jest z Kresów, jechaliśmy pociągami do Wilna. To był 1979 r., tuż po pierwszej wizycie Ojca Świętego w Polsce. Miałem ze sobą kamerę i filmy do tej kamery, jeszcze nie rozpieczętowane nawet, przeznaczone na Wilno. Na granicy oni je złapali. Tłumaczyłem, że są nowe, firmowo zapakowane. „Tak, tak, znamy te meto-



dy” – i poszli z tym. Wrócili pół godziny później. Ale dzięki temu przewieźliśmy to, co mieliśmy w kieszeniach, mianowicie teksty wszystkich przemówień Ojca Świętego wygłoszonych w Polsce.

**B.P. – A wtedy rzeczywiście w obrębie bloku było one traktowane jako wyjątkowo trefne materiały.**

**B.M.** – Trefne i bardzo ważne, tam znajome siostry zakonne, bezhabitowe dominikanki, całą noc mozolnie je przepisywały. Nawet pamiętam, że robiły to takimi mocno już stemperowanymi ołówkami...

**K.B.** – Jeżeli chodzi o te granice, to nie tylko enerdowncy byli okropni, Czesi też szaleli. Ja jeździłem często do Włoch samochodem. Kiedyś wiozłem ze sobą cały plik polskich gazet. Myślałem, że na wakacjach zdążę je przeczytać. To oczywiście teoretycznie świetnie nadawało się do szmuglowania tekstów. Celniczka patrzyła na te gazety, ale nie przyszło jej do głowy, żeby to przejrzeć. Czesi najczęściej zabierali książki. Czasami woziłem pieniądze od Eugeniusza Smolara dla różnych ludzi w kraju. Bardzo tego nie lubiłem, nie chciałem tego robić, bo wychodziłem z założenia, że nie należy robić niczego, co jest zabronione, ale też właściwie nie miałem z tym specjalnych kłopotów.

**B.M.** – W PZPR były wtedy bardzo różne prądy, jeszcze inne były w aparacie bezpieczeństwa. Opowiem, jak wróciłem po wydaleniu do Polski. Kiedy pracowałem jako korespondent w Wiedniu, będąc w Paryżu w redakcji „Le Monde” dostałem zaproszenie na koktajl do paryskiej ambasady PRL. To był pierwszy po dwóch latach milczenia sygnał od nich. Radca ambasady wziął mnie na stronę. Zapytał, czy nie mam urazu po tym, co się stało; odpowiedziałem, że moje więzi z Polską, z krajem mojej żony, są zbyt silne. A on mówi: „To ja teraz muszę panu powiedzieć, jak do tego doszło. Po tym, co pan napisał, na posiedzeniu Biura Politycznego (zatkano mnie wtedy, że losy dziennikarzy mogą być omawiane na posiedzeniu Biura Politycznego) towarzysz Kępa powiedział, no, musicie wybierać, albo Margueritte, albo ja. No i widzi pan, wówczas musieliśmy wybrać jego. To nie trwało długo, bo pięć miesięcy później była afera Moczara i wtedy Kępa też odszedł. A teraz, jeżeli pan poprosi o wizę, to pan ją dostanie”. Mówię, że jest konferencja partyjna w 1973 r. „A tak, to dostanie pan zaproszenie”. W Wiedniu dostałem rzeczywiście z konsulatu zaproszenie na konferencję, ale wówczas nośłem wielką brodę i na posterunku granicznym w Bratystawie powiedziano mi, że nie przejadę, bo na zdjęciu jej nie mam, a najbliższy, bardzo dobry fryzjer jest 7 kilometrów stąd. Wróciłem do Wiednia, zadzwoniłem do radcy i powiedziałem, że nie mogę przyjechać z powodu brody. On oddzwonił z informacją, żeby następnego dnia przeszedł przez punkt graniczny w Znojmie, powinno być dobrze. Przejechałem bez żadnych kłopotów.

**K.P.** – Mam jeszcze jedno pytanie dotyczące ekspulsji. Otóż odnoszę takie wrażenie, że bardzo często korespondenci nie mogąc napisać wszystkiego, co mogliby napisać, jakiś szerszy tekst czy książkę pisali dopiero po wyjeździe z Polski. Tak było na przykład z Abrahamem Rosenthałem, korespondentem „New York Timesa” w Polsce do 1959, kiedy go wyrzucono z Polski. Po wyjeździe napisał duży cykl artykułów i za ten cykl dostał Nagrodę Pulitzera. To była jedna z dwóch nagród, które przyznano za dziennikarstwo dotyczące Polski. Drugą otrzymał John Dart za publicystykę dotyczącą „Solidarności”.

**K.B.** – Oczywiście, że był taki rodzaj skrępowania, który na przykład nie pozwalał napisać, że Edward Gierek jest zbrodniarzem. Ale to jest gra z każdym źródłem. Myśmy byli przy źródle w Polsce. Oczywiście, były rzeczy, o których wiadomo było, że można za to zostać wyrzuconym. Na pewno można było być wyrzuconym za napisanie nieprawdy. Aczkolwiek korespondent ANSy nie został wyrzucony, gdy napisał, że Piotr Jaroszewicz nie żyje, i o mały włos nie umarł, gdy się dowiedział, że on żyje. Gdyby człowiek pisał bez przerwy, że komunizm jest kompletnie do niczego, że ten ustrój nie działa, że wszyscy są skorumpowani, brutalni itd. i strasznie dużo ludzi siedzi za poglądy, to miałby poważne trudności.

**B.P.** – Dla wielu korespondentów, dziennikarzy, którzy przyjeżdżali do Polski, to był początek lub jakiś etap drogi. Jeśli byli zainteresowani Europą Wschodnią (znam szereg takich osób), to startowali z Warszawy do Moskwy, więc nie mogli sobie pozwolić na to, żeby tu wypadć z pewnej założonej poprawności.

**K.B.** – To jest wszystko w ramach tego urabiania.

**B.M.** – Oczywiście, to działo się w ramach pewnej konwencji, ale nie mam wrażenia, że nie mógłbym wydać w formie książki tego, co wówczas pisałem. Z tym że ja zawsze sobie robiłem takie punkty – starać się przedstawić sposób myślenia i intencje danej grupy: opozycji, Kościoła, władzy. Dlaczego oni robią to, co robią? To miało bardzo śmieszne skutki, bo zawsze wieczorem Wolna Europa cytowała trzy czy cztery punkty z tych korespondencji, a nazajutrz w „Trybunie Ludu” były pozostałe punkty. Podczas stanu wojennego zaczęła się „zabawa” z cenzurą. To był jedyny okres, gdy mieliśmy bezpośrednio do czynienia z cenzurą. O trzeciej po południu odnosiliśmy w trzech egzemplarzach teksty, w języku rosyjskim, francuskim i niemieckim, czyli na przykład biedni Włosi musieli to pisać nie w swoim języku. I jak wszystko dobrze poszło, to koło ósmej to wracało z cenzury wojskowej ze zmianami. Dopiero wtedy zrozumiałem, co moi koledzy w Polsce mieli na co dzień z cenzurą. Trzeba było grać.

**K.B.** – To było rzeczywiście potworne, tutaj mówiliśmy o tym urabianiu nas, żebyśmy pisali tak, żeby się nie narazić, ale to był szok, jak oni zaczęli cenzurować. Chciałem zwrócić uwagę na to, że w momencie stanu wojenne-



go nas wszystkich nie wyrzucano, oni chcieli, żebyśmy tu byli. Prawdopodobnie dlatego, że uważali, iż stan wojenny będzie miał „łagodny” przebieg i chcieli, żebyśmy my o tym pisali. Mogli nas przecież wtedy wszystkich wyrzucić. Dali nam akredytację, zrobili cenzurę itd., ale odbywała się gra, urabianie nas i posiadanie nas na miejscu, pod kontrolą – bo gdybyśmy byli za granicą, to oni nie mieliby nad nami żadnej kontroli. Pamiętam taki incydent: przyjechał Michael Getler z „Washington Post”, siedzimy przy jakiejś kolacji, rozmawiamy. I on pyta: „Czy są takie rzeczy, o których nie możecie napisać, to ja jako przyjezdny o tym napiszę”. Myśmy nie mieli takich tematów. Były też takie techniki, że zwłaszcza jak nadeszły jakieś wyjątkowe wiadomości, to agencje starały się razem pisać, bo żadna nie chciała się specjalnie wychylać, żeby wiadomość podana jako pierwsza nie była potraktowana przez władze jako nieprzychylna. Starano się pisać w tym samym momencie i mówiło się „Tak, no przecież koledzy pisali, to ja też musiałem”. To była taka linia obrony, że koledzy napisali albo że koledzy by napisali. Może inaczej było wcześniej, my pracowaliśmy w latach siedemdziesiątych, Polska pożyczyła 20 mld dolarów i musiała się liczyć z opinią zagraniczną znacznie bardziej niż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Oni cały czas chcieli, żeby było takie wrażenie, że ten stan wojenny nie jest taki zły, jakby się wydawało. My byliśmy w dość komfortowej sytuacji.

**B.M.** – Na pewno końcówka lat sześćdziesiątych, a nawet początek lat siedemdziesiątych były znacznie gorsze. Ty miałeś lepiej, bo pracowałeś tylko w owym późniejszym, „lepszem” okresie...

**B.P.** – W tych późniejszych latach o wiele dotkliwsze represje dotyczyły ludzi, którzy nie byli chronieni statusem dyplomaty czy korespondenta – studenci, naukowcy byli znacznie bardziej bezbronni, wchodzono w ich życie osobiste.

**B.M.** – Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to, mimo wszystkich utrudnień, dla dziennikarza był okres fantastyczny, dopingujący. W czasie trwania wielkiego strajku w Gdańsku stałem się rajdowcem, bo stamtąd nie mogłem dzwonić do Paryża, linia była zablokowana. Byliśmy tam, spałem tam, wprawdzie nie na styropianie, tylko na łóżku polowym, ciągle rozmawiałem z naprawdę niezwykłymi ludźmi, potem musiałem jechać ile sił do Warszawy, przekazać swój tekst i znowu zaraz do Gdańska na popołudnie. Każdą wiadomość trzeba było nieomalże wykopać. Oficjalne wiadomości to była wata. Trzeba było się spotkać z ludźmi, mieć swoich zaufanych wszędzie, którzy też mieli do człowieka zaufanie. Przypomina mi się też późniejsza, śmieszna historia: robiliśmy takie małe przyjęcia w domu. W 1987 r. był taki koktajl, gdzie był wicepremier Rakowski, ks. Orszulik i inni ludzie z opozycji i z partii, to u nas było normalne. Widziałem w pewnym momencie, że w kącie rozmawiają ks. Orszulik z Rakowskim. Potem mi powiedzieli: „Słuchaj Bernardzie, bardzo ciekawie się nam rozmawia, chcielibyśmy kontynuować, ale

nie możemy tego robić ani tam, ani w Episkopacie, więc czy można do ciebie jeszcze przyjechać kolejny raz? „Dwa miesiące później przyjechali i znów trzy godziny rozmawiali. Pierwszą godzinę z moim udziałem, potem sami. I to się powtórzyło jeszcze raz za miesiąc; a to było kilka miesięcy przed znanymi rozmowami w Wilanowie. O panu Rakowskim mógłbym dużo opowiadać, również w kontekście działań tych służb. Wchodzimy do biura wicepremiera, zawsze wychodził, witał, zapraszał. A tu – siedzi za biurkiem, mówi: „Jestem jeszcze zajęty, muszę coś dokończyć, proszę tutaj usiąść”. Ale daje mi jakiś kawałek papieru. Czytam – sytuacja jest tragiczna, twardogłowi są w natarciu, koło Jaruzelskiego jest nas dziesięciu, a Grabski, Olszowski, Kociotek chcą tego i tego. Sytuacja jest bardzo zła. Siedzę dalej. On podchodzi do mnie: no, to już jestem gotów, to możemy porozmawiać. Odebrał mi ten papier i zaraz go zniszczył. Zobaczyłem, że nie tylko korespondenci, ale i ludzie partii, nawet wicepremier, byli obserwowani i musieli uważać. Na zakończenie powiem, że najtrudniejsza dla zachodniego dziennikarza była zawsze sprawa odpowiedzialności za konsekwencje, jakie z powodu naszych kontaktów mogą grozić tym, z którymi rozmawiamy. To była ciągła presja osobista.

**Krzysztof Bobiński** – od 1976 r. korespondent „Financial Times” w Warszawie.



**Bernard Margueritte** – od 1965 r. korespondent „Le Monde” w Warszawie.

**Krzysztof Persak** – historyk w BEP IPN i ISP PAN, autor przygotowywanej do druku książki *Sprawa Henryka Hollanda*.



# POWRÓT PROFESORA INFELDA

**Postawy polskich intelektualistów wobec komunizmu są od dawna przedmiotem zainteresowania historyków. Badacze pierwszego dziesięciolecia Polski Ludowej, gdy komunizm przybrał w naszym kraju najbardziej skrajną, stalinowską postać, ze zdumieniem stwierdzają, że wielu wybitnych pisarzy, poetów i naukowców popierało władzę i czynnie uczestniczyło w budowie totalitarnego ustroju.**

Postawy intelektualistów próbowano wytłumaczyć na różne sposoby. Jedni wskazywali, że komuniści kontrolując całość życia kraju, w tym wydawnictwa i szkoły wyższe, mieli niczym nieograniczone możliwości wywierania nacisku na ludzi kultury i nauki, z czego skwapliwie i umiejętnie korzystali. Inni skłonni są podkreślać, że to oportunizm i koniunkturalizm samych twórców były czynnikami decydującymi. Za możliwość druku książek, ciepłe posadki na uczelniach i różnorodne przywileje gotowi byli spełnić każde zamówienie zgłaszane przez komunistów. Niekiedy podkreśla się również, że wielu ludzi nauki i kultury po horrorze wojny i okupacji dało się przekonać, iż nowy ustrój budowany jest w interesie całej ludzkości, i w dobrej wierze włączyło się w sterowane odgórnie struktury totalitarnego państwa. Gdy spostrzegli, że nie wszystko jest w porządku, często było już za późno, aby się wycofać.

Wśród ludzi polskiej kultury i nauki zdarzały się jednak przypadki nietypowe, które wymykają się jednoznacznej klasyfikacji i ocenie. Jednym z nich była osoba Leopolda Infelda, niewątpliwie jednego z najwybitniejszych uczonych polskich XX wieku.

## Młodość

Urodził się w Krakowie w 1898 r. w mieszczańskiej rodzinie żydowskiego pochodzenia. Od wczesnej młodości odznaczał się dużymi zdolnościami; uczył się równolegle w polskiej szkole publicznej i w żydowskim chederze. Ojciec marzył o tym, aby jego syn zgodnie z tradycją rodzinną kontynuował zawód kupca i przejął po nim sklep. Młody Leopold wprawdzie zgodnie z życzeniem ojca podjął naukę w średniej szkole handlowej, ale nie zajmował go los rodzinnego przedsiębiorstwa. Bardzo wczesnie zainteresował się fizyką, która z czasem stała się pasją jego życia. Aby zrealizować swoje marzenie o studiach uniwersyteckich, równolegle ze szkołą handlową przerabiał kurs gimnazjalny.

## W gronie najwybitniejszych

Już podczas I wojny światowej Leopold Infeld uczęszczał na wykłady fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem kształcił się w Berlinie, gdzie słuchał wykładów Maxa Plancka i Maxa von Laue oraz poznał Alberta Einsteina<sup>1</sup>. W 1921 r. obronił w Krakowie doktorat dotyczący pewnych aspektów teorii względności, rozpoczynając swą wielką karierę naukową. W następnych latach Infeld sporo podróżował, głównie w celach naukowych, co przyczyniło się do pogłębienia jego zainteresowań, zwłaszcza pod wpływem spotkań z wybitnymi

<sup>1</sup> E. Infeld, I. Białynicki-Birula, A. Trautman, *Leopold Infeld. His Life and Scientific Work*, Warszawa 1978, s. 5.

uczonymi. W 1933 r. wyjechał na stypendium Fundacji Rockefellera do Cambridge w Massachusetts. Wyjazd do Ameryki dał mu możliwość dalszego rozwoju oraz współpracy z wybitnymi fizykami teoretycznymi. Praca z Maxem Bornem zaowocowała wspólnym opublikowaniem kilku dzieł naukowych. Pomoc Einsteina, z którym się zaprzyjaźnił, sprawiła, że w 1936 r. otrzymał stypendium w Institute for Advanced Study na Uniwersytecie w Princeton<sup>2</sup>. Jak się potem okazało, wyjazd ocalił Infeldowi życie. Gdyby został w Polsce do września 1939 r., prawdopodobnie podzieliłby los większości polskich Żydów zamordowanych przez niemieckich nazistów w gettach i obozach zagłady.

Wieloletnia współpraca Infelda z Einsteinem była owocna dla nich obu. Niewątpliwie Einstein w tym zespole odgrywał wiodącą rolę, ale polski uczyony dotrzymywał mu kroku, i w niektórych aspektach prowadzonych badań wniósł własny, oryginalny wkład. Ważnym osiągnięciem Infelda było również napisanie wspólnie z Einsteinem książki *O głównych ideach fizyki w jej logicznym rozwoju*. Spotkała się ona z wielkim zainteresowaniem czytelników i przyniosła Infeldowi spory rozgłos i niezłe pieniądze, umożliwiając dalszy pobyt w Ameryce. Na rok przed wybuchem wojny otrzymał propozycję pracy na Uniwersytecie Toronto i przeniósł się do Kanady, która stała się jego drugą ojczyzną na wiele następnych lat. Pracował tam nad zagadnieniami uogólnienia równań ruchu, czym zajmował się już podczas współpracy z Einsteinem.

### Podczas wojny

Sytuacja Infelda zmieniła się po wybuchu wojny, kiedy to Kanada, jako członek antyhitlerowskiej koalicji, znaczną część swego potencjału przemysłowego i naukowego skierowała na realizację celów wojennych. Narodowa Rada Badań Naukowych w Ottawie (National Research Council) postanowiła wykorzystać talent Infelda na potrzeby przemysłu zbrojeniowego. Okazało się jednak, że włączenie profesora do prac tajnego zespołu naukowców napotkało trudności, gdyż początkowo nie przeszedł tak zwanego „clearingu” prowadzonego przez kanadyjskie służby specjalne. Poinformowany o tym Infeld był przekonany, że podejrzania władz kanadyjskich wynikały z jego poglądów politycznych, ale zapewniono go, iż źródłem obaw jest fakt przebywania jego rodziny pod okupacją niemiecką, co mogłoby być wykorzystane przez Niemców do szantażowania profesora. Ostatecznie Infeld „clearing” jednak otrzymał i pracował naukowo nad zagadnieniami balistyki i badaniami nad radarem. W spisanych po wojnie wspomnieniach bagatelizował te prace, twierdząc, że nie były „zbyt ważne, ale jednak nie pozbawione zupełnie znaczenia”<sup>3</sup>. Infeld wiedział również o prowadzonych w Kanadzie badaniach nad konstrukcją bomby atomowej, przy których zaangażowany był bezpośrednio jeden z jego uczniów. On sam zaprzeczał jednak konsekwentnie, aby miał z nimi cokolwiek wspólnego<sup>4</sup>. Jedno nie ulega natomiast wątpliwości, z biegiem lat jego pozycja w świecie nauki wzrastała, stał się wielkim autorytetem, jego prace były doceniane, a on sam cieszył się szacunkiem środowiska akademickiego.

Przez wszystkie lata pobytu za oceanem Leopold Infeld nie zapomniał o Polsce, z którą zawsze był silnie związany emocjonalnie. Oczywiście dopóki trwała wojna, powrót do kraju był niemożliwy. Po jej zakończeniu teoretycznie stał się realny, ale Infeld nie bardzo miał do czego wracać. Jego najbliżsi zostali zamordowani, a polskie uniwersytety dopiero dźwigały się z ruin

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 6.

<sup>3</sup> L. Infeld, *Szkice z przeszłości. Wspomnienia*, Warszawa 1964, s. 170–172.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 172.



i w żadnym razie nie mogły stanowić atrakcyjnego miejsca pracy. Była jeszcze i inna przeszkoda. Nad Wisłą władzę objęli komuniści, wrogo ustosunkowani do demokracji i w ogóle do Zachodu, w tym Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wkrótce zaczęła się zimna wojna, a nauka, w tym także fizyka teoretyczna, stała się jednym z najważniejszych obszarów rywalizacji. Świat wszedł w epokę atomową, a broń jądrowa miała decydujące znaczenie dla obu supermocarstw.

Wydawać by się mogło, że wszystkie okoliczności przemawiać będą za pozostaniem profesora na Zachodzie, gdzie był znany i ceniony, gdzie prowadził uporządkowane, dostatnie życie, gdzie mógł dalej rozwijać swój nieprzeciętny talent. A jednak stało się inaczej. W 1950 r. profesor Leopold Infeld niespodziewanie wrócił do Polski na stałe, co było sensacją niemalże

o światowym zasięgu. Okoliczności jego powrotu są do dziś nie do końca jasne, chociaż upłynęło od tego czasu ponad pół wieku i wydano na ten temat sporo publikacji, tak w Polsce, jak i w Ameryce. Zachowane dokumenty polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych rzucają nieco światła na tę niezwykłą sprawę.

### **Komunistyczne poglądy**

Nie ulega wątpliwości, że profesor Infeld, chociaż nie był członkiem żadnej partii politycznej, miał lewicowe poglądy. Wynikało to po części z jego doświadczeń w Polsce, gdzie doznał sporo przykrości ze strony radykalnych antysemitów, ale większy wpływ na jego społeczne i polityczne poglądy wywarł Joseph Winternitz, młody naukowiec i członek niemieckiej partii komunistycznej, później jeden z jej czołowych działaczy, z którym zaprzyjaźnił się podczas studiów w Berlinie w początkach lat dwudziestych.

Leopold Infeld w pisanych u schyłku życia wspomnieniach wyraźnie określił się jako zwolennik idei komunistycznej, choć przyznawał, że jego przekonania nie były wynikiem gruntownych przemyśleń opartych na lekturach dzieł klasyków marksizmu ani studiów nad praktyką rządów komunistycznych w Związku Sowieckim. Wprawdzie nie zamykał oczu i nie usprawiedliwiał terroru panującego w Rosji, ale zarazem zawsze bronił „Związku Sowieckiego wobec tych, którzy nań napadali, i zawsze [był] wierny idei komunizmu”. Co więcej, przez całe swoje dorosłe życie w Berlinie, w Polsce, a potem w USA i Kanadzie przyjaźnił się prawie wyłącznie z „ludźmi postępowymi”, czyli jawnymi komunistami lub ich zwolennikami<sup>5</sup>. Na

<sup>5</sup> L. Infeld, *Kordian, fizyka i ja. Wspomnienia*, Warszawa 1967, s. 182–183.

jego przekonania wpływ miała również atmosfera na amerykańskich i kanadyjskich uczelniach, gdzie było wówczas wielu lewicowych naukowców, a sympatie prosowieckie były bardzo silne. Po najeździe Trzeciej Rzeszy na Związek Sowiecki w 1941 r. Infeld wraz z prof. Fairleyem utworzył Towarzystwo Przyjaźni Kanadyjsko-Radzieckiej, które rozwinęło działalność na szeroką skalę, ciesząc się początkowo poparciem władz. W mityngach organizowanych przez stowarzyszenie brali udział prominentni politycy, w tym sam premier Kanady<sup>6</sup>.

Dopóki trwała wojna, władze patrzyły na aktywność prosowieckich lewicowców przychylnym okiem, ale gdy po jej zakończeniu stosunki Kremla z krajami zachodnimi uległy pogorszeniu, powstały problemy. Na zwolenników stalinowskiej Rosji zaczęto spoglądać podejrzliwie, zwłaszcza jeśli nie chcieli zrewidować swojego stosunku do Związku Sowieckiego i angażowali się otwarcie w działalność na rzecz Kremla. Infelda zaliczono do grona tak zwanych „fellow travellers”, czyli zwolenników komunizmu. Trzeba stwierdzić, że profesor dawał aż nadto powodów do podejrzeń o prosowieckie poglądy, angażując się w obronę kanadyjskich intelektualistów aresztowanych w następstwie ucieczki urzędnika ambasady ZSRR w Ottawie Guzenki, który dostarczył władzom dowody ich współpracy z wywiadem sowieckim<sup>7</sup>.

Poczynania i polityczna postawa prof. Infelda bulwersowały nie tylko Kanadyjczyków, ale również Polaków. Gdy znany polski historyk prof. Oskar Halecki wygłosił w Toronto wykład bardzo krytyczny wobec polityki Związku Sowieckiego, Infeld postanowił otwarcie zaprotestować. Napisał list do Haleckiego, zawiadamiając go, że na znak protestu występuje z Polskiej Akademii Umiejętności na Wygnaniu, której Halecki był prezesem. Na tym jednak się nie skończyło. List ten został wysłany do pism kanadyjskich, a dodatkowo prof. Infeld napisał pochwalny artykuł o komunistycznej Polsce do miesięcznika literackiego „Forum”. W środowisku polskiej emigracji politycznej przyjęto to jak najgorzej, za to w Warszawie i Moskwie jak najlepiej. „Głównodowodzący” wojny psychologicznej w obu stolicach krajów komunistycznych dostrzegli od razu, że postawę profesora można wykorzystać propagandowo. Jest rzeczą bardzo znamieną, że artykuł Infelda przedrukowały dwa czołowe dzienniki sowieckie: „Prawda” i „Izwestia”<sup>8</sup>.

## Odwiedziny

Nie może zatem dziwić, że po uznaniu przez Kanadę zdominowanego przez komunistów rządu w Warszawie profesor wyrażał gotowość przyjęcia stanowiska pośta Polski Ludowej w Ottawie, do czego zachęcić go miał przykład innego lewicowego uczonego Oskara Langego, który mianowany został ambasadorem w Waszyngtonie<sup>9</sup>. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale Infeld szybko nawiązał bliskie kontakty z dyplomatami z poselstwa polskiego w Ottawie. Zaprzyjaźnił się najpierw z pośtem Alfredem Fiderkiewiczem, a potem jego następcą E.J. Milnikielem. Był częstym gościem w gmachu poselstwa, umawiał się tam na oficjalne i prywatne spotkania. Podczas jednego z nich poseł Milnikiel zaprosił Infelda w imieniu władz Polski Ludowej do odwiedzenia kraju z cyklem wykładów uniwersyteckich. Mowa była również o doradzaniu rządowi polskiemu w sprawach organizacji nauczania fizyki na szczeblu uniwersyteckim.

Bycie Infelda w Polsce zamierzano wykorzystać do „rozegrania partii” z uczonym, w której zaangażować się miały osobistości na najwyższym szczeblu państwowym. Sugerowano, że

<sup>6</sup> *Idem*, *Szkice...*, s. 183.

<sup>7</sup> *Ibidem*, s. 183–185.

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 189–190.

<sup>9</sup> Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych (dalej: AMSZ), Departament III, w. 9, t. 127, Notatka w sprawie prof. Leopolda Infelda opracowana przez radcę ambasady polskiej w Londynie A. Morskiego, 2 V 1949 r., k. 27.

Polska Ludowa powinna umożliwić utworzenie „Instytutu z Infeldem na czele” i dać uczonemu warunki bytowe nie gorsze od tych, jakie stworzono mu w Kanadzie. Proponowano ponadto grać na jego próżności i udzielić mu audiencji u prezydenta Bolesława Bieruta.

Infeld zaproszenie przyjął i w 1949 r. po raz pierwszy od czasów przedwojennych wyjechał do Europy. Najpierw znalazł się w Irlandii, gdzie wygłosił wykład w tamtejszym Institute for Advanced Study. Przybył wówczas wybitny polityk i bohater narodowy Irlandii Eamon de Valera, który po wykładzie długo rozmawiał z Infeldem<sup>10</sup>. W Wielkiej Brytanii, dokąd się następnie udał profesor, został równie serdecznie przyjęty przez tamtejszego ambasadora Polski Ludowej Jerzego Michałowskiego. Zorganizowano spotkanie z wybitnymi brytyjskimi uczonymi, w tym z laureatem Nagrody Nobla prof. Patem Blackettem. Dyplomaci polscy w Londynie nie szczędzili profesorowi uprzejmości, ale zarazem uważnie go obserwowali i analizowali każdą jego wypowiedź. Chociaż generalnie uważali, że pozyskanie Infelda będzie korzystne dla interesów komunistycznego państwa, nie wszystko w jego postawie im się podobało. W poufnej notatce wystanej z Londynu do sekretarza generalnego MSZ Stefana Wierbłowskiego stwierdzono, że Infeld jest „egocentrykiem i oportunistą” i ma w zwyczaju wykorzystywać każdą okazję do reklamowania swojej osoby. Przytaczano nawet opinię prof. Levy’ego, członka angielskiej partii komunistycznej, że Infeld jest filistrem, „który w swoim liberalizmie gotów jest pójść do pewnych granic, ale nie dalej”. Wyraził nawet wątpliwość, czy Infeld zechce związać się z komunistami i pracować w Polsce. Wobec tych krytycznych uwag autor notatki proponował, aby zrezygnować z pierwotnie planowanego przedstawienia Infelda prezydentowi Bierutowi, przynajmniej „przed gruntownym wysondowaniem go przez ludzi do tego powołanych i przed upewnieniem się, że zechce on się wyraźnie zaangażować”<sup>11</sup>.

Po kilkudniowym pobycie w Londynie profesor wyjechał do Polski. Poleciał najpierw brytyjskim samolotem wojskowym do Berlina, gdzie zatrzymał się w budynku Polskiej Misji Wojskowej. Miał tam okazję zobaczyć, jak wygląda sytuacja w mieście dotkniętym sowiecką blokadą, co powinno dać mu wiele do myślenia. Całość zaopatrzenia, łącznie z żywnością i węglem, dostarczana była do Berlina mostem powietrznym przez amerykańskie samoloty. Miasto znalazło się na skraju wytrzymałości, a jego ludność była zagrożona głodem.

Następnym etapem podróży była Warszawa, gdzie przyjęto profesora bardzo serdecznie i umieszczono w hotelu Bristol. Spisując po latach wrażenia ze swojej pierwszej powojennej podróży do Polski, Infeld podkreślał, jak bardzo uderzyła go niska stopa życiowa w zniszczonym wojną kraju i słaby poziom nauki polskiej, zwłaszcza fizyki. Niemile zdziwiła go również ogromna nieufność i podejrzliwość w stosunku do ludzi z Zachodu. „Życie przygotowało mnie – pisał jednak profesor – aby być zwolennikiem socjalizmu, aby być pobłażliwym dla braków, które widziałem, aby w pamięci zachować głównie rzeczy dobre. Krótko mówiąc, pomimo wad, które widziałem, i tych, z których nie zdawałem sobie może w pełni sprawy, zakochałem się w tej Polsce”.

Zachowane w archiwum MSZ sprawozdanie z rozmowy, jaką przeprowadzono z profesorem Infeldem w polskim poselstwie w Kanadzie po jego powrocie z Polski, w zasadzie jest zgodne z odczuciami uczonego. Ogólne wrażenia z pobytu w Polsce były pozytywne. Infeld, wedle relacji polskiego dyplomaty, podkreślał „żywe tempo pracy i odbudowy” kraju. W 90 proc. zgadzał się z tym, co władze robiły w dziedzinie szkolnictwa wyższego. Wyraził nawet

<sup>10</sup> *Ibidem*.

<sup>11</sup> AMSZ, Departament III, w. 9, t. 127, Poufna notatka A. Morskiego dla S. Wierbłowskiego, 5 V 1949 r., k. 31–32.



pogląd, że „ustrój uniwersytetów kanadyjskich jest podobny do ustroju uniwersytetów sowieckich”. Spotkało się to oczywiście z aprobatą ludzi odpowiedzialnych za politykę naukową Polski Ludowej, w coraz większym stopniu wzorujących się na rozwiązaniach sowieckich. Nie żałował również profesor Infeld pochwał pod adresem prezydenta Bieruta, o którym „wyrażał się z najwyższym uznaniem, jako o człowieku wielkiego tactu, cieszącym się ogólnym szacunkiem w kraju”. Krytyczne akcenty dotyczyły spraw dość błahych. Infeld niezadowolony był ze źle działających telefonów, przejawów biurokratyzmu w urzędach oraz z działalności Ministerstwa Kultury i Sztuki. Głębsze znaczenie miały natomiast jego uwagi dotyczące współpracy zagranicznej w dziedzinie naukowej. Był zdania, że nie należy się odcinać od Zachodu, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie ma jeszcze wsparcia naukowego ze Wschodu. Stawiał retoryczne pytanie: „Co zrobi biedna nauka polska bez pomocy Zachodu lub Wschodu?”<sup>12</sup>.

### **Zakochany, niezdecydowany**

Profesor zakochał się w Polsce Ludowej, ale do decyzji o powrocie na stałe było jeszcze daleko. Infeld był pomimo wszystko ostrożny. Gdy wiceminister Eugenia Krassowska zaproponowała mu powrót na stałe, obiecał jedynie przyjechać do Polski na roczny pobyt naukowy. Okazało się jednak, że profesor musiał podjąć zasadnicze decyzje życiowe szybciej, niż się spodziewał, i zmuszony był to zrobić w atmosferze niemalże międzynarodowego skandalu.

O braku decyzji o powrocie świadczą mogą zapiski we wspomnieniach, że czuł się za stary, aby zrezygnować z wygodnego życia, jakie wiódł w Kanadzie. Pamiętać musiał również o rodzinie. Jego żona była Amerykanką i przystosowanie się do życia w Polsce mogło być dla niej (podobnie jak dla dwojga dzieci) poważnym problemem. W tej sytuacji uczony zachowywał się dość ostrożnie, proponując władzom polskim przyjazd na roczny kontrakt, po którym miał znowu wrócić do Toronto. Radził się w tej sprawie również Alberta Einsteina, człowieka, do którego miał największe zaufanie. Podczas spotkania w Princeton zapytał go wprost, co sądzi o jego wyjeździe do Polski na rok. Genialny fizyk odpowiedział Infeldowi, że nikt nie może mu czynić wyrzutów z tego powodu, ale dał jednocześnie wyraz swoim wątpliwościom, czy w przyszłości sytuacja w Polsce nie zmieni się na gorsze. Infeld wyraził przekonanie, że takiej groźby nie ma, i przyjął słowa Einsteina jako zachętę do wyjazdu.

Równolegle trwała korespondencja na temat warunków, na jakich profesor miałby przyjechać do Polski. Infeld oczekiwał, że zostanie z nim zawarty roczny kontrakt na wykłady w Uniwersytecie Warszawskim i prace przy organizowaniu ośrodków fizyki teoretycznej w Polsce. Ponadto miał uczestniczyć w pracach nad organizacją szkolnictwa wyższego. Domagał się również sprecyzowania warunków materialnych swego rocznego pobytu i opłacenia kosztów podróży dla niego i rodziny<sup>13</sup>.

Chociaż uczony w zasadzie zdecydował się na roczny wyjazd do Polski, ciągle powstawały nowe przeszkody. Najpierw pojawiła się atrakcyjna propozycja wyjazdu na wykłady o teorii względności do Princeton, a potem okazało się, że władze macierzystej uczelni niezbyt chętnie odnoszą się do planów profesora. Wydawało się jednak, że przy dobrej woli z obu stron wszystkie przeszkody zostaną przewyżczone i Infeld będzie mógł wyjechać do Polski, nie zrywając więzi ani z Kanadą, ani ze Stanami Zjednoczonymi.

<sup>12</sup> AMSZ, Gabinet Ministra, w. 1, t. 7, Sprawozdanie z rozmowy z prof. L. Infeldem, 13 VII 1949 r., k. 521–524.

<sup>13</sup> AMSZ, Departament III, w. 9, t. 127, Pismo p. E.J. Milnikiela do dyrektora W. Michajłowa z Ministerstwa Oświaty, 15 XI 1949 r., k. 35–37.

## Skandal

Wszystko zmienił artykuł w wydawanym w Montrealu katolickim czasopiśmie „Ensign” napisany przez redaktora Thompsona, któremu Infeld udzielił wywiadu, zwracając się ze swoich planów wyjazdu do Polski. Artykuł Thompsona pt. *Professor Infeld Recalled to Poland* sugerował, że to rząd polski odwołuje Infelda do kraju. Co jednak najgorsze, autor przekonywał czytelników, że polski uczyony jest znanym autorytetem w dziedzinie atomistyki i zna wiele tajemnic, które uzyskał od Einsteina, i zamierza je przekazać Sowiетom, co ogromnie zagrozi bezpieczeństwu całego Zachodu<sup>14</sup>.

Wybuchł skandal. Dziennikarze wielkich gazet i agencji prasowych z USA i Kanady zainteresowali się sprawą i prof. Infeld znalazł się w ogniu krytyki z różnych stron. Próbował się bronić, dowodząc, że nigdy nie miał nic wspólnego z badaniami atomowymi i nie zna żadnych tajemnic, które mógłby komukolwiek zdradzić. Niewielu chciało go słuchać, a znaleźli się wpływowi ludzie, którzy postanowili przeszkodzić Infeldowi w wyjeździe do Polski. Należał do nich przede wszystkim czołowy polityk kanadyjski George Drew, przewodniczący opozycyjnej partii konserwatywnej. W trybie nagłym poruszył on sprawę Infelda na forum parlamentu w Ottawie i postawił wniosek, aby „podjąć odpowiednie kroki dla zbadania okoliczności, w jakich dr Infeld zamierza wyjechać do Polski, uzbrojony w wiedzę, którą uzyskał podczas dwuletniej współpracy z dr. Einsteinem w Stanach Zjednoczonych, i z kilkuletniej swej działalności na polu matematyki i fizyki na Uniwersytecie w Toronto”. Dla George’a Drew podejrzane było również to, że Infeld zdołał kilka lat wcześniej z dużą precyzją przewidzieć, kiedy Związek Sowiecki wejdzie w posiadanie broni atomowej. Jak wiadomo, wybuch sowieckiej bomby atomowej nastąpił w sierpniu 1949 r. i był wielkim zaskoczeniem dla amerykańskich polityków i opinii publicznej na Zachodzie<sup>15</sup>.

Prof. Leopold Infeld pisze w swoich wspomnieniach, że poczuł się ofiarą nagonki rozpętanej z przyczyn politycznych i zupełnie pozbawionej racjonalnych podstaw. Uważał nawet, że pierwsza połowa 1950 r., kiedy stał się obiektem ataków prasy i ostracyzmu ze strony Kanadyjczyków, była najgorszym okresem jego życia<sup>16</sup>. Nie ma powodów, aby mu nie wierzyć, warto jednak zastanowić się, czy obawy Amerykanów i Kanadyjczyków były zupełnie bezpodstawne.

W tajnym dokumencie Ambasady RP w Londynie z maja 1949 r. dotyczącym prof. Infelda napisano, że „głęboka i koncepcyjna wiedza matematyczno-fizyczna Infelda była wykorzystywana w Kanadzie, podobnie jak wykorzystywano w USA geniusz matematyczny Einsteina, do rozwiązywania zagadnień związanych z energią atomową, radarem”. Wyrażano nawet przypuszczenie, że Infeld może być głęboko związany z pracami nad rozwojem energii atomowej, co utrzymywane jest ze zrozumiałych względów w ścisłej tajemnicy. Pozyskanie prof. Infelda, w świetle tego dokumentu, miałyby dla Polski Ludowej „podobne znaczenie jak miało dla Anglosasów przyciągnięcie do współpracy [...] Einsteina i wielu innych uchodźców-naukowców z Europy”. Korzyści z powrotu profesora upatrywano nie tylko w tym, że może on powiedzieć wiele ciekawych rzeczy o stanie zaawansowania ba-

<sup>14</sup> L. Infeld, *Szkice...*, s. 209.

<sup>15</sup> W wydanej w Stanach Zjednoczonych autobiografii napisał, że w latach 1945–1949 wygłosił około 100 popularnych wykładów, w których przekonywał słuchaczy, iż tzw. sekret bomby atomowej nie istnieje, i w ciągu trzech lat Sowieci będą dysponować wiedzą niezbędną do jej konstrukcji. Apelował do polityków Zachodu, aby wykorzystali ten czas do zbudowania wzajemnego zaufania między Wschodem a Zachodem (L. Infeld, *Quest-An Autobiography*, New York 1980, s. 354–355).

dań nad energią atomową w Ameryce, ale przede wszystkim w tym, że jest on w stanie nadać badaniom naukowym w kraju nowy impuls i kierunek<sup>17</sup>.

Leopold Infeld podczas swego pierwszego pobytu w Polsce wystąpił wobec władz w Warszawie z koncepcją utworzenia specjalnego instytutu nauk ścisłych. Według oceny władz polskich miała to być placówka, w której „najwybitniejsze siły naukowe (sprowadzone jak on z zagranicy) postawiłyby na właściwym poziomie naszą naukę i dały naszym uniwersyтелям i politechnikom typ nowego profesora, mierzącego się z najlepszymi na Zachodzie, umięającego w koncepcyjny sposób wiązać teorię matematyko-fizyczną z praktyką (jak wiemy, z takiego połączenia powstała bomba atomowa, radar itd.)”<sup>18</sup>.

Infeldem zainteresował się II Oddział Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gdzie studiowano materiały nadesłane na jego temat przez MSZ, co świadczy o poważnym potraktowaniu jego osoby nie tylko przez polską dyplomację, ale również przez polskie służby specjalne. Dalsze badania pozwolą prawdopodobnie ustalić, jakie działania podejmowały one w tej sprawie. Nie ulega już teraz jednak wątpliwości, że władze polskie dostrzegały militarny aspekt sprawy i liczyły na korzyści dla obronności kraju związane z powrotem tak znakomitego uczonego.

Chociaż wielu znajomych i przyjaciół po opublikowaniu artykułu w „Ensign” radziło Infeldowi, aby zrezygnował z wyjazdu do Polski, on zdecydował się mimo wszystko jechać. Duży wpływ na jego decyzję miały kolejne rozmowy z posem polskim w Ottawie Milnikielem i rosnące poczucie izolacji w dotychczasowym środowisku.

Władze w Warszawie zamierzały utrzymać wyjazd profesora do Polski w tajemnicy, co się zresztą nie udało, gdyż zawiodła koordynacja pomiędzy poszczególnymi instytucjami zaangażowanymi w tę sprawę. Poselstwo w Ottawie zachowywało wprawdzie dyskrecję, ale na niewiele się to zdało, skoro Narodowy Bank Polski na zlecenie Prezydium Rady Ministrów w Warszawie przestał do Bank of Canada czekać na 1500 dolarów amerykańskich z wyraźną dyspozycją, że pieniądze są przeznaczone na koszty podróży Leopolda Infelda. Zdenerwowany tym faktem poseł Milnikiel w liście do MSZ napisał: „Powiedzcie mi, po co takie rzeczy ujawniać i komu to potrzebne. Zaszkodzić zaś może na pewno”<sup>19</sup>. Nie lepiej zachowali się urzędnicy towarzystwa żeglugowego Gdynia American Line (GAL) w Nowym Jorku i Montrealu, którym polecono zarezerwować miejsca na „Batorym” dla rodziny profesora Infelda, ale nie umieszczając ich na liście pasażerów. GAL w korespondencji z żoną Infelda zamieścił informacje nie tylko o samym fakcie planowanego wyjazdu do Polski, ale również ujawnił, że opłacony będzie przez polskie władze. Polscy dyplomaci w Ottawie obawiali się, że amerykańskie i kanadyjskie służby specjalne przejmują korespondencję kierowaną do polskich placówek w Kanadzie oraz do Infeldów i przedwcześnie zorientują się w planach profesora<sup>20</sup>.

### Na specjalnych prawach

W maju 1950 r. uczony wyjechał jednak bez przeszkód najpierw do Londynu, a potem przez Kopenhagę do Polski. Procedury towarzyszące ostatniemu etapowi podróży profesora

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 356.

<sup>17</sup> AMSZ, Departament III, w. 9, t. 127, Notatka w sprawie prof. Leopolda Infelda..., k. 27–28.

<sup>18</sup> *Ibidem*.

<sup>19</sup> AMSZ, Departament III, w. 9, t. 127, Pismo posta E.J. Milnikiela do dyrektora T. Żebrowskiego, 17 III 1950 r., k. 47.

<sup>20</sup> *Ibidem*, Pismo chargé d'affaires E. Markowskiego do dyrektora T. Żebrowskiego, 9 VI 1950 r., k. 57–58.

miały nietypowy przebieg i warto je szerzej omówić, tym bardziej że dowodzą one udziału polskich służb specjalnych w jego powrocie i pokazują, jak daleko sięgata chęć służenia niezwykle repatriantowi udogodnieniami, o których zwykli obywatele mogli tylko marzyć. Otóż profesorowi i jego rodzinie nie tylko opłacono koszty podróży do Warszawy, ale ponadto zrezygnowano w jego przypadku z kontroli celnej i wizowej. Stało się tak na wyraźne życzenie samego uczonego, który chciał przed władzami kanadyjskimi i brytyjskimi zataić fakt, że udaje się do Polski. Nie zgodził się, aby wstawiono w jego kanadyjskim paszporcie polską wizę. Miał ją otrzymać dopiero przed ostatnim etapem podróży w Kopenhadze, ale po przybyciu do stolicy Danii i na to się nie zgodził, w związku z czym w porcie gdyńskim zjawił się bez ważnej wizy wjazdowej. Dzięki specjalnej interwencji MSZ funkcjonariusze Wojsk Ochrony Pogranicza wpuścili profesora bez wizy, zrezygnowano z tego samego powodu również z odprawy celnej. Sprawa ta wywołała spore komplikacje, ponieważ profesor wyjeżdżając później z Polski, zażyczył sobie z kolei, aby jego paszport nie nosił żadnych śladów specjalnego traktowania jego osoby przez władze polskie, co mogłoby go w jakimś stopniu kompromitować na Zachodzie. W związku z tym paszport uczonego odesłano do Londynu i tam w ambasadzie polskiej wstawiono antydatowaną wizę<sup>21</sup>. Ministerstwo Spraw Zagranicznych musiało również interweniować w Ministerstwie Finansów, aby zalegalizować przywiezione przez Infelda dewizy i czeki dolarowe, które wwiózł do Polski bez odprawy celnej<sup>22</sup>. Jak wiadomo, obrót dewizami, a i samo ich posiadanie, był wówczas uważany w krajach komunistycznych za poważne przestępstwo.

Po powrocie do Polski prof. Infeld na każdym kroku spotykał się z przychylnością i opieką władz. Warszawa wywiązała się ze złożonych wcześniej zobowiązań co do materialnej strony jego pobytu w Polsce. Jego sytuacja w porównaniu z Kanadą była wprawdzie gorsza, ale w zniszczonej wojną i zbiedniałej Polsce mógł uchodzić za wybrańca losu. Przydzielono mu umeblowane i kompletnie wyposażone nowe czteropokojowe mieszkanie z telefonem przy ul. Mazowieckiej w Warszawie i oddano do dyspozycji samochód z kierowcą. Spełniono też przyrzeczenia co do powołania nowego instytutu badawczego i nie stawiano przeszkód, gdy profesor zamierzał udać się na zagraniczne konferencje lub sympozja naukowe.

Uczony musiał jednak przetrknąć również gorzką pigułkę. Władze w Ottawie zażądały, aby zwrócić kanadyjski paszport w związku z jego listem do rektora Uniwersytetu Toronto, w którym napisał, że decyduje się pozostać w ojczystym kraju. Infeld paszport oddał i przyjął z powrotem obywatelstwo polskie. Amerykański rozdział jego życia dobiegł definitywnie końca<sup>23</sup>.

## Zasłepienie

W tym okresie, kiedy Leopold Infeld przybył do Polski, komunistyczna dyktatura zaczęła pokazywać coraz bardziej złowrogie oblicze. Zaostrzeniu uległa również polityka wobec repatriantów z Zachodu. W warszawskiej centrali Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego opracowano i skierowano do realizacji dokument pod nazwą *Rozpracowanie obiektowe*

<sup>21</sup> *Ibidem*, Szyfrogram nr 4712 ambasadora J. Michałowskiego do S. Wierbłowskiego, 23 V 1950 r., k. 54; *ibidem*, pismo T. Żebrowskiego do S. Wierbłowskiego, czerwiec 1950 r., k. 56; *ibidem*, pismo dyrektora T. Żebrowskiego do płk. S. Antosiewicza, dyrektora Departamentu I MBP, 4 VII 1950 r., k. 61–62.

<sup>22</sup> *Ibidem*, Pismo T. Żebrowskiego do dyrektora H. Kotlickiego z Ministerstwa Finansów, k. 67.

<sup>23</sup> *Ibidem*, List chargé d'affaires E. d'Arcy McCreer do L. Infelda, 6 XI 1950 r., k. 69.

repatriantów. *Mały plan*. Przewidywał on objęcie działaniami bezpieki całej ponad dwumilionowej zbiorowości Polaków, którzy po wojnie wrócili z Zachodu. Uznano ich w całości za niebezpiecznych dla władzy, podatnych na wrogą propagandę mocarstw zachodnich i „powiązanych tysiącami nici z polskimi ośrodkami reakcyjnymi za granicą”. Efektem „rozpracowania” miały być nie tylko represje wobec repatriantów, którzy czynnie występowali przeciwko władzom komunistycznym; od początku przewidywano usuwanie ich z eksponowanych stanowisk w gospodarce, administracji i wojsku, nawet wówczas, gdy nie było co do ich pracy i postawy żadnych zastrzeżeń<sup>24</sup>. Przez instytucje i przedsiębiorstwa przetoczyła się fala „czystek”, które objęły tysiące ludzi.

W ponurej atmosferze ukształtowanej przez represje bezpieki wobec ludzi, których jedynym grzechem było to, że przebywali w latach wojny na Zachodzie, repatriacja praktycznie zamarła, mnożyły się za to próby ucieczek z kraju. Krótko przedtem, zanim prof. Infeld wrócił do Polski, grupa posłów PSL, w tym również repatriantów z Zachodu, zagrożonych aresztowaniem podjęła desperacką próbę ucieczki na pokładzie szwedzkiego statku<sup>25</sup>.

Do takiej właśnie Polski wrócił profesor Infeld i wkrótce miał się przekonać, że jego stawa nie daje mu, tak jak się spodziewał, pełnego immunitetu. Okazało się, że uczeni sowieccy zanegowali dorobek naukowy Einsteina, i z tej przyczyny także w Polsce był on odrzucany, czemu profesor nie mógł zapobiec. Na stanowiskach w Polskiej Akademii Nauk i na wyższych uczelniach umieszczano miernych uczonych, którzy jednak byli gorliwymi stalinowcami i z tej racji robili szybkie kariery naukowe. Na uniwersytetach zaczęli rządzić nie ludzie z naukowym dorobkiem, lecz karierowicze i oportuniści z partyjną legitymacją.

Czytając wspomnienia prof. Infelda i studiując jego biografię, można zadumać się nad naiwnością tego skądinąd mądrego człowieka. Zdawał się nie dostrzegać, że jego powrót do Polski był wykorzystywany przez komunistów dla celów politycznych i propagandowych<sup>26</sup>, że mieli oni w związku z nim ukryte oczekiwania w dziedzinie wojskowej. Bardzo długo nie pojmował, że system komunistyczny jest głęboko niehumanitarny i wręcz przestępczy, że to blok komunistyczny jest agresorem, chociaż głosi, iż walczy o pokój.

Zupełnie zdumiewające jest, że prof. Infeld „przejrzał na oczy” – jak sam pisze – dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią Stalina w 1953 r., kiedy to aresztowano w Moskwie lekarzy kremlofskich pod zarzutem, że zamierzali otruć sowieckiego przywódcę. Absurdalność tych zarzutów była dla niego oczywista, i wtedy po raz pierwszy w życiu zaczął żałować, że wrócił do Polski<sup>27</sup>. Jednak zaledwie rok wcześniej, gdy podczas pobytu w Berlinie Wschodnim dowiedział się o popadnięciu w niełaskę swego starego przyjaciela Winternitza tylko za to, że odważył się skrytykować Stalina, był zdumiony, że ktoś może podważać słuszność

<sup>24</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, 0149/8, t. 1, Rozpracowanie obiektywne repatriantów. *Mały plan*, k. 5–25.

<sup>25</sup> Na przełomie lat 1948/1949 do Szwecji uciekli z rodzinami wiceprezes PSL Stanisław Bańczyk oraz sekretarz generalny NKW PSL Stanisław Wójcik. O przyczynach i okolicznościach ucieczki Bańczyka i Wójcika oraz wcześniejszych ucieczkach prezesa Stanisława Mikołajczyka i innych działaczy PSL prof. Infeld musiał słyszeć, gdyż obszernie pisała o tym prasa zachodnia. Nie wpłynęło to w żadnym stopniu na jego decyzję o powrocie do kraju.

<sup>26</sup> Prof. Infeld w 1952 r., w czasie gdy w Azji trwała komunistyczna agresja, wziął udział jako oficjalny delegat Polski w propagandowej imprezie, jaką był Światowy Kongres Pokoju w Berlinie (Wschodnim). Ambasada amerykańska w Warszawie określała go mianem „wybitnego podżegacza pokoju” – *prominent peacemonger* (L. Infeld, *Kordian...*, s. 218–219; L. Pastusiak, *Stosunki polsko-amerykańskie 1945–1955*, Toruń 2004, s. 631).

<sup>27</sup> *Idem, Szkice...*, s. 253.

poglądów sowieckiego przywódcy. Nawet po śmierci dyktatora, gdy nie miał już złudzeń co do jego osoby, napisał na zaproszenie moskiewskiego dziennika „Izwestia” pochwalny artykuł o Stalinie. Po latach przyznał, że z tego powodu nie wie, „czy się rumienić czy też śmiać”<sup>28</sup>.

\* \* \*

Ocena decyzji prof. Infelda o powrocie do Polski nie jest łatwa. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że dał się wykorzystać Moskwie i Warszawie w politycznej i propagandowej rozgrywce z Zachodem. Blok komunistyczny wyciągnął niewątpliwe korzyści z jego powrotu na polu naukowym, a pewnie w dłuższej perspektywie także wojskowym. Z drugiej strony trudno nie dostrzec, że ataki na prof. Infelda w Kanadzie i USA po ukazaniu się artykułu w „Ensign” szły zbyt daleko i wbrew intencjom ich autorów mogły skłonić go do podjęcia decyzji o definitywnym opuszczeniu Kanady. Nie można też zapominać, że przybycie Infelda do Polski było wielkim dobrodziejstwem dla polskiej nauki. Uznawany jest powszechnie za człowieka, który postawił polskie badania w dziedzinie fizyki na wysokim poziomie i wychował wielu doskonałych naukowców. Dzięki Infeldowi grupa skupionych wokół niego młodych polskich fizyków szybko doganiała czołówkę światową. Swym talentem organizacyjnym walnie przyczynił się też do powstania ośrodka fizyki teoretycznej w Warszawie, skutecznie wykluczając się u władz o środki na budowę nowego pawilonu, zdobywając etaty i pilnując właściwego wykonania prac. Dzięki swym stosunkom w aparacie władzy uzyskiwał zgodę na wyjazdy naukowe młodych fizyków do zachodnich instytutów. Jego rozległe kontakty wśród najwybitniejszych fizyków teoretycznych w czołowych ośrodkach naukowych świata otwierały drogę do kariery także jego wychowankom<sup>29</sup>. Trzeba wreszcie wziąć pod uwagę i to, że nikt nie może nikomu odmówić prawa powrotu do własnego kraju.

<sup>28</sup> L. Infeld, *Kordian...*, s. 219; *idem, Szkice...*, s. 254.

<sup>29</sup> Wybitny polski atomista Włodzimierz Kusch tak pisał o efektach pracy prof. Infelda w Polsce: „Po kilku latach działalności stał się on niekwestionowanym »numerem jeden« fizyki polskiej i to nie dlatego, że był znany w świecie dzięki swoim publikacjom i współpracy z Einsteinem, ale również dzięki codziennemu mrówczemu wysiłkowi w kraju. Owoce tego wysiłku zbierała cała naukowa społeczność” (W. Kusch, *Nazbyt bliskie sąsiedztwo*, Warszawa 1995, s. 51–52).

# KONTRWYWIAD I DZIENNIKARZE

**Władze PRL uważały za niepożądane samodzielne zdobywanie informacji przez zagranicznych dziennikarzy. Sferę ich nieoficjalnych kontaktów z przedstawicielami polskiej inteligencji starano się więc poddać kontroli tajnej policji. Po Październiku `56 ofiarami owej kontroli stali się między innymi: Tomasz Atkins, Leszek Moczulski i Aleksander Wołowski.**

Inwigilacja odwiedzających Polskę cudzoziemców, a zwłaszcza zachodnich dziennikarzy, była rutynowym działaniem kontrwywiadu (Departamentu II MSW). Widziano w nich bowiem nie tylko potencjalnych szpiegów, ale przede wszystkim żołnierzy pierwszej linii frontu w wojnie ideologicznej między „reakcyjnym” Zachodem a obozem socjalizmu. Uważano ich za rozsadników „dywersji ideologicznej”.

W 1956 r. Polska trafiła na czołówki światowych gazet, a do Warszawy zaczęli ścigać zachodni dziennikarze. Ich rozpracowaniem zajmował się Wydział VII Departamentu II MSW. Wszyscy stali korespondenci zachodnich agencji i tytułów prasowych (w latach 1957–1963 przebywało ich w Polsce przeciętnie kilkunastu) byli objęci tzw. sprawami ewidencyjno-obszernymi. Choć w tym okresie nie wykryto wśród nich ani jednego szpiega, wszystkich, niejako z definicji, podejrzewano o uprawianie „wrogiej działalności politycznej”. Tak bowiem władze komunistyczne traktowały publikowanie niewygodnych informacji o sytuacji w Polsce.

Przełom październikowy obniżył barierę strachu przed kontaktami z cudzoziemcami. Warszawa szybko zyskała opinię miejsca, gdzie można zdobyć cenne wiadomości nie tylko o sprawach polskich, ale i o problemach innych państw bloku komunistycznego.

Wykrywanie i neutralizacja źródeł informacji zachodnich dziennikarzy oraz walka z „przeciekami” należały do najważniejszych zadań kontrwywiadu MSW. Rozpracowaniu poddano nie tylko samych korespondentów, ale i zatrudnianych przez nich stałych współpracowników, którzy dzięki swym kontaktom w polskim środowisku zdobywali dla swych szefów wiadomości o kulisach życia politycznego. Dwaj z nich, związany z „New York Timesem” Tomasz Atkins oraz współpracujący z „Paris Match” Aleksander Wołowski, należeli do nielicznych obywateli PRL, których w okresie popaździernikowym pociągnięto do odpowiedzialności karnej za udzielanie informacji zachodniej prasie. Ich losy spleły się ze sobą\*.

## **Podejrzany ziemianin**

Aleksander Wołowski urodził się w 1919 r. w rodzinie ziemiańskiej. Przed wojną ukończył szkołę średnią w Szwajcarii i rozpoczął studia romanistyczne na Uniwersytecie Warszaw-

---

\* Problematykę rozpracowania przez kontrwywiad MSW zachodnich dziennikarzy i ich polskich informatorów omawiam szerzej w książce *Sprawa Henryka Hollanda*, która ukaże się w 2005 r. Tam również bardziej szczegółowo analizuję *casus* Tomasza Atkinsa i Aleksandra Wołowskiego.



skim. We wrześniu 1939 r. walczył jako ochotnik w batalionie Legii Akademickiej. Ukończył podchorążówkę Armii Krajowej i brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po jego kapitulacji uciekł z kolumny jeńców i ukrywał się u rodziny<sup>1</sup>. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych rozpoczął pracę dziennikarską (aczkolwiek nigdy na etacie), jako tłumacz i redaktor m.in. dla przedsiębiorstwa Film Polski i Centralnego Urzędu Kinematografii, wydawnictwa „Książka i Wiedza” oraz kilku czasopism.

Ze względu na kontakty w środowiskach byłych ziemian i arystokracji oraz wśród zachodnich dyplomatów Wołowski przez cały ten czas był przedmiotem zainteresowania aparatu bezpieczeństwa<sup>2</sup>. W 1954 r. rozważano nawet pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej za „szkalowanie władz PRL” w rozmowach z cudzoziemcami. Uznano jednak, że nie ma wystarczających dowodów, które ostałyby się przed sądem<sup>3</sup>. W styczniu 1957 r. Departament III MSW zaniechał prowadzenia sprawy ewidencyjno-obszernyjnej Wołowskiego i złożył jej akta w archiwum.

W tym samym czasie Aleksandrem Wołowskim zainteresował się Departament II MSW. Było to spowodowane nawiązaniem przez niego współpracy z prasą zagraniczną. Jesienią 1956 r. Wołowski został korespondentem magazynu ilustrowanego „Paris Match”. Wysłał do redakcji artykuły, reportaże i krótkie wiadomości do rubryki „Telegramy”. Korzystał przy tym z pomocy swojej znajomej, Ewy Federowskiej, która jako stewardesa Lotu mogła przewozić jego korespondencje bezpośrednio do Paryża.

Wołowski utrzymywał także ożywione kontakty z przebywającymi w Warszawie korespondentami zachodniej prasy i był jednym z ich źródeł wiadomości o wydarzeniach w Polsce. Jak wynika z jego późniejszych zeznań, spotykał się m.in. z Philippe'em Benem z „Le Monde”, Ernestem Halperinem z „Münchener Merkur”, Colinem Frostem z „Associated Press”, Sidneyem Grusonem z „New York Timesa”, Johannesem Maasem z Radia Hamburg<sup>4</sup>. Sam czerpał informacje najczęściej od znajomych polskich dziennikarzy. Jednym z nich był reporter „Dookoła Świata” Leszek Moczulski, który m.in. udostępniał Wołowskiemu „Biuletyn Specjalny PAP” i naświetlał mu sytuację gospodarczą. Podzielił się też z nim wrażeniami z podróży do Moskwy, gdzie przebywał na Światowym Festiwalu Młodzieży. Przywiózł stamtąd wiadomości o nieudanym puczu stalinowców pod przywództwem Władysława Władysława przeciwko Nikicie Chruszczowowi w czerwcu 1957 r.

O działalności dziennikarskiej Wołowskiego kontrwywiad wiedział z różnych źródeł operacyjnych: podstępów, obserwacji zewnętrznej, doniesień agenturalnych. Być może impulsem do podjęcia przeciwko niemu aktywnych działań była seria rozmów, jakie odbył w styczniu 1957 r. z przybyłym do Warszawy na wybory do Sejmu korespondentem „Daily Express”, Sidneyem Smithem. Podstęp w hotelu Bristol zarejestrował, jak Wołowski opowiadał Anglikowi o kampanii wyborczej stalinowskiej frakcji „natolińczyków”, druku ulotek, sponsorowanym prawdopodobnie przez ambasadę radziecką, tajnych naradach w partyjnych domach wypoczynkowych. Informował go także o podobno bliskich buntu nastro-

<sup>1</sup> AIPN, 0363/487, Życiorys Aleksandra Kazimierza Wołowskiego, b.d. [1947].

<sup>2</sup> W styczniu 1951 r. Wydział VI Departamentu I MBP podjął próbę zwerbowania Aleksandra Wołowskiego, ten jednak odmówił współpracy z UB (AIPN, 0363/487, Notatka służbowa mjr. Kazimierza Kwoлика, 26 I 1951 r.).

<sup>3</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 2, Notatka z analizy sprawy przeciwko Wołowskiemu Aleksandrowi, 13 XI 1954 r.

<sup>4</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 5, Notatka służbowa dot[ycząca] osób przechodzących w zeznaniach W[ołowskiego], 19 IX 1957 r.



Aleksander Wołowski po aresztowaniu w czerwcu 1959 r.



Tomasz Atkins po aresztowaniu w czerwcu 1959 r.



jach wśród zwalnianych ze służby funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i pogłoskach (najpewniej nieprawdziwych), jakoby w niektórych powiatach trzeba było użyć siły w celu ich rozbrojenia. Wołowski opowiedział też Smithowi o działalności przewodniczącego Stowarzyszenia „PAX” Bolesława Piaseckiego i jego związkach z NKWD<sup>5</sup>.

Wiedza operacyjna SB o kontaktach Wołowskiego nie przekładała się jednak na materiał dowodowy, który można by wykorzystać jako podstawę do represjonowania. Analiza materiałów na temat „figuranta” prowadziła do wniosku, że jedynym zarzutem, jaki można mu postawić, jest sprzedaż na czarnym rynku dewiz, które otrzymywał od zagranicznych dziennikarzy jako wynagrodzenie za udzielane informacje. Na to się jednak nie zdecydowano.

Działania przeciwko Wołowskiemu uległy przyspieszeniu w lipcu 1957 r. Opracowano plan przedsięwzięć operacyjnych, który przewidywał przeprowadzenie u współpracownika „Paris Match” tajnej rewizji „celem przejrzania i sfotografowania znalezionych ewentualnie materiałów, mających związek z jego wrogią działalnością”. Postanowiono także: „stosować za Wołowskim obserwację zewnętrzną. W toku obserwacji ściśle konfrontować informacje, jakie Wołowski przekazuje obcym dziennikarzom lub do «Paris Match», z ustalonymi w tym czasie jego kontaktami. Powyższe ma na celu ustalenie faktycznych źródeł czerpania informacji przez Wołowskiego”<sup>6</sup>.

Tajną rewizję w mieszkaniu Wołowskiego przeprowadzono 24 sierpnia 1957 r., gdy przebywał on na urlopie w Jugostawii. Funkcjonariusze kontrwywiadu wykonali około dwustu fotografii jego notatek. Ich treść porównywano z publikacjami, jakie ukazały się na łamach „Paris Match” i innych gazet. W wielu przypadkach stwierdzono zbieżność, dowodzącą, że wykorzystane w zachodniej prasie informacje pochodziły od Wołowskiego<sup>7</sup>. W mieszkaniu „figuranta” znaleziono również – podejrzane w oczach kontrwywiadu – zapiski na temat produkcji przemysłowej, rozmieszczenia stacji zagłuszających oraz struktury byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

6 września 1957 r., w dniu powrotu do Warszawy, Aleksander Wołowski został zatrzymany przez SB. Podczas rewizji w jego mieszkaniu – tym razem oficjalnej – „znaleziono” inkryminowane notatki. Był to typowy sposób „legalizacji” informacji zdobytych wcześniej drogą operacyjną. Prokuratura postawiła aresztowanemu zarzut, że „zbierał i przechowywał w swoim mieszkaniu prywatnym [...] dokumenty dotyczące różnych wydarzeń natury politycznej, zaistniałych w Polsce oraz dotyczących zagadnień gospodarczych i obronnych, które z uwagi na ich charakter stanowią tajemnicę państwową”<sup>8</sup>. Kontrwywiad rozpowszechniał tymczasem za pośrednictwem swojej agentury plotkę, że korespondenta „Paris Match” aresztowano za szpiegostwo<sup>9</sup>.

Przesłuchania Wołowskiego dotyczyły jego kontaktów z zagranicznymi dziennikarzami oraz źródeł wiadomości, jakie im przekazywał. Wyjaśnienia aresztowanego konfrontowano z zeznaniami Leszka Moczulskiego i kilku innych świadków, co pozwoliło ustalić prowe-

<sup>5</sup> AIPN, 00231/219, t. 18, Notatka informacyjna w sprawie ob[ywatela] ang[ielskiego] Smitha Sidneya, korespondenta „Daily Express”, 12 III 1957 r.

<sup>6</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 1, Plan przedsięwzięć operacyjnych do sprawy Wołowskiego Aleksandra, 18 VII 1957 r.

<sup>7</sup> *Ibidem*, t. 4, Wyciąg z artykułów zamieszczonych w prasie zachodniej, które znajdują swoje odbicie w notatkach zakwestionowanych podczas rewizji u Wołowskiego, b.d.

<sup>8</sup> *Ibidem*, t. 1, Postanowienie o przedstawieniu zarzutów, 6 IX 1957 r.

<sup>9</sup> Warto podkreślić, że w planie przedsięwzięć wobec Wołowskiego wyraźnie stwierdzono, iż z dotyczących go materiałów operacyjnych nie wynika, by był zwerbowany przez jakiś wywiad.

nienię większej części informacji z jego notatek (okazało się przy tym, że zapiski na temat MBP są po prostu konspektem broszury Józefa Światły *Za kulisami bezpieki i partii*)<sup>10</sup>. Na tej podstawie do odpowiedzialności karnej zostali pociągnięci Wołowski i Moczulski, którego aresztowano 23 października 1957 r. Przed sądem stanęła także Ewa Federowska, która przywiozła z zagranicy dolary dla Wołowskiego. Ich proces odbył się w marcu 1958 r.

Akt oskarżenia zarzucał Aleksandrowi Wołowskiemu przestępstwo z artykułu 3 § 1 dekretu z 1949 r. o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej, polegające na nieuprawnionym zbieraniu i przechowywaniu informacji stanowiących tajemnicę państwową. Drugi zarzut dotyczył przestępstwa z artykułu 109 kodeksu karnego z 1932 r., popełnionego w ten sposób, że Wołowski przysyłał do „Paris Match” w celu publikacji „szereg wiadomości nieprawdziwych, szkalujących działaczy państwowych oraz przedstawiających w sposób niezgodny z prawdą przebieg niektórych wydarzeń politycznych w Polsce”<sup>11</sup>. Leszek Moczulski był oskarżony na podstawie tych samych przepisów. Postawiono mu zarzut bezprawnego ujawnienia Wołowskiemu tajemnic państwowych oraz pomocnictwo w szkalowaniu Polski za granicą w ten sposób, że dostarczył Wołowskiemu inkryminowane wiadomości. Ponadto prokuratura oskarżyła Aleksandra Wołowskiego i Ewę Federowską o przestępstwa dewizowe.

Rozprawa przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Jednak odczytanie wyroku 11 marca 1958 r. odbyło się przy udziale publiczności. Wszyscy podsądni zostali uwolnieni od głównych zarzutów aktu oskarżenia, tylko Aleksandrowi Wołowskiemu sąd wymierzył karę sześciu miesięcy więzienia oraz grzywnę za nielegalny obrót obcymi walutami. Ponieważ zaliczono mu areszt tymczasowy, został wraz z towarzyszami zwolniony. W uzasadnieniu wyroku sąd stwierdził, że Wołowski i Moczulski mieli prawo, jako dziennikarze, zbierać wiadomości mogące stanowić tajemnicę państwową. Uznał też za bezzasadny zarzut szkalowania Polski za granicą. Wyrok ten komentowano jako ważne zwycięstwo środowiska dziennikarskiego, zwłaszcza że do korzystnego rezultatu przyczyniła się ekspertyza biegłego Jana Dąbrowskiego, sekretarza Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Był to zarazem rzadki przykład niezawisłości sądu w PRL<sup>12</sup>.

Po zwolnieniu z aresztu Aleksander Wołowski kontynuował współpracę z „Paris Match”. Nadal był rozpracowywany przez kontrwywiad, który szukał kolejnego pretekstu, by pociągnąć go do odpowiedzialności karnej. Na przykład w lutym 1959 r. Departament II MSW rozważał wszczęcie przeciwko Wołowskiemu śledztwa w związku z jego „szkalującą” korespondencją, jakoby członkowie Biura Politycznego czytali potajemnie przywiezioną z Moskwy powieść Borysa Pasternaka *Doktor Żywago*<sup>13</sup>. Kilka miesięcy póź-

<sup>10</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 5, Źródła uzyskiwanych przez Wołowskiego Aleksandra informacji na podstawie jego zeznań w śledztwie, 19 IX 1957 r. Protokoły przesłuchań Leszka Moczulskiego nie potwierdzają jego relacji w wywiadzie-rzecz, jakoby indagowano go o przynależność do tajnej organizacji niepodległościowej (por. A. Dudek, M. Gawlikowski, *Leszek Moczulski. Bez wahania*, Kraków 1993, s. 63–68).

<sup>11</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 1, Odpis aktu oskarżenia, b.d.

<sup>12</sup> Trzy miesiące później, 17 czerwca 1958 r., Sąd Najwyższy, rozpatrując skargę rewizyjną prokuratury, podtrzymał wyrok uniewinniający w stosunku do Leszka Moczulskiego i Ewy Federowskiej. Sprawę Aleksandra Wołowskiego, odnośnie do zarzutu o nieuprawnione zbieranie i przechowywanie tajemnic państwowych, Sąd Najwyższy skierował do ponownego rozpatrzenia (uniewinnienie od zarzutu z artykułu 109 kodeksu karnego utrzymano w mocy). Ostatecznie 13 kwietnia 1959 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał Wołowskiego z artykułu 3 § 1 dekretu o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej na półtora roku więzienia w zawieszaniu na cztery lata.

<sup>13</sup> AIPN, mkf. 01251/347, t. 1, Notatka dotycząca Aleksandra Wołowskiego, 18 II 1959 r.

niej Wołowskiego rzeczywiście aresztowano, choć z innego powodu. Tym razem represje dotknęły go wspólnie z innym współpracownikiem zachodniej prasy, Tomaszem Atkinsem.

### Czyj współpracownik?

Życiorys Tomasza Atkina mógłby się stać kanwą powieści awanturniczej. Urodził się w 1923 r. w Łodzi jako syn zamożnego kupca. Nazywał się Seweryn Pomeranc. W przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej, 30 sierpnia 1939 r., wyjechał na studia do Anglii. W styczniu 1941 r. wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego w Szkocji. Trzy lata później znalazł się w grupie ponad dwustu żołnierzy-Żydów, którzy zdezerterowali w proteście przeciwko panującemu w oddziałach polskich antysemityzmowi i zażądali przeniesienia do jednostek brytyjskich<sup>14</sup>. W armii angielskiej, na podstawie przepisów o zmianie nazwisk żołnierzy-obywateli państw znajdujących się pod okupacją nieprzyjaciela, przyjął nowe dane personalne – Thomas Victor Atkins, przy których później pozostał<sup>15</sup>.

W grudniu 1945 r., po kilkakrotnym otrzymaniu odmowy zgody na podróż do kraju w celu odszukania rodziny, Atkins zdezerterował z armii brytyjskiej i pojechał do Polski. W Łodzi dowiedział się, że nikt z jego krewnych nie przeżył wojny. Wyjechał wówczas z przygodnym znajomym do Katowic. Człowiek ten poznał Atkina z pewnym przemysłowcem, który zaproponował mu udział w nielegalnym przewozie przez granicę żydowskich emigrantów. Podając się za majora Brytyjskiej Misji Wojskowej, na podstawie sfalszowanych dokumentów i pieczęci, Atkins odbył trzy podróże samochodem przez Czechosłowację do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Po kilku miesiącach porzucił angielski mundur i rozpoczął pracę w dziale zagranicznym „Trybuny Robotniczej”<sup>16</sup>.

Tymczasem UB zainteresował się angielskim „majorem” i rozpoczął jego rozpracowanie agenturalne. 24 października 1946 r. Atkins został aresztowany. Kilkumiesięczne śledztwo, prowadzone w kierunku udowodnienia mu działalności szpiegowskiej, nie przyniosło rezultatów. Podejrzany przyznał się, co prawda, do szmuglu ludzi za granicę, ale poza tym UB nie dysponował żadnymi dowodami jego winy. W tej sytuacji postanowiono zwerbować Atkina na tajnego informatora i umorzyć śledztwo. 15 stycznia 1947 r., za cenę uwolnienia, Atkins podpisał zobowiązanie do współpracy z UB pod pseudonimem „Alter” i opuścił areszt<sup>17</sup>. Pod koniec tego roku przeniósł się do Warszawy, a Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach stracił z nim kontakt.

<sup>14</sup> Na temat dezercji żołnierzy-Żydów z oddziałów polskich w Szkocji w styczniu 1944 r. zob. szerzej T. Gąsowski, *Pod sztandarami Orła Białego. Kwestia żydowska w Polskich Siłach Zbrojnych w czasie II wojny światowej*, Kraków 2002, s. 183–202. Jednym z przywódców pierwszej grupy dezercerów miał być szeregowy Pomeranc, czyli zapewne późniejszy Tomasz Atkins.

<sup>15</sup> Już od pierwszej połowy XIX w. w armii brytyjskiej zwyczajowo używano przykładowego nazwiska Thomas Atkins w wzorcach wypełniania różnego rodzaju formularzy. Stąd Thomas (lub Tommy) Atkins stał się synonimem szeregowego angielskiego żołnierza. Nazwisko to unieśmiertelnił Rudyard Kipling w wierszach *To Thomas Atkins* oraz *Tommy*, opublikowanych w 1892 r. w zbiorze *Barack Room Ballads*. Według najbardziej rozpowszechnionej wersji, Thomas Atkins był bohaterem kompanii grenadierów 33. pułku piechoty, który zginął, walcząc pod rozkazami księcia Wellingtona w bitwie z Francuzami pod Bostell w 1794 r.

<sup>16</sup> AIPN, 00170/193, t. 3, Meldunek o materiałach uzyskanych w czasie śledztwa wstępnego w sprawie „Major”, b.d.

<sup>17</sup> *Ibidem*, t. 3, Meldunek o zakończeniu śledztwa i ostatecznym załatwieniu sprawy Thomasa Atkina, 7 III 1947 r.; *ibidem*, Raport z dokonanego werbunku, 28 III 1947 r.

W stolicy Atkins nadal pracował jako dziennikarz, m.in. w „Sztandarze Młodych”, Polskim Radio, „Expressie Wieczornym”. W 1952 r. kontakt z nim odnowił Departament V MBP. O działalności agenturalnej „Altera” wiadomo niewiele. Jak się jednak wydaje, składał meldunki rzadko i niechętnie, a UB mu nie ufał. Pochodzące od niego informacje wykorzystywano prawdopodobnie w rozpracowaniach środowisk dziennikarskich, aczkolwiek „nie przeprowadzono żadnych kombinacji operacyjnych, mających na celu głębsze wprowadzenie [go] do spraw ze względu na niejasną przeszłość informatora i podejrzenia w stosunku do niego”<sup>18</sup>. „Przeważnie nastawiano go na osoby, który wyływały w jego meldunkach, gdyż dopatrywano się w jego współpracy pewnego zainteresowania kierunkiem naszej pracy” – pisał oficer prowadzący Atkinsa<sup>19</sup>.

Jesienią 1956 r. Atkins nawiązał kontakty z przybyłymi do Polski zachodnimi dziennikarzami, przede wszystkim z Philippe’em Benem i Sidneyem Grusonem. Ze względu na doskonałą znajomość angielskiego i szerokie kontakty w kręgach prasowych szybko został stałym współpracownikiem „New York Timesa”. W ten sposób, będąc nadal formalnie tajnym informatorem Departamentu III MSW (aczkolwiek w tym czasie nie utrzymywano z nim regularnej łączności), Atkins stał się obiektem zainteresowania Departamentu II. Trzeba podkreślić, że choć był uwikłany we współpracę z SB, zachowywał się lojalnie wobec Grusona i nie składał meldunków na jego temat<sup>20</sup>. W charakterystyce „Altera” stwierdzono, że „jest raczej negatywnie ustosunkowany do współpracy, oraz że o znanych mu cudzoziemcach niechętnie udziela informacji”<sup>21</sup>. Po aresztowaniu przez Departament II Atkinsa wyeliminowano z sieci agenturalnej Departamentu III MSW.

W ocenie kontrwywiadu Tomasz Atkins był jednym z najważniejszych polskich informatorów korespondenta „New York Timesa”. Swoje wiadomości czerpał od kolegów-dziennikarzy, a także od znajomego, który był pracownikiem sekretariatu prasowego premiera. Do poważniejszych „przecieków”, których autorem był Atkins, Departament II MSW zaliczał m.in. poinformowanie Grusona o tym, że gen. Kazimierz Witaszewski zostanie wysłany do Pragi jako *attaché* wojskowy ambasady PRL, oraz dokładne zrelacjonowanie amerykańskiemu dziennikarzowi przebiegu dyskusji na IX Plenum KC PZPR w maju 1957 r. Wiedzę o tych spotkaniach i rozmowach SB czerpała z podsłuchu i obserwacji zewnętrznej „figurantów”. Przeanalizowano też publikacje w „New York Timesie” z okresu plenum i stwierdzono, że „wszystkie informacje udzielone w tej sprawie przez Atkinsa znalazły tam swoje odbicie. Niektóre fragmenty tych artykułów podane są w dosłownym sformułowaniu Atkinsa, a inne zostały zmodyfikowane odpowiednio przez Grusona”<sup>22</sup>.

O wszczęciu wobec Tomasza Atkinsa postępowania karnego zadecydowała, jak się wydaje, jego aktywność w czasie zamieszek studenckich w Warszawie po zamknięciu tygodnika „Po prostu”. Wraz z korespondentem „New York Timesa” jeździł samochodem po mieście i pomagał mu w przeprowadzaniu wywiadów z mieszkańcami stolicy. 5 października 1957 r. w pokoju hotelowym zrelacjonował Grusonowi treść wystąpienia Władysława Gomułki na odbywającym się właśnie spotkaniu z partyjnymi dziennikarzami. Pierwszy sekretarz zarzucił wtedy części dziennikarzy wrogi stosunek do socjalizmu i powiedział, że ich głos musi być z prasy

<sup>18</sup> *Ibidem*, t. 3, Charakterystyka informatora „Alter”, 21 VIII 1953 r.

<sup>19</sup> *Ibidem*, t. 5, Informacja dot[ycząca] Atkinsa Tomasza, 8 X 1957 r.

<sup>20</sup> *Ibidem*, t. 6, Notatka informacyjna dot[ycząca] Atkinsa Tomasza, 8 X 1957 r.

<sup>21</sup> *Ibidem*, t. 5, Notatka informacyjna, 7 X 1957 r. W materiałach dotyczących Philippe’a Bena cytowano pojedyncze informacje ze źródła „Alter”.

<sup>22</sup> *Ibidem*, Streszczenie sprawy Tomasza Atkinsa, 11 XII 1957 r.





Julitta i Tomasz Atkinsowie w towarzystwie mężczyzny, któremu wywiadowcy Biura „B” MSW nadali pseudonim „Siwy”. Po ustaleniu jego tożsamości okazało się, że to Jerzy Putrament. Fotografia operacyjna wykonana 19 czerwca 1958 r.



Tomasz Atkins – zdjęcie z 1946 r.



Julitta Atkins i Henryk Sokoler. Fotografia operacyjna z 26 września 1963 r. Inwigilujący ich wywiadowcy Biura „B” MSW nadali figurantom pseudonimy „Zuzanna” i „Sokół”. Charakterystyczny cień na brzegach zdjęcia pokazuje, że wykonano je ukrytym obiektywem.



Tomasz Atkins. Zdjęcie operacyjne.



Julitta Atkins (pierwsza z prawej).  
Fotografia wykonana podczas  
inwigilacji po wyjeździe męża  
za granicę.

Wszystkie zdjęcia z AIPN

Tomasz Atkins (oznaczony cyfrą 3)  
w towarzystwie korespondenta „New  
York Timesa” Sidneya Grusona (1)  
oraz nieznannej kobiety (2).  
Fotografia wykonana 21 maja  
1957 r. w Warszawie przy  
ul. Marszałkowskiej róg Wspólnej.



Dziennikarze  
„New York  
Timesa” Harrison  
Salisbury i Sidney  
Gruson.  
Fotografia  
operacyjna  
wykonana  
12 października  
1957 r.



Tomasz Atkins w towarzystwie  
zagranicznego dziennikarza. Fotografia  
operacyjna wykonana 19 marca 1959 r.  
pod Grand Hotelem w Warszawie  
przy ul. Kruczej.

wyeliminowany<sup>23</sup>. Ponadto Departament II MSW dysponował opracowaniem na temat sytuacji mniejszości żydowskiej w Polsce, które we wrześniu Atkins wysłał pocztą do dyrektora europejskiego biura American Jewish Committee w Paryżu Zachariasza Shustera<sup>24</sup>.

Przez tydzień Atkinsa poddano ścisłej inwigilacji. Od 6 do 11 października 1957 r. śledzono go dzień w dzień od godziny 7 do 22. Warto zacytować tzw. relację z obserwacji, która pokazuje skalę zaangażowanych w to przedsięwzięcie środków: „Do wykonania ww. obserwacji przydzielono jedną sekcję obserwacyjną w ilości 17 wywiadowców, która miała do dyspozycji 6 samochodów służbowych (radiowozy), przy pomocy których m.in. informowano na bieżąco jednostkę zainteresowaną o ruchach figuranta zadania. Obserwację pod miejscem zamieszkania prowadzono z zakrytego posterunku obserwacyjnego, specjalnie w tym celu zorganizowanego. Wykorzystano garderobę służbową, będącą w posiadaniu Wydziału IV Biura »B« MSW”. Podczas obserwacji Atkinsa wykonano 15 fotografii operacyjnych i ustalono 12 jego „kontaktów”. Po aresztowaniu Atkinsa 12 października 1957 r. przez cztery dni śledzono jego żonę<sup>25</sup>.

Prokurator zarzucił Atkinsowi, podobnie jak miesiąc wcześniej Aleksandrowi Wołowskiemu, że „nie będąc do tego uprawniony, zbierał, przechowywał i przekazywał innym osobom w kraju i za granicą wiadomości i dokumenty stanowiące tajemnicę państwową”<sup>26</sup>. Śledztwo koncentrowało się wokół kwestii kontaktów podejrzanego z zagranicznymi korespondentami i źródeł informacji, jakie im przekazywał.

Tomasz Atkins nie stanął jednak przed sądem. Prokuratura dysponowała tylko zeznaniami dwóch oficerów operacyjnych Wydziału VII Departamentu II, które miały „zalegalizować” wiedzę pochodzącą z podsłuchów. Choć Atkins nie był w swoim środowisku zbyt lubiany i miał kiepską opinię, to nikt z polskich dziennikarzy, przesłuchanych jako świadkowie, nie potwierdził stawianych mu zarzutów. On sam też do niczego się nie przyznawał. Opracowanie wysłane za granicę okazało się zaś wyciągiem z oficjalnego sprawozdania komisji sejmowej<sup>27</sup>. W tej sytuacji śledztwo przeciwko Atkinsowi zostało umorzone i na początku kwietnia 1958 r. zwolniono go z aresztu. Zapewne w istotny sposób przyczyniła się do tego porażka prokuratury w procesie Aleksandra Wołowskiego i Leszka Moczulskiego.

Po wyjściu na wolność Tomasz Atkins kontynuował współpracę z korespondentami „New York Timesa”, najpierw z Sidneyem Grusonem, a później z jego następcą, Abrahamem Rosenthalem. Kontrwywiad założył na niego osobną sprawę operacyjną pod kryptonimem „Bobosz”. U Atkinsa zainstalowano podsłuch telefoniczny, okresowo poddawano go też obserwacji zewnętrznej. SB cały czas poszukiwała sposobu, by przerwać jego „wrogą” działalność.

## Powód: swetry

Podstawą do nowych represji wobec Tomasza Atkinsa stały się interesy, jakie prowadził wspólnie z Aleksandrem Wołowskim. Jesienią 1958 r. korespondent „Paris Match” zlecił redakcji tego czasopisma wpłacanie należnych mu honorariów na konto swego znajomego we Francji. Człowiek ów kupował za te pieniądze różne wyroby tekstylne i wysyłał je w paczkach na wskazane przez Wołowskiego adresy. W ten sposób, unikając płacenia ceł i podatków, Wołowski sprzedawał otrzymane towary (głównie swetry z tworzywa sztucznego)

<sup>23</sup> *Ibidem*, t. 10, Zapis podsłuchu z obiektu „Problemy”, pokój 113, 5 X 1957 r., b.p.

<sup>24</sup> Jesienią 1957 r. Zachariasz Shuster był w Polsce i być może zetknął się z Atkinsem.

<sup>25</sup> AIPN, 00170/193, t. 7, Pismo dyrektora Biura „B” do dyrektora Departamentu II MSW, 18 XI 1957 r.

<sup>26</sup> *Ibidem*, t. 3, Postanowienie o przedstawieniu zarzutów, 12 X 1957 r.

<sup>27</sup> *Ibidem*, t. 10, Notatka urzędowa dot[ycząca] Tomasza Atkinsa, 18 III 1958 r.

z dużym „przebieciem” w warszawskich komisach i na bazarach. Do interesu tego przystąpił też Atkins, który znał się z Wołowskim z pobytu w jednej celi aresztu śledczego<sup>28</sup>.

Chociaż prowadząc półlegalny import tekstyliów, obaj dziennikarze niewątpliwie naruszali obowiązujące wówczas przepisy skarbowe, był to tylko pretekst do poddania ich ponownym represjom. Sprawę przeciwko nim nadzorował kontrwywiad, a plan śledztwa obejmował, tak jak poprzednio, kwestię ich współpracy z zagraniczną prasą<sup>29</sup>. Atkinsa aresztowano 17 czerwca 1959 r., a Wołowskiego dwanaście dni później. Prokurator zarzucił im nielegalny obrót wartościami dewizowymi i inne przestępstwa podatkowe. 1 grudnia 1959 r. sąd pierwszej instancji skazał Atkinsa na rok więzienia, Wołowskiego zaś na dwa lata więzienia. Oba skazanym wymierzono też wysokie grzywny<sup>30</sup>.

Po procesie Atkins został warunkowo zwolniony z aresztu<sup>31</sup>. Ostatecznie, w listopadzie 1960 r., Sąd Wojewódzki w Warszawie wydał nakaz osadzenia skazanego w więzieniu. Dowiedziawszy się o tym, Atkins zaczął się ukrywać. Po przeprowadzeniu poszukiwań przy pomocy agentury kontrwywiad zatrzymał go w styczniu 1961 r. w domu pracy twórczej ZAIKS koło Jeleniej Góry. Z więzienia został zwolniony przedterminowo wiosną 1962 r.<sup>32</sup>

Pojedynek Tomasza Atkinsa z SB nie skończył się jednak na tym. Po wyjściu na wolność kontynuował on, choć ostrożniej, współpracę z „New York Timesem”. Odnowił kontakt z kolejnym korespondentem tej gazety, Arthurem Olsenem, dla którego pracował już w 1960 r. Teraz nie był przez niego oficjalnie zatrudniony, ale nadal zbierał dlań informacje. Pod koniec 1962 r., w związku z wyjazdem Olsena z Polski, Atkins podjął pracę w działającej przy ambasadzie USA delegaturze Foreign Claims Settlement Commission<sup>33</sup>.

Przez cały ten czas Wydział VII Departamentu II MSW nadal intensywnie rozpracowywał Atkinsa. Stosowano wobec niego podsłuch telefoniczny i obserwację zewnętrzną. Wykorzystywano także zwerbowaną w otoczeniu „figuranta” agenturę. Mimo tych wysiłków kontrwywiad najwyraźniej nie potrafił znaleźć nowych podstaw do aresztowania niewygodnego współpracownika Amerykanów. Świadectwem tej bezradności jest adnotacja na jednym z dokumentów, pochodząca prawdopodobnie od któregoś z wicedyrektorów Departamentu II MSW: „Czy Wydział [VII] zastanawiał się, w jaki sposób skompromitować Atkinsa (wyizolować) w jego środowisku? Jeśli nie możemy [go] posadzić, skończmy go wśród »swoich«”<sup>34</sup>.

## Ucieczka

Nowy pomysł, jak uderzyć w Atkinsa, wiązał się z otrzymanym przez SB doniesieniem agenturalnym, że „Bobosz” na zlecenie ambasady amerykańskiej zbiera informacje o oku-

<sup>28</sup> AIPN, 0235/1086, Streszczenie sprawy śledczej p[rzeciw]ko Aleksandrowi Wołowskiemu i Tomaszowi Atkinsowi, b.d. [1959].

<sup>29</sup> *Ibidem*, Plan czynności śledczych, 5 VII 1959 r.

<sup>30</sup> *Ibidem*, Meldunek o zapadłym wyroku, 6 I 1961 r.

<sup>31</sup> Nie udało się ustalić, jakie były dalsze losy Aleksandra Wołowskiego. Wiadomo, że w lipcu 1960 r. Sąd Najwyższy obniżył mu karę do 1 roku więzienia. Biorąc pod uwagę, że korespondent „Paris Match” spędził w tymczasowym areszcie 6 miesięcy, nie wydaje się, by powrócił do więzienia. W aktach dotyczących Wołowskiego są dokumenty świadczące, że ze względu na dalszą współpracę z francuską prasą SB inwigilowała go co najmniej do połowy lat sześćdziesiątych.

<sup>32</sup> AIPN, 00170/193, t. 5, Notatka informacyjna na temat Tomasza Atkinsa, 7 II 1963 r.

<sup>33</sup> Była to instytucja realizująca zawartą w 1960 r. umowę międzynarodową o odszkodowaniach za znacjonalizowane mienie obywateli amerykańskich

<sup>34</sup> AIPN, 00170/193, t. 5, Adnotacja odręczna z 9 XI 1962 r. na doniesieniu TW „Adama”.

pacyjnej przeszłości niektórych działaczy PZPR. 11 marca 1963 r. w mieszkaniu Atkinsa przeprowadzono tajną rewizję. Nie znaleziono jednak poszukiwanych materiałów, które chciano wykorzystać jako podstawę oskarżenia, ani żadnych innych dokumentów mogących mieć wartość operacyjną. Dorobiono jedynie klucze do mieszkania „figuranta” z myślą o ich wykorzystaniu w przyszłości<sup>35</sup>. Okazja, by się nimi posłużyć, już się jednak nie nadarzyła. Atkins prawdopodobnie zorientował się, że odwiedzali go nieproszeni goście, i zniknął z Warszawy. 21 marca 1963 r. wyjechał na urlop, z którego już nie powrócił. W pierwszych dniach maja SB dowiedziało się, że przebywa za granicą.

Departament II MSW nigdy definitywnie nie wyjaśnił, w jaki sposób Tomasz Atkins opuścił Polskę. W różnych źródłach – głównie doniesieniach agentury z kraju i zagranicy – pojawiło się kilka wersji jego ucieczki. Jedna mówiła, że Atkins wyjechał, postugując się cudzym paszportem. Inne źródła donosiły, że przekroczył granicę z Czechosłowacją w ramach małego ruchu granicznego i dopiero stamtąd przedostał się na Zachód. Wedle kolejnej hipotezy ucieczkę Atkinsa z kraju zorganizowali Amerykanie. Miał być wywieziony – bezpośrednio z Polski lub z Czechosłowacji – samochodem w specjalnej skrytce. Źródła agenturalne różniły się jednak co do tego, kto udzielił mu pomocy: kierownik amerykańskiego biura odszkodowawczego, *attaché* prasowy ambasady USA czy któryś z korespondentów „New York Timesa”, dla którego Atkins wcześniej pracował<sup>36</sup>.

Jeżeli w zorganizowanie ucieczki Tomasza Atkinsa z Polski rzeczywiście zaangażowała się ambasada Stanów Zjednoczonych, wskazywałoby to, że był on współpracownikiem amerykańskiego wywiadu. Inaczej nie podjęto by zapewne takiego ryzyka. W świetle danych zebranych przez Departament II MSW wersja ta wcale nie wydaje się jednak bardziej prawdopodobna od innych. Jest zupełnie możliwe, że ucieczka Atkinsa była całkiem prywatnym przedsięwzięciem, w którym być może dopomógł jeden z jego dawnych szefów. Przemawiałby za tym fakt, że bezpośrednio po opuszczeniu Polski Atkins mieszkał przez pewien czas w Szwajcarii u dawnej opiekunki do dzieci Sidneya Grusona i Arthura Olsena<sup>37</sup>. Wszystkie dostępne informacje na temat Atkinsa przekonują, że był on raczej obdarzonym niezwykłym tupetem aferzystą, niż szpiegiem. Nie wydaje się zresztą, by jakikolwiek wywiad chciał się postugiwać agentem od wielu lat doskonale znanym polskiemu kontrwywiadowi.

W ciągu kilkuletniego intensywnego rozpracowania w dokumentach Departamentu II MSW nie wysunięto nigdy wobec Atkinsa podejrzania o szpiegostwo. A przecież łatkę szpiega kontrwywiad przypinał różnym ludziom z dużą łatwością. Taki zarzut pojawił się dopiero po wyjeździe Atkinsa z kraju, niejako automatycznie. Przyjęto, że skoro uciekł, musiał się dopuścić zdrady ojczyzny. Na tej podstawie wszczęto postępowanie karne w sprawie „wejścia w porozumienie z obcym wywiadem w celu działania na szkodę PRL przez zbiegłego z Polski Tomasza Atkinsa”<sup>38</sup>. W 1964 r. śledztwo to zawieszono, a w 1980 r. umorzono z powodu przedawnienia<sup>39</sup>. Jednak już w 1965 r. uznano, że nie ma podstaw, by sprawą Atkinsa zajmował się Wydział I Departamentu II MSW, zwalczający działalność wywiadu USA, gdyż „jest on po prostu uciekinierem zaangażowanym w propagandzie przeciwko Polsce Ludowej”<sup>40</sup>. Cho-

<sup>35</sup> *Ibidem*, t. 5, Notatka informacyjna dot[ycząca] Tomasza Atkinsa, 30 V 1963 r.

<sup>36</sup> *Ibidem*, t. 5, Raport [do ministra spraw wewnętrznych] w sprawie Tomasza Atkinsa i jego żony Julitty, 19 VII 1963 r.

<sup>37</sup> *Ibidem*, t. 5, Notatka informacyjna dot[ycząca] Tomasza Atkinsa, 30 V 1963 r.

<sup>38</sup> *Ibidem*, t. 3, Postanowienie o wszczęciu dochodzenia, 19 VII 1963 r.

<sup>39</sup> *Ibidem*, t. 4, Postanowienie o umorzeniu śledztwa, 3 I 1980 r.

<sup>40</sup> *Ibidem*, t. 5, Notatka służbowa, 20 XI 1965 r.

dziło o to, że Atkins przez pewien czas współpracował z Radiem Wolna Europa, a po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych w 1965 r. opublikował artykuł na temat stosunków amerykańsko-polskich. Jego późniejsze losy nie są znane.

### **Żona „Bobosza”**

Dalszy ciąg sprawy operacyjnej „Bobosza” to historia podejmowanych przez Tomasza Atkinsa prób wydostania z kraju żony oraz działań SB, mających temu przeszkodzić.

W czerwcu 1963 r. jeden z agentów na Zachodzie doniósł, że Atkins kupił w Wiedniu polski paszport, który odpowiednio spreparował, wklejając fotografię żony i podrabiając pieczętki. Znajomy Atkinsa, obywatel duński Henryk Sokoler, miał przywieźć ten dokument do kraju, a następnie wyjechać do Niemiec z wraz jego żoną. Dowiedziawszy się o tym, kontrwywiad zastosował ścisłą inwigilację Julitty Atkins za pomocą wszystkich dostępnych środków pracy operacyjnej, co być może przeszkodziło jej w opuszczeniu kraju. Według innych informacji miała nie zgodzić się na nielegalny wyjazd<sup>41</sup>.

Kolejnym pomysłem Tomasza Atkinsa na wydostanie żony z Polski było jej fikcyjne małżeństwo z Sokolarem. W listopadzie 1963 r. Atkinsowie przeprowadzili rozwód, a w grudniu Julitta miała poślubić Sokolera. SB skłoniła urząd stanu cywilnego do nagłego przesunięcia terminu uroczystości, a kiedy Sokoler ponownie przyjechał do Warszawy w styczniu 1964 r., by się ożenić z Julittą, zatrzymano go, przesłuchano, a następnie anulowano mu więz, co równało się wydaleniu, oraz wpisano na listę osób niepożądanych w kraju. „Narzeczeni” nie dawali jednak za wygraną i Sokoler poczynił przygotowania do zawarcia związku małżeńskiego *per procura* za pośrednictwem upoważnionego adwokata. SB uznała, że nie jest w stanie temu przeszkodzić, jednak z nieznanych przyczyn w połowie 1964 r. Sokoler wycofał się z całego przedsięwzięcia. Kilka miesięcy później pojawił się w Warszawie nowy „narzeczony” Julitty Atkins, tym razem obywatel francuski, za którego ostatecznie wyszła. SB nadal jednak uniemożliwiała jej wyjazd z Polski. Zakaz wyjazdów Julitty Atkins za granicę uchylono dopiero w 1967 r. i wtedy, jak można przypuszczać, opuściła ona Polskę<sup>42</sup>.

Istotnym celem represji wobec Aleksandra Wołowskiego i Tomasza Atkinsa było zastraszenie osób udzielających informacji zagranicznym dziennikarzom. Udzielano też w ten sposób przestrogi samym korespondentom zachodniej prasy, że ich szerokie kontakty z Polakami są przez władze źle widziane. Po aresztowaniach Atkinsa i Wołowskiego agentura Departamentu II MSW otrzymywała zadanie zbierania informacji o reakcjach w środowisku dziennikarskim na te posunięcia. Niewątpliwie wywoływały one poważne poruszenie i niepokój. Na przykład po pierwszym aresztowaniu Atkinsa Sidney Gruson obawiał się, że zostanie wydalony z Polski<sup>43</sup>.

Co jednak wydaje się najbardziej uderzające, to faktyczna bezradność SB wobec takich ludzi jak Aleksander Wołowski i Tomasz Atkins, którzy nie zważając na szykany i represje, kontynuowali zarobkową współpracę z zachodnią prasą. Nie pracując na państwowym etacie i nie będąc uzależnieni od państwa, należeli do wąskiej kategorii osób żyjących w PRL poza „oficjalnym obiegiem”. Okazuje się, że w warunkach względnej liberalizacji i pewnego minimum praworządności po Październiku 1956 r. policja polityczna w gruncie rzeczy niewiele mogła im zrobić.

<sup>41</sup> *Ibidem*, t. 5, Raport do dyrektora Departamentu II MSW, 13 XII 1963 r.

<sup>42</sup> *Ibidem*, t. 5, Notatka służbowa dot[ycząca] Julitty Atkins, 19 X 1965 r.

<sup>43</sup> AIPN, 01062/19, t. 4, Informacja dotycząca dziennikarzy zagranicznych przebywających w Polsce, 8 II 1958 r.

## „ALBION” I ŻUBRY

**W latach siedemdziesiątych, w okresie pewnej stabilizacji międzynarodowego układu sił, PRL zaczęły coraz liczniej odwiedzać goście zza „żelaznej kurtyny”. Na terenie województwa białostockiego do miejsc szczególnie popularnych wśród zagranicznych turystów i dyplomatów należał Białowiecki Park Narodowy. Upodobali go sobie zwłaszcza Brytyjczycy.**

Białowieża i otaczająca ją puszcza od dawna przyciągały licznych gości. Polowali tu monarchowie, prezydenci i przedstawiciele sfer rządzących z wielu europejskich krajów. W okresie międzywojennym utworzono Białowiecki Park Narodowy, a atrakcyjność puszczy wzrosła m.in. dzięki restytucji żubrów – symbolu dawnej, nieskażonej przyrody tych obszarów. Po zakończeniu II wojny światowej rozdarła granicą puszcza zachowała opinię miejsca szczególnie atrakcyjnego, chętnie odwiedzanego przez turystów. Wśród gości, głównie myśliwych, pojawiła się nowa grupa – notabie z komunistycznych władz i ich partyjni koledzy z krajów bloku sowieckiego. W 1970 r. liczba odwiedzających Białowieżę przekroczyła 100 tys. osób<sup>1</sup>.

Służba Bezpieczeństwa doskonale zdawała sobie sprawę, że „położenie Białowieży, jak też jej obiektów turystycznych w centrum dużego kompleksu leśnego, stanowi duże zainteresowanie zarówno turystów z krajów kapitalistycznych, naukowców całego świata, jak również ze strony pracowników placówek dyplomatycznych”<sup>2</sup>. W ramach realizacji zadań określonych w sprawie obiektowej o kryptonimie „Wyspa” (od roku 1976 – „Albion”), zatwierdzonej do realizacji 28 maja 1971 r., SB postanowiła rozpoznać i udokumentować ewentualne działania wywiadu brytyjskiego na terenie województwa białostockiego<sup>3</sup>. Dyplomaci, zwykle jednoznacznie kojarzeni przez SB z wywiadem, byli częstymi gośćmi w Białowieży, m.in. dlatego pierwszy zastępca komendanta powiatowego MO ds. SB w Hajnówce sporządził 20 października 1972 r. wniosek o wszczęcie sprawy o kryptonimie „B-72”, mającej na celu „zabezpieczenie” obiektów turystycznych w Białowieży. Podstawą do przygotowania, zatwierdzonego dziesięć dni później wniosku, były wskazówki kierownictwa Komendy Wojewódzkiej MO w Białymstoku z 24 sierpnia 1972 r.<sup>4</sup>

W latach siedemdziesiątych wśród białowiejskich gości byli m.in.: ambasador Wielkiej Brytanii z rodziną, *attaché* wojskowy ambasady z małżonką, I sekretarz ds. politycznych ambasady z rodziną, II sekretarz ambasady z rodziną. Wszystkie przyjazdy miały ściśle prywatny i turystyczny charakter. Dyplomaci i ich bliscy wiele czasu poświęcali na spacery, zwiedzanie muzeum i innych obiektów Białowiejskiego Parku Narodowego. Stałym punktem pobytów była wizyta w rezerwacie żubrów. W 1975 r. Białowieżę odwiedził książę Filip<sup>5</sup>. Niestety, jak dotąd nie udało się odnaleźć materiałów dokumentujących wizytę męża brytyjskiej królowej Elżbiety II.

<sup>1</sup> E. Więcko, *Puszcza Białowiecka*, Warszawa 1972, s. 170.

<sup>2</sup> AIPN Bi, 011/106, Sprawa obiektowa krypt. B-72, k. 6 v.

<sup>3</sup> AIPN Bi, 011/104, Sprawa obiektowa krypt. „Albion”, k. 3.

<sup>4</sup> *Ibidem*, k. 2.

<sup>5</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/70, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Australii na terenie Polski w latach 1972–1976, k. 237.



O przyjeździe pracownika ambasady brytyjskiej (a także innego kraju kapitalistycznego) lokalne władze bezpieczeństwa często dowiadywały się z chwilą dokonania rezerwacji pokoju hotelowego. O przybyciu do białowieskiej „lw”, „Domu Myśliwskiego” lub „Domu Wycieczkowego PTTK” powiadamiali SB miejscowi informatorzy. I tak na przykład tajny współpracownik „EW” przekazał informację o planowanym pobycie w Białowieży trzech pracowników brytyjskiej ambasady w dniach 1–3 marca 1975 r.<sup>6</sup> Inny tajny współpracownik, pseudonim „Borsuk”, doniósł o rezerwacjach pokoi hotelowych na dwa pobyty dyplomatów w kwietniu 1976 r.<sup>7</sup> Z kolei z informacji TW „Turystki” wynika, że 21 kwietnia 1977 r. pracownik Departamentu Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa polecił dyrekcji Białowieskiego Parku Narodowego zarezerwowanie dziewięciu pokoi w „Domu Myśliwskim” dla pracowników ambasady brytyjskiej, którzy 7 i 8 sierpnia 1977 r. mieli przebywać w Białowieży<sup>8</sup>. Uzyskane w ten sposób informacje pozwalały SB na wcześniejsze przygotowanie odpowiednich działań wobec gości wybierających się do Białowieskiego Parku Narodowego.

Już w czasie przejazdu przez województwo pojazd dyplomatyczny był stale obserwowany. Sprawozdania zawierają szczegółowy wykaz godzin przejazdu obcokrajowców przez poszczególne miejscowości. W województwie białostockim obserwacja zaczynała się zwykle w Zambrowie, Drohiczynie lub Siemiatyczach, w zależności od trasy przyjazdu dyplomatów na Białostoczną. Funkcjonariusz, który zauważył interesujący SB samochód, natychmiast powiadamiał swego przełożonego. Czynności podjęte przez I zastępcę komendanta powiatowego MO ds. SB w Wysokim Mazowieckiem dobrze opisują dalsze – typowe – działania. „W dniu 2 III 1975 r. o godz. 12.50 inspektor ruchu drogowego K[omendy] P[owiatowej] MO w Wysokim Mazowieckiem [...] (nie będąc na służbie) spostrzegł przejeżdżający przez miasto Wysokie Mazowieckie [...] samochód osobowy nr rej. WZ-2600. [...] O przejeździe ww. wozu powiadomiono oficera dyżurnego KW MO w Białymstoku na tel. nr 550 oraz dyżurnego KP MO w Zambrowie”<sup>9</sup>. Często w celu sprawdzenia i uściślenia informacji na trasę przejazdu kierowany był pojazd Inspekcji Ruchu Drogowego. „Drogówka” także dostarczała danych o przejazdach dyplomatów<sup>10</sup>. Źródłem informacji byli również cywilni współpracownicy. Działający w Zambrowie TW „Zenek” doniósł 30 maja 1975 r. o przejeździe przez miasto samochodów korpusu dyplomatycznego<sup>11</sup>.

Służba Bezpieczeństwa, m.in. w celu uniknięcia stosowania nazwisk inwigilowanych osób, nadawała „figurantowi” (tak określano osobę będącą w sferze zainteresowania) pseudonim, którym później posługiwano się w meldunkach i raportach. *Attaché* lotniczemu ambasady Wielkiej Brytanii nadano pseudonim „Bistur”, natomiast ambasadorowi brytyjskiemu – „Aga”<sup>12</sup>.

Naczelnik Wydziału II SB KW MO w Białymstoku, wiedząc o planowanej wizycie obcokrajowców, wnioskował „o spowodowanie możliwie wszechstronnego zabezpieczenia pobytu” dyplomatów na terenie Białowieskiego Parku Narodowego<sup>13</sup>. Na tym etapie sporząd-

<sup>6</sup> *Ibidem*, k. 139.

<sup>7</sup> *Ibidem*, k. 191.

<sup>8</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/71, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Kanady na terenie Polski w latach 1977–1983, k. 3.

<sup>9</sup> AIPN Bi, 0037/70, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Australii na terenie Polski w latach 1972–1976, k. 148.

<sup>10</sup> *Ibidem*, k. 136, 155.

<sup>11</sup> *Ibidem*, k. 164.

<sup>12</sup> *Ibidem*, k. 134, 201.

<sup>13</sup> *Ibidem*, k. 132.

dzano plan działań funkcjonariuszy. Ważną część „zabezpieczenia” stanowiło przeszukanie bagaży i pokoi hotelowych zajmowanych przez zagranicznych gości. Tajna rewizja miała na celu „ujawnienie materiałów mogących świadczyć o prowadzeniu wrogiej działalności oraz zdobycie odcisków kluczy lub innych przedmiotów mogących interesować SB”. W polu zainteresowania służb znajdowały się oczywiście wszelkie dokumenty i notatki. Podczas wizyty *attaché* lotniczego Wielkiej Brytanii planowano, że „w dniu 28 IX 1974 r. grupa operacyjna uda się do Białowieży i zamieszka w »Domu Myśliwskim«. Po opuszczeniu przez cudzoziemców hotelu, zostaną oni poddani obserwacji przez pracowników Wydziału »B«. Po upewnieniu się co do miejsca ich pobytu, grupa operacyjna przystąpi do realizacji wykonania zadania”. W skład grupy miały wejść cztery osoby: starszy inspektor i inspektor Wydziału II odpowiedzialni za przeszukanie, kapitan z Wydziału „T” odpowiedzialny za wykonanie zdjęć znalezionych dokumentów oraz porucznik odpowiedzialny za operacyjne „zabezpieczenie” i dostarczenie kluczy do pokoi. Tak uformowana grupa operacyjna dysponowała samochodem służbowym. W czasie tajnego przeszukania wydzieleni funkcjonariusze obserwowali „figurantów” lub ograniczali się do „zabezpieczenia wszystkich dróg prowadzących do hotelu”. Takie postępowanie miało na celu uniknięcie dekonspiracji osób prowadzących rewizję<sup>14</sup>. Szczegóły działań podjętych wobec brytyjskiego ambasadora i jego rodziny ukazuje raport: „Pod nieobecność dyplomatów zgodnie z zatwierdzonym planem dokonano tajnej penetracji bagaży i pomieszczeń noclegowych. W pokoju zamieszkałym przez zięcia ambasadora nie znaleziono żadnych dokumentów. Stwierdzono, że wszystkie paczki były zaklejone taśmą klejącą bezbarwną. Wszystkie inne przedmioty własnego użytku były poustawiane w charakterystyczny sposób. W związku z tym należy stwierdzić, że zięć ambasadora stosował samokontrolę. Następnie udałem się do pokoju zamieszkałego przez ambasadora. Po wejściu stwierdziłem, że wszystkie bagaże w tym pokoju były także poustawiane w charakterystyczny sposób. Na niektórych paczkach była użyta taśma klejąca bezbarwna, która zabezpieczała ich otwarcie. W walizeczce dyplomaty znajdowały się różne pisma i dokumenty w języku angielskim. Z dokumentów tych zrobiono zdjęcia fotograficzne. Ponadto w pokoju ambasadora znajdowało się radio angielskie turystyczne z dużą ilością zakresów fal. Innych dokumentów i przyrządów technicznych nie znaleziono. Należy stwierdzić, że ambasador także stosował samokontrolę”<sup>15</sup>.

Dyplomaci najczęściej byli śledzeni w ciągu całego swego pobytu w Białowieży. Notowano czas spędzony w pokojach hotelowych, godziny spożywania posiłków, spacerów itp. Szczególne zainteresowanie pracowników SB budziły nawiązywane przez obcokrajowców kontakty. Często wykonywano fotografie dokumentujące poszczególne etapy pobytu w Białowiejskim Parku Narodowym. Wszystkie wymienione czynności inwigilacyjne były prowadzone z ukrycia, w sposób niebudzący podejrzeń osób poddawanych kontroli.

Innym źródłem dostarczającym informacji o zagranicznych gościach odwiedzających Białowieżę byli tajni współpracownicy, mający bezpośredni kontakt z obcokrajowcami. Wiadomości zdobyte w czasie rozmów prowadzonych podczas wycieczek po puszczy na bieżąco były przekazywane pracownikom SB. Służby interesowały się pytaniami zadawanymi przez dyplomatów, szczególnie tymi, które dotyczyły pobliskiej granicy, kontaktów i współpracy z obywatelami ZSRR oraz sytuacji w radzieckiej części puszczy.

<sup>14</sup> *Ibidem*, k. 133.

<sup>15</sup> *Ibidem*, k. 199–200.

Tajny współpracownik „Lis” meldował o pobycie II sekretarza ambasady brytyjskiej 17 i 18 lipca 1976 r.: „W godzinach popołudniowych 17 VII [19]76 r. będąc na terenie Białowieckiego Parku Narodowego stwierdziłem, że koło »Myśliwskiego« stoi samochód koloru szarego na rejestracji WZ-1304. W dniu 18 VII [19]76 r. ponownie stwierdziłem, jak ww. samochód z trzema osobami udał się ul. gen. Waszkiewicza w kierunku kościoła, następnie w kierunku stacji PKP Białowieża Pałac. Tam przebywał około 20–25 min. Co robili, tego nie wiem, następnie przez wieś Podolany udał się do Białowieży, i nie dojeżdżając do przejazdu PKP, pojechał ulicą Olgi Gabin w kierunku Hajnówki. Zamierzał pojechać Drogą Siennicką, jednak samochód zatrzymał [się] przed znakiem zakazu wjazdu, a wszyscy pasażerowie udali się w głąb puszczy. Jak tam długo przebywali i co robili, tego nie wiem. Jedynie nadmieniam, że było bardzo dużo turystów, jak samochodami, rowerami i na pieszo [sic!]. Wszyscy udawali się do lasu po czarne jagody, tam gdzie był zaparkowany samochód dyplomaty”. „Lis” przekazywał również informacje zasłyszane od znajomych. Po rozmowie z powożącym podczas wycieczki do puszczy doniósł, że „[...] dyplomata dobrze rozmawia po polsku, jednak żadnych pytań politycznych nie zadawał”<sup>16</sup>. SB mogła sprawdzić prawdziwość swego informatora, gdyż rozmówca „Lis” także współpracował ze służbami jako TW „Giewont”. Oto jego relacja: „Zgodnie z umową w dniu 18 VII [19]76 r. o godz. 10 zajechałem furmanką pod »Myśliwski« i tam po kilku minutach wyszedł dyplomata z małżonką i dzieckiem. W międzyczasie [tak w tekście] dowiedziałem się od dyplomaty, że może on dobrze rozmawiać po polsku lub po niemiecku. W czasie zwiedzania rezerwatu ścisłego i tras turystycznych przez cały czas rozmawialiśmy językiem polskim [sic!]. Zainteresowań żadnych nie przejawiał, nawet ani razu nie zapytał, gdzie przebiega granica, jak daleko, lub w jaki sposób jest ochrania”<sup>17</sup>.

Do najcenniejszych informatorów SB należał TW „Antoni”. Jego przydatność dobrze charakteryzuje opinia zawarta w planie wykonawczym w sprawie obiektowej „Wyspa” na rok 1975: „wykształcenie wyższe, obywatelstwo polskie, znajomość jęz[yków] obcych angielski, francuski, niemiecki i rosyjski, sprawdzony, chętny do współpracy, posiada trwałe kontakty służbowe z W[ielką] Brytanią, Szwajcarią i innymi k[rajami] k[apitalistycznymi]”<sup>18</sup>. Ze względu na biegłą znajomość angielskiego „Antoni” szczególnie często obsługiwał gości przyjeżdżających z ambasady. Jego zaangażowanie we współpracę częstokroć pozwalało na poznanie stosunków rodzinnych gości, ich poprzednich miejsc pracy – placówek dyplomatycznych, osobistych zainteresowań. Ambasador odwiedzający Białowieżę opowiadał o swoim ojcu, „który przed wojną pisał historię Polski wspólnie z polskimi historykami, m.in. z prof. Tatarkiewiczem, mówił, że był przed wojną w Wilnie, a przed przyjazdem do Warszawy był na placówce w Singapurze”<sup>19</sup>. Konsul brytyjski mówił, „że nie tak dawno [...] z rodziną był w Afryce Południowej, obecnie mieszka pod Warszawą w okolicy Radości, niedaleko linii kolejowej”<sup>20</sup>.

<sup>16</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/70, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Australii na terenie Polski w latach 1972–1976, k. 228.

<sup>17</sup> *Ibidem*, k. 229–230.

<sup>18</sup> AIPN Bi, 011/103/1, Sprawa obiektowa krypt. „Albion”, k. 55.

<sup>19</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/70, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Australii na terenie Polski w latach 1972–1976, k. 203.

<sup>20</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/71, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Kanady na terenie Polski w latach 1977–1983, k. 19.

Stałym punktem zainteresowania służb były pytania obcokrajowców o Związek Radziecki, pobliską granicę i kontakty mieszkańców Białowieży ze wschodnim sąsiadem. W jednej ze swoich relacji niezastąpiony „Antoni” informował: „w trakcie rozmowy zupełnie bezpardonowo zapytał mnie wprost: »Jak mi się współpracuje z radzieckimi kolegami naukowcami z radzieckiej części Puszczy«”<sup>21</sup>. Konsul pytał tajnego współpracownika o „kontakty z zagranicą, a zwłaszcza ze stroną radziecką, tudzież o to, czy granica jest wygradzona”<sup>22</sup>.

Ostatnim etapem inwigilacji obcokrajowców przebywających w Białowieży było ich „odprowadzenie” przez mijane posterunki milicji. Znow, podobnie jak w czasie przyjazdu, rejestrowano godziny przejazdu przez poszczególne miejscowości. Zwykle sporządzano dokładny raport. Po wyjeździe brytyjskiego konsula naczelnik Wydziału „B” KW MO w Białymstoku meldował: „Dnia 5 IX [19]77 roku o godzinie 7.30, po uregulowaniu należności za noclegi, wyjechali z Białowieży. O godzinie 8.00 minęli Hajnówkę i odjechali w kierunku Bielska Podlaskiego. O godzinie 8.25 przejechali przez Bielsk Podlaski w kierunku Białegostoku. Po wyjechaniu z Bielska Podlaskiego na szosę w kierunku Białegostoku zawrócili i ponownie przez Bielsk Podlaski odjechali w kierunku Brańska. O godzinie 9.00 minęli Brańsk, udając się w kierunku Wysokiego Mazowieckiego. Obserwację zakończono zgodnie z zadaniem”<sup>23</sup>.

Sprawy obiektowe „B-72” i „Albion” zamknięto u progu lat dziewięćdziesiątych wraz ze zmianami politycznymi w Polsce. Zapisano wtedy: „w aktualnej sytuacji społeczno-politycznej zmniejszyło się zagrożenie ze strony wywiadu brytyjskiego. Brakuje zatem uzasadnienia dla prowadzenia oddzielnej sprawy dot. wywiadu brytyjskiego z pozycji Białegostoku”<sup>24</sup>.



Fot. Anna Piekarska

<sup>21</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/70, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Australii na terenie Polski w latach 1972–1976, k. 203.

<sup>22</sup> AIPN Bi, Nieuporządkowane materiały archiwalne b. WUSW Białystok, 0037/71, Materiały dotyczące pobytu dyplomatów z Wielkiej Brytanii i Kanady na terenie Polski w latach 1977–1983, k. 19

<sup>23</sup> *Ibidem*, k. 20.

<sup>24</sup> AIPN Bi, 011/104, Sprawa obiektowa krypt. „Albion”, k. 432 v.

# BARDZO KRÓTKI SŁOWNIK WYWIADU

Chyba każda grupa zawodowa posługuje się żargonem lub przynajmniej zbiorem swoistych określeń czy nazw. Ich znajomość bywa dowodem wtajemniczenia, ale przede wszystkim mają one ułatwiać komunikację wewnątrz grupy, gdyż dzięki ich używaniu można krótko nazywać jakieś czynności czy przedmioty, unikając przytaczania za każdym razem definicji, które czasami musiałyby być rozwlekłe. Znajomość takiego żargonu lub słownictwa potrzebna jest każdemu, kto bada taką grupę zawodową lub wytworzone przez nią dokumenty. Oczywiście, że aparat bezpieczeństwa PRL też posługiwał się własnym „językiem”. Pierwszą próbę jego analizy podjął Zdzisław Uniszewski (*Żargon zawodowy pracowników śledczych i operacyjnych. Problematyka kryminalistyczna*, Wrocław 1999), zaś Łukasz Kamiński na podstawie znajomości aktów normatywnych, sprawozdań i dokumentów operacyjnych ułożył słowniczek zawierający także rozszyfrowania skrótów niektórych komórek SB (*Lingua securitatis*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, nr 1, 2003, ss. 209–216). W materiałach Departamentu I MSW – a więc wywiadu – natrafiłem na krótki, zawierający zaledwie 51 haseł, ale jednak oryginalny, słowniczek stosowany w pracy tego pionu. Zapewne część przedstawionych w nim określeń używana była także w innych „pionach” SB. Myślę więc, że może przydać się badaczom, czy choćby tylko czytelnikom dokumentów wywiadu. Innym jego walorem jest to, że mówi on trochę o technikach pracy operacyjnej. Dokument ten znajduje się w zbiorach IPN, 01748/162; korzystałem z wersji mikrofilmowej (7767).

## Ściśle tajne

Egz. Nr 1

### Terminologia wywiadowcza obowiązująca w pracy Departamentu I-go

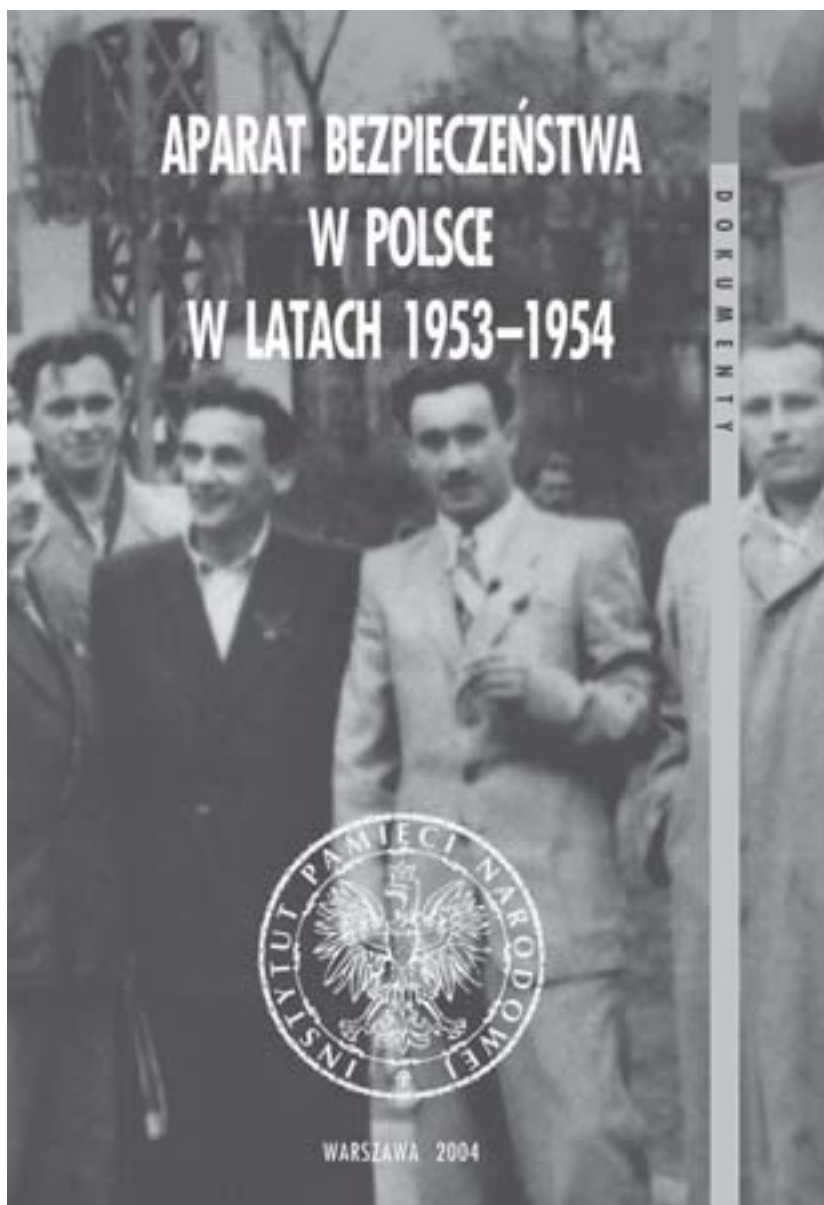
1. **Rezydentura legalna** – ekspozytura wywiadu na terenie kraju rozpracowywanego korzystająca z legalnego przykrycia naszych przedstawicielstw za granicą.
2. **Rezydentura nielegalna** – ekspozytura wywiadu na terenie kraju rozpracowywanego nie korzystająca z przykrycia naszych przedstawicielstw za granicą i w zasadzie nie mająca z nimi żadnego kontaktu.
3. **Sieć agenturalna** – zorganizowana zgodnie z planem działalności wywiadowczej, grupa agentów wykonująca określone zadania, kierowana przez rezydenta lub kierownika siatki agenturalnej.
4. **Wywiadowca** – kadrowy pracownik wywiadu.
5. **Werbunek** – tajny proces celowego pozyskiwania określonej osoby do współpracy z wywiadem, realizowany przez werbownika w ustalonym trybie.

6. **Werbownik** – wywiadowca lub agent posiadający odpowiednie warunki dla dokonywania werbunku określonych osób.
7. **Baza werbunkowa** – środowiska ludzkie dogodne dla doboru i werbowania agentury przez wywiad.
8. **Podstawa werbunku** – istniejące lub stworzone przez wywiad okoliczności, zainteresowania, chęci, poglądy, dążenia osobiste kandydata, które mogą być wykorzystane dla uzyskania zgody werbowanego na współpracę z wywiadem.
9. **Kombinacja operacyjna** – całokształt przedsięwzięć agenturalno-operacyjnych, zsynchronizowanych z sobą, przeprowadzanych przez wywiad dla osiągnięcia zamierzonego celu.
10. **Werbunek pod obcą flagą** – werbunek przeprowadzony pod firmą obcych organizacji wywiadowczych, politycznych, ekonomicznych, naukowych, społecznych, religijnych itp.
11. **Agent** – osoba wciągnięta w sposób tajny do współpracy z wywiadem.
12. **Agent źródło informacji** – agent zdobywający i dostarczający wywiadowi informacje wywiadowcze.
13. **Agent wpływowy** – agent oddziaływujący [tak w tekście] lub inspirujący zgodnie z poleceniami wywiadu.
14. **Agent dywersyjny** – agent wykonujący specjalne polecenia wywiadu na obiektach wojskowych, przedsiębiorstwach gospodarczych, instytutach naukowo-badawczych, w transporcie itp. dla podważenia siły politycznej, ekonomicznej i wojennej przeciwnika.
15. **Agent kierownik siatki** – agent, który z polecenia i pod ścisłą kontrolą wywiadu kieruje pracą i utrzymuje łączność z grupą agentów.
16. **Agent legalizacji i przykrycia** – agent, który mając odpowiednie warunki umożliwia wywiadowi legalizację i przykrycie nielegalnych wywiadowców, lub agentów na terenie rozpracowywanego kraju.
17. **Kurier** – wywiadowca, lub specjalnie zwerbowany agent, utrzymujący łączność między ogniwami wywiadowczymi znajdującymi się w różnych krajach.
18. **Łącznik** – wywiadowca lub specjalnie zwerbowany agent utrzymujący łączność między ogniwami wywiadowczymi w granicach rozpracowywanego kraju.
19. **Żywa skrzynka** – konspiracyjny punkt służący do przekazywania materiałów wywiadowczych, sprzętu technicznego, środków finansowych. Do tego celu wywiad werbuje ludzi mających odpowiednie warunki lokalowe i zawodowe (sklep, fryzjer, lekarz, stacja benzynowa itp).
20. **Lokal konspiracyjny** – mieszkanie osoby zwerbowanej lub wykorzystywanej kapturowo, służące wywiadowi do spotkań i celów specjalnych (przechowywanie i instalowanie sprzętu wywiadowczego, czasowe ukrywanie osób, opracowanie informacji wywiadowczych itp.). Lokal konspiracyjny winien być odpowiednio zalegalizowany i przeznaczony wyłącznie dla jednego z ww. celów.
21. **Punkt korespondencyjny** – adres w kraju względnie za granicą, na który przesyła się listy o ukrytej treści lub wykorzystuje dla legendowania nadawcy. Do tego celu werbuje się lub wykorzystuje kapturowo osoby mające odpowiednie warunki do przyjmowania i wysyłania korespondencji.
22. **Telefon konspiracyjny** – telefon specjalnie zwerbowanego agenta, lub osoby kapturowo wykorzystywanej, służący do utrzymania łączności między

- ogniwami wywiadowczymi w sposób zaszyfrowany i zabezpieczający konspirację.
23. **Łączność w wywiadzie** – całokształt przedsięwzięć wywiadu w dziedzinie utrzymania konspiracyjnego kontaktu między ogniwami wywiadowczymi.
  24. **Łączność osobowo bezpośrednia** – utrzymanie bezpośredniego konspiracyjnego kontaktu między wywiadowcą i agentem bądź też między samymi wywiadowcami lub agentami.
  25. **Łączność bezosobowa** – utrzymanie kontaktu między osobami zaangażowanymi w pracy wywiadowczej za pomocą środków technicznych (martwe skrzynki, radio, poczta itp.).
  26. **Martwa skrzynka** – specjalnie przystosowany schowek do przekazywania lub przechowywania materiałów wywiadowczych w warunkach konspiracyjnych.
  27. **Spotkanie** – bezpośredni konspiracyjny kontakt między członkami jednego lub też różnych ogniw wywiadowczych. Rozróżniamy następujące spotkania: kolejne, zapasowe, błyskawiczne, nadzwyczajne (wywoławcze), hasłowe i wzrokowe (kontrolne).
  28. **Spotkanie kolejne** – następne spotkanie uzgodnione jednorazowo z góry lub objęte ramowym planem spotkań.
  29. **Spotkanie zapasowe** – spotkanie uzgodnione między dwiema osobami zaangażowanymi w pracy wywiadowczej na wypadek zerwania spotkania kolejnego.
  30. **Spotkanie nadzwyczajne** – spotkanie kolejne odbyte w terminie wcześniejszym niż zaplanowane. Następuje ono przy pomocy umownego wywołania.
  31. **Spotkanie hasłowe** – spotkanie dwóch osób zaangażowanych w pracy wywiadu wzajemnie nie znających się. Dochodzi do skutku wg wcześniej uzgodnionego czasu, miejsca, znaków rozpoznawczych, hasła i odzewu.
  32. **Spotkanie wzrokowe** – (kontrolne) – spotkanie polegające na tym, że agent i wywiadowca (tylko wywiadowca) widzą się (widzi agenta) z pewnej odległości w miejscu i czasie wcześniej uzgodnionym, lecz nie dochodzą do siebie.
  33. **Błyskawiczne przekazanie materiałów** – (spotkanie błyskawiczne) – szybkie odebranie materiałów lub przedmiotów bez widocznego przez osoby postronne styku dwu osób, biorących udział w przekazaniu.
  34. **Dekonspiracja** – sytuacja, w wyniku której działalność osób pracujących dla wywiadu, metody pracy wywiadu, zamiary wywiadu, środki techniczne, którymi w pracy posługuje się wywiad itp., zostały ujawnione wobec osób postronnych lub wobec kontrwywiadu.
  35. **Przerzut** – jest to konspiracyjny wyjazd wywiadowcy lub agenta do kraju rozpracowywanego.
  36. **Kanał przerzutowy** – pod tym terminem należy rozumieć ludzi zawerbowanych lub wykorzystywanych kapturowo, przy pomocy których przerzucana przez nas agentura (względnie wywiadowca) przekracza granicę.
  37. **Kapturowe wykorzystywanie osób** – polega na tym, że w sposób podstępny wykorzystuje się osoby, które nieświadomie udzielają informacji wywiadowi lub wykonują jego zadania.
  38. **Legenda** – zbiór faktów prawdziwych i nieprawdziwych potrzebnych wywiadowcy lub agentowi dla zamaskowania swej działalności wywiadow-

- czej wobec otoczenia. Rozróżniamy następujące legendy: życiorysu, wyjazdów, spotkania, znajomości, rozmowy w czasie spotkania, zamierzeń wywiadu, wyjścia na spotkanie, zainteresowań agenta wobec źródeł informacji, posiadania pieniędzy, sprzętu technicznego, materiałów wywiadowczych itp.
39. **Przykrycie** – oficjalna pozycja społeczna i zawodowa, pod jaką występuje agent lub wywiadowca, pozorująca wobec otoczenia normalną i wiarygodną egzystencję.
  40. **Aklimatyzacja** – okres czasu potrzebny wywiadowcy lub agentowi do przygotowania się i poznania warunków, w których ma przebywać i prowadzić działalność wywiadowczą.
  41. **Legalizacja** – pełne nie wzbudzające podejrzeń udokumentowanie i załatwienie niezbędnych formalności administracyjnych i innych, obowiązujących w danym kraju, potrzebnych agentowi lub wywiadowcy do okresowego lub stałego w nim pobytu.
  42. **Wtórnik** – osoba, której danymi z życiorysu oraz dokumentami posługuje się pracownik wywiadu lub agent dla zalegalizowania swojej osoby wobec władz kraju pobytu. Wtórnik nie zawsze musi wiedzieć, do jakich celów służą jego dokumenty i życiorys.
  43. **Oderwania od obserwacji** – lansowane wyjście spod obserwacji przez obserwowanego (wywiadowcę lub agenta).
  44. **Punkty sprawdzeń** – sposoby i miejsca, przy pomocy których obserwowany stara się stwierdzić, czy jest za nim prowadzona obserwacja.
  45. **Sytuacja wywiadowcza w terenie** – (proponujemy zamiast sytuacja agenturalna lub agencyjna). Całokształt informacji z różnych dziedzin określonego terenu koniecznych do prowadzenia działalności wywiadowczej.
  46. **Kontejner** [tak w tekście] – schowek, posiadający odpowiednie zabezpieczenie techniczne, służące do natychmiastowego zniszczenia zawartości w wypadku niebezpieczeństwa.
  47. **Skrytka** – schowek w przedmiotach osobistego użytku, meblach itp. służący dla przechowywania lub przewożenia materiałów wywiadowczych i innych środków (pieniędzy, dokumentów itp.) w sposób konspiracyjny.
  48. **Perlustracja** – tajne otwieranie listów, przesyłek pocztowych, konspiracyjnych, wgląd do tajnej korespondencji.
  49. **Podśluch** – tajne podsłuchiwanie przy pomocy aparatów podsłuchowych, rozmów prowadzonych przez osoby interesujące wywiad lub kontrwywiad.
  50. **Mikropunkt (mikrat)** – silnie zmniejszone do wielkości kropki obrazy fotograficzne.
  51. **Kamuflaż** – czynność mająca na celu zamaskowanie i ukrycie materiału wywiadowczego.





Niniejszy tom jest czwartym (drugim wydaniem przez IPN) w serii przedstawiającej dokumenty Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zbiór obejmuje protokoły, referaty i wypowiedzi z narad i odpraw w ministerstwie na temat kluczowych kierunków działania resortu oraz wydarzeń, które w nim zaszły. W ciągu dwóch lat objętych tomem w aparacie bezpieczeństwa nastąpiła zasadnicza zmiana: w początkach 1953 r. miał ogromne znaczenie w życiu politycznym kraju, pod koniec 1954 r. został głęboko – choć tylko pod względem formalnym – zreorganizowany. Publikowane dokumenty mówią o kryzysie narastającym w bezpieczeństwie i próbach jego zażegnania.

## „KOS” KONTRA UPA

**Jednym z pierwszych posunięć polskich władz komunistycznych było podpisanie 27 lipca 1944 r. umowy z rządem ZSRS o polsko-sowieckiej granicy państwowej. Po jej wytyczeniu w granicach Polski znalazło się około 700 tys. Ukraińców<sup>1</sup>. Rezultatem tego była decyzja o wzajemnym przesiedleniu Ukraińców z Polski i Polaków z Ukrainy.**

Zdecydowanie przeciwko ewakuacji występowały UPA, kuszczowe oddziały samoobrony (SKW) i doraźnie dozbrojone grupy ludności ukraińskiej. Przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów-Ukraińskiej Powstańczej Armii zdawali sobie sprawę, że wyjazdy ludności ukraińskiej powodowały kurczenie się zaplecza ludnościowego i baz zaopatrzeniowych organizacji. W połowie 1945 r. nastąpiło całkowite załamanie akcji przesiedleńczej na Ukrainę. Wobec tego zdecydowano o rozwiązaniu zagadnienia mniejszości ukraińskiej przez jej przymusowe wysiedlenie. Pomimo zaangażowania znacznych sił wojskowych, stosujących przymusowe, bezwzględne metody przesiedleń, podjęte środki okazały się niewystarczające. Sytuacji nie zmieniło zintensyfikowanie działań Wojska Polskiego dzięki powołaniu 5 kwietnia 1946 r. Grupy Operacyjnej „Rzeszów” (8. i 9. DP). Przesiedlono znaczną liczbę Ukraińców, natomiast likwidacja podziemia ukraińskiego okazała się nierealna, gdyż 2/3 sił przeznaczono do akcji przesiedleńczej, potraktowanej priorytetowo. Zahamowano wprawdzie ataki oddziałów UPA, lecz nie zniszczono zbrojnego podziemia. Nie zlikwidowano również siatki cywilnej OUN. Wiązało się to niewątpliwie z założeniami polskich władz komunistycznych, w myśl których za pierwszoplanową uznano likwidację polskiego podziemia zbrojnego i politycznego. Podziemie ukraińskie traktowano jako przeciwnika drugoplanowego.

Niemniej starano się rozpracować strukturę OUN/UPA przy pomocy sieci agenturalnej złożonej z informatorów, agentów i rezydentów. Najwięcej było informatorów (tzw. agentura sygnalizacyjna), których obowiązkiem było powiadamianie o pojawieniu się oddziałów UPA, osobach udzielających im pomocy, jak również o wszelkich zagrożeniach dla nowej władzy. Byli to przeważnie mieszkańcy (zarówno Polacy, jak i Ukraińcy) wiosek znajdujących się na terenie działania podziemia ukraińskiego.

Agenci, w przeciwieństwie do informatorów, byli werbowani pod kątem ich wykorzystania do rozpracowania konkretnych osób czy oddziałów. Przez długi czas praktycznie niemożliwe było wprowadzanie agentury Urzędu Bezpieczeństwa do oddziałów UPA ze względu na skutecznie działający aparat kontrwywiadu tej organizacji. Aparat ten bacznie obserwował wszystkich członków OUN-UPA, którzy mieli jakąkolwiek styczność z organami UB, MO czy WP. Wielu Ukraińców za kontakty z tymi organami zapłaciło śmiercią z rąk swoich pobratymców.

Najwyższą kategorię agentury stanowili rezydenci. Byli to doświadczeni, wypróbowani agenci (często współpracujący wcześniej z NKWD), którzy kierowali kilkuosobowymi gru-

<sup>1</sup> E. Misiło, *Akcja „Wisła” – Dokumenty*, Warszawa 1993, s. 11. Według Marka Jasiaka ludność ukraińska w Polsce liczyła 650 tys. osób (M. Jasiak, *Geneza i przebieg akcji „Wisła”*, [w:] *Polska – Ukraina: trudne pytania*, t. 8, Warszawa 2001, s. 112). Grzegorz Motyka liczbę Ukraińców, którzy znaleźli się w Polsce, oszacował na 630 tys. osób (G. Motyka, *Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943–1948*, Warszawa 1999, s. 220).

pami informatorów lub agentów. Stanowili najmniejszą grupę, w sieci agenturalnej niektórych PUBP w ogóle nie występowali.

W okresie zwalczania podziemia (zarówno polskiego, jak i ukraińskiego) funkcjonariusze UB stosowali trzy podstawowe metody pozyskiwania agentury: werbunek na tzw. materiały kompromitujące, na „ideowość”, za pieniądze. Najczęściej stosowaną metodą pozyskiwania agentów było werbowanie osób „skompromitowanych”. Tym sposobem pozyskiwano przeważnie osoby działające w podziemiu, które zostały zdekonspirowane, obciążone w śledztwie przez innych, zatrzymane „na gorącym uczynku”. Wobec takich osób stosowano szantaż. Dawano im do wyboru: podjęcie współpracy lub więzienie albo śmierć<sup>2</sup>. Zdarzały się wypadki, że osoby pozornie godzące się na podjęcie współpracy (np. w zamian za wypuszczenie z więzienia) w dogodnej chwili wymykały się organom UB. Przykładowo, w październiku 1945 r. dwunastu informatorów PUBP Lesko po zwolnieniu ich z aresztu uciekło do lasu, gdzie przyłączyli się do UPA<sup>3</sup>. Werbunek „na ideowość” praktykowany był zwykle wobec członków partii komunistycznej lub jej przybudówek. W przypadku zwalczania podziemia ukraińskiego często również werbowano Polaków, opierając się na ich niechęci do Ukraińców, poczuciu patriotyzmu, współodpowiedzialności za losy państwa polskiego. Metodę werbowania za pieniądze stosowano bardzo rzadko ze względu na brak środków finansowych oraz zalecenia kierownictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, by nie przyzwyczajając agentury do częstego otrzymywania pieniędzy. Twierdzono, że wpływa to demoralizująco na agentów oraz źle na efekty ich pracy<sup>4</sup>.

Wiosną 1947 r. zapadła decyzja o ostatecznym rozwiązaniu problemu ukraińskiego w Polsce. Pacyfikacja polskiego podziemia zbrojnego, marginalizacja roli PSL i „wygranie” przez komunistów wyborów stworzyły odpowiedni moment do podjęcia kwestii ukraińskiej. Pretekstem była śmierć 28 marca 1947 r. wiceministra obrony narodowej gen. broni Karola Świerczewskiego w zasadzce zorganizowanej przez sotnie „Chrina” i „Stacha”. Już 28 kwietnia 1947 r. wydzielone jednostki WP, KBW oraz MO i UB działające w strukturach Grupy Operacyjnej „Wisła” przystąpiły do przesiedlania Ukraińców na ziemie zachodnie i północne Polski w ramach akcji „Wisła”<sup>5</sup>. Użycie znacznych sił (ok. 20 tys. ludzi) pozwoliło na przesiedlenie pozostałej ludności ukraińskiej (ok. 150 tys. osób), jak również zlikwidowanie partyzantki ukraińskiej. Rozbite sotnie UPA musiały wycofać się z Polski. Operacja „Wisła” zakończyła się 31 lipca 1947 r.

Zadania związane z ostateczną likwidacją resztek podziemia ukraińskiego (cywilnej siatki OUN) przypadły aparatowi bezpieczeństwa. Informacje o podziemiu ukraińskim organy UB zdobywały głównie przez sieć agenturalną, wykorzystanie operacyjne dezenterów i zatrzymanych członków OUN-UPA, analizę materiałów uzyskanych w trakcie śledztw oraz analizę dokumentów pochodzących z odkrytych bunkrów czy skonfiskowanych ujętym członkom UPA. Dużo informacji UB uzyskiwał również na podstawie meldunków i doniesień ludności cywilnej.

Publikowany poniżej dokument jest doniesieniem informatora UB o pseudonimie „Kos”, którego zadaniem było ustalenie miejsca pobytu członka UPA Michała Koreckiego, ps.

<sup>2</sup> T. Balbus, *Między konspiracją a zradą. Agentura UB w strukturach okręgu rzeszowskiego WiN w latach 1945–1948*, [w:] „Studia Rzeszowskie”, t. 8, Rzeszów 2002, s. 51.

<sup>3</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie (dalej: AIPN Rz), IPN Rz, 04/190, Raport na odprawę PUBP Lesko za okres od 27 IX 1945 r. do 13 X 1945 r., k. 7–8.

<sup>4</sup> T. Balbus, *Między konspiracją a zradą...*, s. 53.

<sup>5</sup> E. Misito, *Akcja „Wisła”...*, s. 25–27.

„Luty”<sup>6</sup>. Doniesienie zostało sporządzone 19 kwietnia 1950 r. Do realizacji zadania „Kos” wykorzystał żonę, polecając jej napisanie listu do siostry mieszkającej w ZSRS. Ponadto w swoim doniesieniu „Kos” podaje informację o zauważonej przez niego broni, którą bawił się syn sąsiadki, prosi przy tym, by go nie dekonspirować i nie powoływać na świadka w tej sprawie.

Dokument ten stanowi swoiste kuriozum. Zgodnie z podstawowymi zasadami pracy operacyjnej każde doniesienie miało być podpisywane wyłącznie pseudonimem, który posiadał dany agent lub informator, i pod którym był zarejestrowany w ewidencji UB. Autor publikowanego doniesienia agenturalnego wbrew zasadom podał swoje imię i nazwisko; co więcej, zamieścił w nim swój życiorys, przedstawiając swoje ciężkie położenie życiowe i prosząc funkcjonariuszy UB o pomoc materialną. Ze względu na osobliwy styl pozostawiono pisownię oryginału, uzupełniając jedynie interpunkcję. Uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od autora opracowania.

Źródło „Kos”  
dnia 19.IV.50 r.  
Przyjął Kołcz<sup>7</sup>

### Doniesienie

Co do komendanta grupy bandy UPA, to ja się dowiedział, że żyje on wraz ze swoim bratem Stefanem w Sadowej Wiszni. To są bracia Michał komendant i jego brat Stefan Kurecki [powinno być: Korecki]. Kiedy tam żyje Kurecki jako komendant, to na pewno tam za granicą się znachodzi cała jego banda. Jam na zapytanie ob. porucznika obiecał się dowiadywać, gdzie on będzie, i mi się udało wyśledzić. Kiedy list dostała Zacharecka od swej cioci, to tam było coś o nim zaznaczone, ale ja nie znałem w tym końca. Kazałem swojej żonie o tem napisać do Rosji. Po długim czasie dostała moja żona list, że Michał i Stefan Kurecki są w ZSRR w mieście Sadowa Wisznia. Więc ja się cieszę, że mogę służyć dla pokoju naszego państwa. W roku 1949 ja szedł przez podwórze Marii Zacharecki[ej], jej sługa stary Jan Kopko, który siedział we więzieniu i został zwolniony na podstawie amnestii, stał na podwórzu. Syn Marii Zacharecki[ej] stał w sieniach i krzyknął do mnie żartem „stój, ręce do góry”. Ja się patrzę, a on stoi w sieniach [i] trzyma do mnie flobert<sup>8</sup> nastawiony, stary Kopko Jan mówi do niego „daj tu, daj, ja go schowam”. To, co ja wa[s] proszę, proszę mnie trzymać w tajemnicy i nie podać mnie za świadka, bo wtedy ja by był wykryty i musiałbym przestać pracować, a ja chce z wami pracować dalej.

<sup>6</sup> Michał Korecki „Luty”, ur. w 1923 r. w Rokszycach, pow. Przemyśl. Syn Piotra i Tekli z d. Zacharko. Rejonowy referent gospodarczy w rejonie „A-1”. W 1947 r. przeszedł na teren ZSRR (AIPN, IPN-0330/229, Protokół przesłuchania podejrzanego, 27 V 1947 r., k. 14; AIPN Rz, IPN Rz, 072/1, t. 31, Pismo komendanta Posterunku MO w Krasiczynie do PUBP w Przemyślu, 22 VI 1950 r., k. 93).

<sup>7</sup> Bolesław Kołcz, ppor., ur. 19 X 1928 r. w m. Daszowa, woj. lwowskie. Od września 1945 r. w aparacie BP na terenie woj. rzeszowskiego. Jako referent Referatu III PUBP Przemyśl prowadził informatora ps. „Kos”. Zwolniony ze służby w SB w lipcu 1972 r. (AIPN Rz, Akta osobowe, IPN Rz, 00157/839).

<sup>8</sup> Rodzaj broni myśliwskiej.

**Życiorys**

Ja Filip Sikora s. Aleksandra zam. w Brylińcach żyje w wielkiej nędzy z powodu tego, że dwa lata leżę ja chory i nie mogę pracować. Żona sama na nas pięcioro osób: to jest dwoje dzieci i ja, i matka licząc[ą] 80 lat i sama na siebie narobić nie może. Ja leżę w łóżku i nie mogę chodzić na nogach, jeszcze żebym miał odżywienie, to bym był silniejszy, a jego nie mam, bo skąd wezmę. Małym chłopcem ja pas[ł] było u ojca. Ojciec mnie umarł, [gdy] ja miał 17 lat, majątku nie miałem tam za swoich młodych lat się nabiedował. Jak się wojna rozpoczęła, to [m]nie wywieźli na roboty do Niemiec, przyjechałem stamtąd w 46 r., ożeniłem się, dostałem nadzielone, z reformy rolnej 4 h. pola i żyło mi się dobrze, ale później jam zachorował na tak zwany /Issijasz/ i teraz choroba męczy. Byłem w szpitalu, źle mnie przyjęli, bo nie miałem pieniędzy zapłacić, a powiedział mi lekarz w szpitalu, że oni mi nie pomogą, bo na moją chorobę trza jechać do uzdrowiska, na to potrzebne zaświadczenie lekarskie z ośrodka zdrowia. Samopomoc ch[łopską] wysłała na swój koszt, a ja się czuje słaby i nie mogę za tym chodzić. Więc proszę Was, pomóżcie w moim leczeniu, żebym się dostał do Uzdrowiska, bo ja każdy dzień czuje się słabszy i to mi przeszkadza w mojej pracy w obronie naszej demokratycznej przed bandami i ludźmi, którzy są wrogo nastawione do demokr[acji]. Ja chce pracować i będę pracować i pracowałem. Jam wykrył bandytów z UPA i ich dowódców, ale jak ja potrzebuje pomocy, to mi proszę nie odmówić, bo ja się Wam sprzedam. I chce stać na straży naszej demokracji, ale nie mogę, bo choroba mi nie daje. Buty gumowe, które mi dał iks., chodzi żona i ja po mieszkaniu.

Koszuli już nie mam, a spodnie się ledwie kupy trzymają, a dzisiejszy rzą[d] chłopsko robotniczy na to nie chce zezwolić, ażeby chłop tak biedował. Więc proszę jeszcze raz o pomoc i ratunek mi z ciężkiego położenia.

Zadanie.

Należy w dalszym ciągu prowadzić korespondencję z terenem ZSRR w sprawie ustalenia dokładnego miejsca ukrywania się grupy „Lutego”.

Należy ustalić poprzez listy miejsce ukrywania się Jankowskiego Michała.

„Kos”

Przedsięwzięcie.

Materiał do sprawy Załoga grupy „Lutego”

Źródło: AIPN Rz, IPN Rz, 072/1, t. 31, k. 89, kopia; mps.

# LITERACI DLA PPR

Prezentowany dokument z grudnia 1945 r. zawiera charakterystykę kilkunastu członków Oddziału Krakowskiego Związku Literatów Polskich w kontekście możliwości poparcia przez nich Polskiej Partii Robotniczej w kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Opinia stanowi interesujący przyczynek do określenia postaw literatów wobec kształtującego się od drugiej połowy 1944 r. w Polsce komunistycznego systemu władzy.

Większość pisarzy uznawano w dokumencie za pozytywnie ustosunkowanych do „demokracji”, tj. komunistów i zmian w powojennej Polsce, podkreślając, że mogą oni wspierać PPR i jej sojuszników w zbliżającej się kampanii wyborczej. Większość również w tę kampanię się zaangażowała, a Julian Przyboś kandydował w wyborach z listy Bloku Demokratycznego, który demokratycznym był jedynie w sowieckim rozumieniu tego słowa. W dokumencie zwraca uwagę fragment dotyczący współpracy Jarosława Iwaszkiewicza z krakowskim pismem „Przekrój”, który koresponduje z uwagami Wiesława Pawła Szymańskiego wyrażonymi w szkicu *Uśmiech Sartre’a*<sup>1</sup>.

Dokument znajduje się w aktach BUiAD IPN w Warszawie, pod sygnaturą IPN 00231/79, Stowarzyszenia, t. 16, k. 4–5.

Wyłuszczenia pochodzą od autorki prezentowanego materiału. Do tekstu wprowadzono polskie znaki i poprawiono kilka drobnych literówek, powstałych w czasie pisania na maszynie. Drobne uzupełnienia (zwykle imiona wymienionych w dokumencie osób) znajdują się w nawiasach kwadratowych. Zrezygnowano z podawania przypisów wyjaśniających, dotyczących postaci powszechnie znanych, których noty biograficzne znajdują się w każdej encyklopedii.

## Związek Literatów w Krakowie

**Iwaszkiewicz Jarosław**, 50 lat, prezes Związku Literatów. Literat o dużych wartościach. Ma duży mir wśród pisarzy. Redaguje „Życie Literackie”. Pochodzenie ziemiańskie z Ukrainy. Był sąsiadem i przyjacielem Karola Szymanowskiego. Pederasta. Od dziecka przebywał w Warszawie. Ustosunkowany pozytywnie do demokracji. Liberał zbliżony do grupy [Antoniego] Słonimskiego i [Juliana] Tuwima. Nastawiony antylondyńsko, szczególnie po rozmowach ze Słonimskim. Przed wojną liberał. W czasie okupacji był w Warszawie, miał kontakty z konspiracją literacką i lawirował pomiędzy WRN a RPPS<sup>2</sup>. Antyklerykał. Przyjaciel żydów, jest wykorzystywany przez nas w „Przekroju”, gdzie bardzo chętnie zamieszcza swoje artykuły. **W razie kampanii wyborczej może można by uzyskać dla nas artykuł.**

<sup>1</sup> W.P. Szymański, *Uśmiech Sartre’a*, [w:] idem *Uroki dworu (rzecz o zniewalaniu)*, Kraków 1994, s. 90–125.

<sup>2</sup> WRN – Wolność-Równość-Niepodległość. Okupacyjny kryptonim Polskiej Partii Socjalistycznej (do 1944 r.), RPPS – Robotnicza Partia Polskich Socjalistów, konspiracyjne ugrupowanie lewicowe powstałe wiosną 1943 r.

**Andrzejewski Jerzy**, 37 lat. Znakomity pisarz. Bardzo popularny wśród pisarzy i społeczeństwa. Pochodzi ze środowiska mieszczańskiego. Ojciec miał sklep w Warszawie. Zdeklasowany po śmierci ojca. Dawny pisarz katolicki, współpracownik „Prosto z Mostu”. Rozpoczął przed wojną ewolucję na lewo. Punktem zwrotnym była sprawa wysiedlenia żydów z Niemiec, brał udział w akcji protestacyjnej i wtedy zbliżył się do grupy pisarzy z „Wiadomości Literackich”. W czasie wojny poszedł na lewo, pracował w konspiracji literackiej – redagował nielegalne wydawnictwa poetyckie. Ustosunkowany pozytywnie do nas. Obecnie deklaruje się jako katolik i marksista. Artykuł w „Odrodzeniu” pod tytułem *Perspektywy terażniejszości* jest jego deklaracją ideową. Obecnie pisze powieść z czasów wojny w sensie pozytywnym dla nas<sup>3</sup>. **Można na niego liczyć przy wyborach.**

**Wyka Kazimierz**, 40 lat, były prezes Związku Literatów w Krakowie. Wybitny krytyk literacki. Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor pisma „Twórczość”. Realny, trzeźwy, chytry. Przed wojną znany z postępowych poglądów, określany mianem komunisty. W konspiracji redagował nielegalne pismo literackie, wydał antologię poezji podziemnych. W czasie wojny handlował drzewem. Zbliżony do PPR. Zdecydowanie pozytywny do demokracji od pierwszych dni wyzwolenia. Członek Rady Miejskiej, głosuje razem z nami. **Można go wykorzystać przy wyborach.**

**Jan Wiktor**<sup>4</sup>, po 50-ce. Pisarz słaby. Cieszy się dużą popularnością, były współpracownik koncernu I[lustrowany] K[urier] C[odzienny]. Przyjaciel Balickiego<sup>5</sup>, redaktora „Dziennika Polskiego” – jest częściowo konfiskowany. O żydach pisze, że spotkała ich niestety kara za to, że byli wyzyskiwaczami. Streszcza rozmowy z [Marią] Rodziewiczówną w sprawie ziem wschodnich. Krytykuje aresztowania i traktowanie więźniów. Sympatyk PSL. Nastawiony antyklerykalnie podobnie jak pewna część PSL. **Zdecydowanie opozycyjnie nastawiony do rządu.**

**Przyboś Julian**, 45 lat, członek PPR. Poeta niezrozumiały. Wszyscy literaci twierdzą, że jest największym polskim poetą. Dobry prozaik. Był współredaktorem „Polskich Widnokręgów”, 1939 r.–1941 r.<sup>6</sup> Uczeń [Tadeusza] Peipera, należał do Zwrotnicy. Deklarował się jako radykalny lewicowiec. Jest współredaktorem „**Odrodzenia**”. **Należy go bezwzględnie wykorzystać przy wyborach.**

**Kisielewski Stefan**, 34 lat[a]. Syn działacza PPS Zygmunta Kisielewskiego, który później przeszedł do sanacji. Bratanek Jana Augusta Kisielewskiego – bardzo ambitny i wrażliwy. Wybitnie utalentowany. Muzyk – kompozytor, profesor konserwatorium, powieściopisarz; dziennikarz. Nastawiony mniej negatywnie do rządu, niż to wynika z jego artykułów. Dużą winę za jego negatywne nastawienie ponosi redaktor [Karol] Kuryluk<sup>7</sup>, który nie chciał drukować jego artykułów. Jest w bardzo ciężkim położeniu materialnym, zniszczony przez powstanie warszawskie. Nastawiony negatywnie do powstania. Zwolennik wolnej konkurencji. Uznaje konieczność sojuszu z SSSR. Nie może zdecydować się między PSL

<sup>3</sup> Mowa o książce *Popiół i diament*.

<sup>4</sup> Jan Wiktor (1890–1967), prozaik, publicysta, politycznie związany z ruchem ludowym. Był posłem do Krajowej Rady Narodowej, później Sejmu Ustawodawczego i sejmów PRL.

<sup>5</sup> Stanisław Balicki (1909–1978), pisarz, krytyk literacki, dyrektor teatrów. Po wojnie redaktor „Dziennika Polskiego” w Krakowie.

<sup>6</sup> Nieścisłość autorki. Pismo nosiło nazwę „Nowe Widnokregi”.

<sup>7</sup> Karol Kuryluk był redaktorem pisma „Odrodzenie”.

α Stronnictwem Pracy. Jest korektorem i współpracownikiem „Przekroju”. **Wyda-  
je się, że można go zneutralizować przy wyborach.**

**Dygat Stanisław**, 29 lat. Młody powieściopisarz. Zaczął pisać w okresie oku-  
pacji. Działacz konspiracji literackiej. Mentalność wychowana na „Wiadomo-  
ściach Literackich”. Bardzo pozytywnie nastawiony do rządu. Żona bardzo zdol-  
na – aktorka, również demokratka. **Należy ich wykorzystać przy wyborach.**

**Brandys Kazimierz**. Bardzo zdolny, młody powieściopisarz. Politycznie pewny.  
Pisze stale polityczne artykuły w „Odrodzeniu” i „Przekroju”. Napisał bardzo dobry  
artykuł o powstaniu warszawskim *W łunach patosu*. **Należy go bezwzględnie  
wykorzystać przy wyborach.**

**Miłosz Czesław**, 36 lat. Bardzo zdolny poeta. Rodem z Wilna. Były członek  
grupy Żagaszów [powinno być: Żagarów – M.G.]. Przyjaciół [Jerzego] Putramenta,  
[Stefana] Jędrzychowskiego, [Henryka] Dembińskiego. Działacz konspiracyj-  
ny w dziedzinie literackiej. Opracował w konspiracji antologię poetycką *Pieśń  
niepodległa* nacechowaną postępowym światopoglądem. Współpracownik  
„Odrodzenia” i „Przekroju”. Od pierwszych dni oswobodzenia zwolennik PKWN.  
**Należy go wykorzystać przy wyborach.**

**Otwinowski Stefan**. Wyszedł z kręgu „Wiadomości Literackich”. W czasie oku-  
pacji brał udział w konspiracji literackiej i w Komitecie Pomocy Żydom. Napisał  
doskonałą sztukę *Wielkanoc* – z życia „ghetta” w czasie okupacji. Zdecydowa-  
nie demokratycznych poglądów. **Może być wykorzystany w wyborach.**

**Fijas Zygmunt**<sup>8</sup>, 34 lat[a]. Znakomity satyryk i nowelista. Gospodarz Związku  
Literatów. Bardzo popularny. Przed wojną należał do krakowskiej grupy lewicy  
literackiej zgrupowanej dookoła [Leona] Kruczkowskiego i [Józefa] Cuchnow-  
skiego [powinno być: Czuchnowskiego – M.G.]. Zdecydowany marksista – zbliżo-  
ny do PPR. **Należy go wykorzystać przy wyborach.**

**Polewka Adam**, 45 lat, PPR. Dotychczasowy kierownik propagandy i informa-  
cji. Bardzo lubiany przez kolegów. Przedwojenny członek lewicy literackiej. **Nale-  
ży go wykorzystać w wyborach.**

**Zagórski Jerzy**, 40 lat. Pisarz katolicki. Rodem z Wilna, zaprzyjaźniony z grupą  
lewicy wileńskiej. W konspiracji brał udział w Komitecie Pomocy Żydom. Usiłuje  
pogodzić katolicyzm z pozytywnym nastawieniem do demokracji. Korespondent  
„Dziennika Polskiego”, urzędnik Wojewódzkiego Urzędu Wydziału Kultury i Sztu-  
ki. Neutralny.

/-/ Miłoszewska Zofia

Warszawa dnia 3.12.1945 r.

Hołuj Tadeusz, członek PPR, zdolny pisarz. Prowadzi propagandę miejską. Dłu-  
goletni więzień Oświęcimia, członek komitetu Oświęcim Walczący. Zaprzyjaźniony  
z [Józefem] Cyrankiewiczem i Motyką<sup>9</sup>. Należy go wykorzystać przy wyborach.

<sup>8</sup> Zygmunt Fijas (1910–1985), literat, autor opowiadań satyrycznych, felietonów, humore-  
sek. Przed wojną mieszkał w Krakowie, gdzie współpracował z „Krakowskim Kurierem Wie-  
czornym” i miesięcznikiem literackim „Nasz wyraz”. Od 1946 r. mieszkał w Łodzi.

<sup>9</sup> Lucjan Motyka, działacz PPS.



# FOTOREPORTER KOMUNIZMU

**Urodziłem się w 1950 r. w polskiej rodzinie w Londynie. Pierwszy raz przyjechałem do Polski, gdy miałem 13 lat. Potem już tu wracałem. W 1976 r. wziąłem ślub z Karoliną Cieliszak, studentką germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przez wiele lat mieszkałem w Polsce jako zachodni korespondent. Obywatelstwo polskie otrzymałem w 1998 r.**

## Rodzice

Moja mama Helena Łyżwańska wyjechała z Polski na początku września 1939 r. Pracowała wtedy w Polskiej Agencji Telegraficznej, czyli odpowiedniku dzisiejszej Polskiej Agencji Prasowej. Rząd RP, podejmując decyzję o emigracji, potrzebował do obsługi pracownic. Niewiele z nich chciało wyjeżdżać, a moja mama była wtedy wolna i myślała, że wojna skończy się za parę tygodni. Wyjechała więc razem z rządem i przekraczała granicę RP 17 września. Przez Rumunię i Paryż dotarła do Londynu. Natomiast mój ojciec, Jan Niedenthal, urodził się we Lwowie. Był wiceprokuratorem Wilna. Wyjechał z Polski we wrześniu 1939 r. przez Litwę, Szwecję, Francję, gdzie dołączył do I Dywizji Grenadierów gen. Bronisława Ducha, która broniła linii Maginota. Nie był zawodowym wojskowym, został wzięty do niewoli niemieckiej, z której uciekł. Przedostał się do Hiszpanii, gdzie znów go uwięziono. Po kolejnej ucieczce z więzienia udał się do Anglii. W Londynie włączył się w prace rządu RP. Po wojnie nie mógł być w Anglii sędzią ani prokuratorem, więc pracował w brytyjskim ministerstwie oświaty, w specjalnym wydziale dla Polaków – dla tych, którzy po wojnie zdecydowali się pozostać w Anglii i szukali możliwości nauki czy studiowania. Pomagał im dostać się na studia, zdobyć stypendium.

## Elementarz pachniał Polską

W domu zawsze była polska atmosfera. Byłem z siostrą karcony za to, że rozmawialiśmy ze sobą po angielsku. Z rodzicami zawsze rozmawiałem po polsku. Do piątego roku życia, kiedy poszedłem do szkoły, bardzo kiepsko mówiłem po angielsku. Rodzice ojca umarli przed wojną, nie miał więc żadnej rodziny w Polsce. Jego dwaj bracia w latach 20. i 30. wyemigrowali za chlebem do Rio de Janeiro. Trzeci brat Adam zginął od alianckich bomb w niemieckim obozie jenieckim. Czwarty brat Władysław Niedenthal walczył w Powstaniu Warszawskim. Prawdopodobnie był jednym z szefów tzw. „Antyku”, czyli komórki antykomunistycznej w Armii Krajowej. Władysław Bartoszewski pamięta go jako jednego ze swoich zwierzchników. To ciekawa postać. Do końca nie wiemy, czy on naprawdę zginął. Mówiono nam, że poległ ostatniego dnia Powstania na ulicy Promyka na Żoliborzu, ale nie znaleziono ciała. Jego symboliczna mogiła znajduje się na Powązkach. Ciekawe jest to, że w latach 80. spotkałem kobietę, która go znała z Powstania i twierdziła, że po wojnie widziała go w Warszawie na przystanku autobusowym. Do Londynu dotarła przez Iran jego żona z dziećmi. Moi rodzice jednak niechętnie wspominali czas wojny i swojej działalności.

Chodziłem do polskiej szkółki w soboty. Uczyliśmy się tam geografii, tańca, śpiewu. Wychowywałem się na polskim elementarzu Falskiego, uczyłem się, że Ala ma kota. I pamiętam do dziś zapach tej książki. Ona pachniała sosną, lasem. Gdy zdałem jakimś cu-

dem egzamin do dobrej angielskiej szkoły, tata kupił mi w nagrodę aparat fotograficzny. Później ukończyłem Wydział Fotografii w London College of Printing.

### **Spodobał mi się ten kraj**

W Polonii londyńskiej były dwa obozy: jeden bardzo konserwatywny, drugi mniej, i my do niego należeliśmy. Mocno zacietrzewieni antykomuniści nie chcieli jechać do komunistycznej Polski i kategorycznie zakazywali tego swoim dzieciom. Myślę, że ojciec trochę bał się jechać, bo przed wojną wsadzał w Wilnie komunistów do więzienia. Pierwszy raz przyjechaliśmy do Polski całą rodziną w 1963 r. do krewnych mojej mamy. Nic się nie stało, nie było szykan. To było dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Bardzo mi się tutaj spodobało. Dwa lata później wybrałem się sam na wakacje do Polski. Później jeździłem każdego roku. Po studiach przyjechałem do Polski w 1973 r. i już zostałem.

### **Nielegalne kościoły**

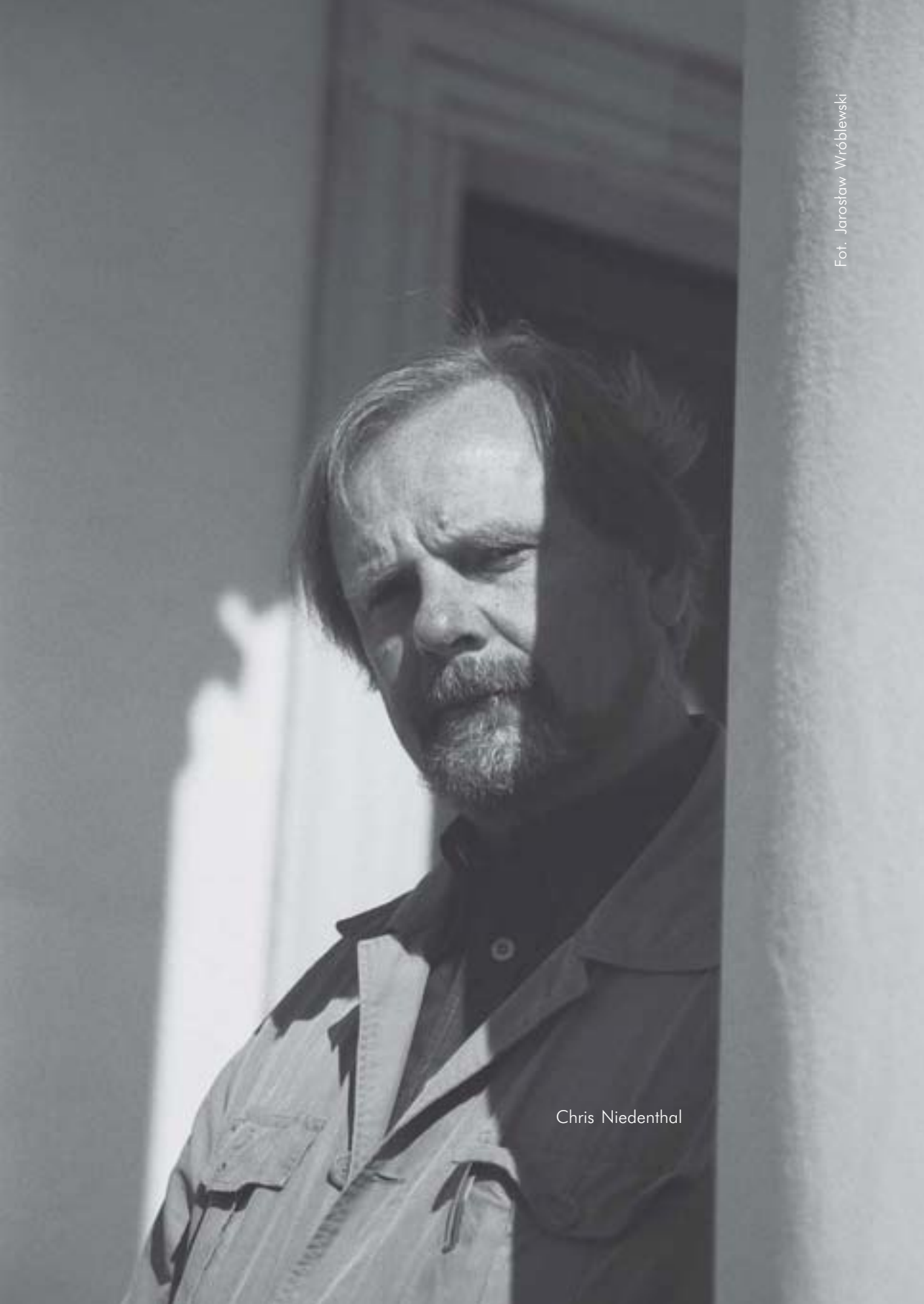
Pierwsze zdjęcia, które robiłem dla „Newsweeka”, to były nielegalne kościoły zbudowane w województwie białostockim. Zaangażował mnie do tego korespondent z Bonn, Paul Martin, który przyjechał do Polski, żeby napisać o tym materiał. To było niebezpieczne, bo często kościoły budowano w strefie nadgranicznej z ZSRS. Tam nie wolno było robić zdjęć, zwłaszcza obcokrajowcowi. Było to bardzo ciekawe, np. kaplica, która była normalnym prywatnym jednorodzinny domkiem, z dobudowaną nawą. Widziałem domy, w których zamiast salonu była kaplica. Wokół stołu – ołtarza ze świecami – modlili się ludzie. Budowano też świątynie po cichu, w dużej stodole, którą potem rozbierano. Byliśmy w kilku takich miejscach. To był mój chrzest bojowy. Zdjęcia robiłem bez błysku, aby uchwycić atmosferę, ducha. Od tego czasu fotografowałem dla „Newsweeka”. Wizytę Papieża w Polsce w czerwcu 1979 r. obsługiwałem również z Paulem. Ciekawe, że później wydano go z Polski jako szpiega CIA. Czy nim był? Nie wiem.

Mimo że z USA przyjechał też znany amerykański fotograf z „Newsweeka”, moje zdjęcie trafiło na okładkę. W Warszawie fotografowałem z hotelu Victoria szeroki plan placu Zwycięstwa. Pielgrzymka była bardzo piękna, niesamowita. Chyba w taki sposób zostałem z czasem fotografem współczesnej historii Polski.

### **Nadpalony Radom**

Pierwsza czkawka historii, w której brałem udział, to były wydarzenia w Radomiu w 1976 r. Nie pracowałem wtedy dla żadnego z pism i nie mieszałem się do politycznych spraw. Razem z Krzysztofem Bobińskim, który pracował wtedy dla „Financial Times”, i moją żoną zdecydowaliśmy się pojechać do Ursusa. Schowałem aparaty fotograficzne do siatki z zakupami. Podjechaliśmy autobusem blisko fabryki, ale gdy wmiszczaliśmy się w tłum robotników, momentalnie zostaliśmy wyłowieni przez milicjantów i odesłani do Warszawy. Żonie grozili, że może nie skończyć studiów. Nie zrobiłem wtedy żadnego zdjęcia. Była jednak Inger Wahloo, szwedzka korespondentka „Expressen”, która później za swoje teksty o PRL została oficjalnie usunięta z Polski. Pojechałem z nią robić materiał do Radomia, który wtedy w 1976 r., po buncie robotników, został „uhonorowany” centralnymi uroczystościami z okazji Dnia Milicjanta. Pamiętam, że była wielka parada przed wypalonym gmachem komitetu partii, który przystrojono wielkimi flagami.

Akredytowałem się w Polsce jako fotograf pracujący dla nieznannej francuskiej agencji Team International, choć *de facto* byłem wolnym strzelcem. W tamtych latach nie starałem



Fot. Jarosław Wróblewski

Chris Niedenthal



Warszawa 1979



Fot. Chris Niedenthal, Forum

się prowokować. Chociaż nie byłem neutralny światopoglądowo, nie wchodziłem jeszcze w sprawy podziemnej opozycji. Obawiałem się, że mogę być obserwowany przez Służbę Bezpieczeństwa i nie chciałem narażać innych.

### **Tłumacz Wałęsy**

Pierwszego dnia strajku w stoczni w 1980 r. zadzwonił do mnie angielski korespondent Michael Dobbs, że powinniśmy pojechać do Gdańska. Następnego dnia już tam byliśmy, ale nie chcieli nas wpuścić za bramę. Miałem wielkiego pietra. Robotnicy bali się jednak tak samo jak my. Bałem się wejść jako obcokrajowiec, bo mogłem być zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo, za to, że fotografuję zakład o znaczeniu strategicznym. Oni jeszcze wtedy nikogo nie wpuszczali i nie wiedzieli, co z nami zrobić. Gdy nas już wpuścili, poszliśmy do sali BHP. Tam wtedy odbywały się rozmowy. Po jednej stronie stołu siedział Gniech, ówczesny dyrektor stoczni, a naprzeciwko niego człowiek z węsami, o którym nigdy nie słyszałem. Czułem, że dzieje się tu coś ważnego, miałem jednak zakaz robienia zdjęć. Uczestniczyłem w tych rozmowach, siedząc obok Lecha Wałęsy, i tłumaczyłem jego słowa mojemu angielskiemu koledze. Ukradkiem zrobiłem jakieś zdjęcia Gniecha od tyłu bez błysku. Zrobiłem też kilka zdjęć robotnikom. Gdy była przerwa w rozmowach, wyszedłem ze stoczni na ulicę, sfotografowałem bramę i poszedłem na dworzec kolejki podmiejskiej. Atmosfera tych rozmów była taka, że myślałem, że one się zakończą już tego dnia. Przed bramą był mały tłum, na bramie nie było jeszcze zdjęć Papieża. Stałem na peronie kolejki i chciałem sfotografować wychodzących ze stoczni ludzi. Nagle otworzyła się brama i wyszła jakaś grupa. Zacząłem im robić zdjęcia. Oni zauważyli mnie. Któryś krzyknął: Bierzcie go! Nie uciekałem, więc mnie zabrali do budki strażników, którzy gdzieś wydzwaniali i pytali, co ze mną zrobić. Mimo strajku ci strażnicy nie byli razem z robotnikami. Trwało to kilka godzin. Nie tłumaczyłem się. W końcu mnie wypuścili. Spotkałem Dobbsa i wróciliśmy do Warszawy. Zdjęcia trafiły na okładkę „Newsweeka”, choć wydrukowali go tydzień później, gdy brama stoczni wyglądała bardziej barwnie. Wróciłem na ostatnie kilka dni strajku, ale panowała już całkowicie inna atmosfera. Byli tam dziennikarze i telewizje z całego świata. Wszedłem bez problemów. Nastrój był jak przy rozdawaniu Oscarów. Po tym wydarzeniu już wsiąknęłam w bieg polskiej historii. Miałem nakaz z „Newsweeka” robienia wszystkiego, co dzieje się w kraju. Za Wałęsą jeździła wszędzie cała kawalkada zachodnich dziennikarzy. Samochód Wałęsy jeździł szybko, starałem się być na jego ogonie. Strajki, spotkania, zjazd „Solidarności”...

### **Propozycje współpracy**

Kilkakrotnie chciano mnie namówić do współpracy z bezpieką. Chcieli, abym im dostarczał zdjęcia z różnych manifestacji. Ubekom zależało najbardziej na twarzach uczestników demonstracji, których można było później wyłapać. Oczywiście nie przystałem na te propozycje. Pierwsze takie zdarzenie miało miejsce jeszcze przed stanem wojennym, gdy Lech Wałęsa przyjechał na rozmowy z Mieczysławem Rakowskim w Urzędzie Rady Ministrów. My kłębiliśmy się w małym pokoiku, bo nie wpuszczano nas na salę obrad. Czekaaliśmy często do godziny 2–3 nad ranem. Z Wałęsą był jakiś solidarnościowy fotograf i jemu szmuglowaliśmy swoje aparaty, żeby pstryknął zdjęcia. Dałem więc mój aparat, ale został skonfiskowany. Wezwano mnie wtedy na rozmowę, że niby nic, że mają mój aparat i chcieliby „coś za coś”. Powiedziałem, żeby go sobie zatrzymali, i podziękowałem za ich propozycje. Ten aparat nie miał dla mnie większego znaczenia, bo choć był dobry, to jego wartość była równa jednej lub dwóm dniówkom mojej pracy.





Fot. Chris Niedenthal, Forum

Gdańsk 1980

Była też dziwna prowokacja na cmentarzu Powązkowskim w latach 80. Chyba był to pogrzeb dziennikarza, który popełnił samobójstwo. Nie mogłem być na tych uroczystościach, ale przyszedł jakiś fotograf, który podawał się za mnie. Przedstawił się jako Niententhal i mówił, że robi zdjęcia dla „Newsweeka”. Opowiedzieli mi to koledzy, którzy próbowali go stamtąd przegonić.

Wszyscy byliśmy wtedy w jakimś stopniu inwigilowani. Dziwna historia przydarzyła mi się w 1986 r., gdy ktoś włamał się do mojego samochodu. Później w środku leżało 13 róż. Nic nie zginęło. Co to miało symbolizować? Może to, że ja byłem akurat od 13 lat w Polsce, ale to chyba niemożliwe. Do tej pory nie wiem, o co chodziło.

Robiłem zdjęcia na slajdach i nigdy ich nie widziałem przed publikacją, bo wywoływano je dopiero w redakcji. Niewywołane slajdy to był warunek zachodniego wydawcy i gwarancją, że nikt z tych zdjęć nie zrobił wcześniej żadnych odbitek.

### **Głęboka kieszeń**

Raz w Nowej Hucie zaparkowałem chyba kilometr od głównych zamieszek i kiedy wróciłem z demonstracji, to przy samochodzie już czekali milicjanci, żeby mi zabrać filmy. Dobrze wiedzieli, kim jestem i gdzie zaparkowałem. Byli grzeczni, ale zaskoczyli mnie i chyba oddałem im wtedy film. Najczęściej robiłem jednak tak, że po zrobieniu zdjęć chowałem filmy do głębokich kieszeni, a gdy chciano mi je zabrać, to oddawałem inne, specjalnie na taką okazję przygotowane czyste klisze. Ten manewr często się udawał. Byłem na niego przygotowany. 31 sierpnia 1982 r. w rocznicę strajku przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej zobaczyłem, że jacyś ludzie dają sobie dziwne znaki, jak rzucanie rękawicy na ziemię. Byłem w tłumie i wyczułem te ruchy wokół mnie, ale mnie nie aresztowano. Zwykle jak mnie zatrzymywano, żądałem od nich legitymacji, co ich bardzo denerwowało.

Jechałem kiedyś do Huty Warszawa w 1982 czy 1983 r. i gdy zacząłem wjeżdżać w uliczki (a miałem rejestrację: litery IWA na zielonym tle – dla obcokrajowców), otoczono samochód i grożąc pistoletem, wyciągnięto mnie z niego. Potem razem z innymi dziennikarzami przesiedzieliśmy całą demonstrację w komisariacie.

Groźny moment to był wyjazd pod Kopalnię Wujek jakieś pół roku po jej pacyfikacji. Razem z kilkoma innymi fotografami zwinęto nas momentalnie i zawieziono do siedziby milicji. Rozdzielili nas i przepytывali. Chcieli nas zastraszyć. Ratowało nas to, że mieliśmy inny status jako obcokrajowcy, pewnie byłby wielki raban w mediach, jeśli cokolwiek by nam się stało. Nie znam zagranicznych dziennikarzy, których by pobito, ale z polskimi postępowano bardziej brutalnie.

### **Stan wojenny w pigułce**

Najtrudniej było w stanie wojennym. Nie można było swobodnie wystać zdjęć. Miały one być dostarczone do Nowego Jorku najpóźniej w piątek wieczorem. Stan wojenny rozpoczął się z soboty na niedzielę. Pierwsze fotografie ukazujące groźbę stanu wojennego „Newsweek” otrzymał od Francuzów, którzy zdążyli zrobić zdjęcia i wyjechali z Polski. Wtedy nawet wstrzymano druk, żeby jeszcze dołączyć je do pisma. Mimo różnych problemów łatwiej mi było robić zdjęcia niż je dostarczyć do USA. W połowie pierwszego tygodnia stanu wojennego zastanawiałem się, jak przemycić filmy. Nie mogłem wyjechać, bo bałem się, że mnie nie wpuszczą z powrotem. Zdecydowałem się, że pójdę na Dworzec Gdański. Był taki pociąg, który odchodził około godziny 22.00, a obowiązywała wtedy godzina policyjna. Kilkanaście filmów zgodził się zabrać jakiś Polak, który wyjeżdżał z żoną





Fot. Chris Niedenthal, Forum

Warszawa 1981



Warszawa 1982

Fot. Chris Niedenthal, Forum



do Niemiec, ale gdy dowiedziata się o tym żona, to myślałem, że go zlincuje. Musiał mi wszystko oddać. Gdy do odjazdu były 2 minuty, paczuszkę wziął ode mnie student z Niemiec i obiecał powiadomić redakcję „Newsweeka” w Bonn. Polacy byli przestraszeni, bo TVP wyemitowała reportaż z granicy, gdzie pokazano konfiskatę filmów przez celników. Młody Niemiec chyba tego programu nie oglądał. Trochę się bałem, że te zdjęcia sprzeda jako swoje. Okazał się uczciwy i po kilku tygodniach zobaczyłem je już wydrukowane. Wrażenie robiło zwłaszcza to z wozem bojowym i żołnierzami na tle kina Moskwa, z planszą „Czas Apokalipsy”, która była reklamą filmu Coppoli. Choć to zdjęcie technicznie nie jest dobre, to oddało stan wojenny w pigułce.

Dopiero kiedy przedłużono mi polską wizę, pojechałem w styczniu do Anglii. Byłem wtedy kurierem zagranicznych dziennikarzy. Przewiozłem dużą liczbę szpul fotograficznych, nagranych na kasety filmów, napisane teksty, które później z Anglii dostarczałem do redakcji. Między zachodnimi dziennikarzami było swego rodzaju braterstwo. Polecałem też do Nowego Jorku i dostałem stały kontrakt z „Newsweekiem”. Docenili moją pracę.

### **Opiekun z Interpressu, zdjęcia z Białotęki**

Korespondenci zagraniczni mieli początkowo akredytację i wizę do 31 grudnia 1981 r. Od 13 grudnia zostały nam więc tylko dwa tygodnie do wygaśnięcia wizy. Nasze normalne kanały przekazu za granicę były zablokowane. Wszystkimi korespondentami zagranicznymi opiekował się Interpress, który mieścił się na tyłach Teatru Wielkiego. Wszelkiego rodzaju podróże po Polsce trzeba było w stanie wojennym ustalać z nimi. Zawsze trzeba było pisać podanie i czekać na zgodę. Często przydzielali opiekuna. Manifestacje uliczne fotografowałem oczywiście bez opiekuna.

Ale Interpress na początku stanu wojennego też był zamknięty. Po kilku dniach rozpoczął działalność. Wysyłało się filmy na Zachód za ich akceptacją. To oczywiście było pole dla naszych machlojek, które polegały m.in. na podmienianiu filmów. Tak udało mi się przeszmyglować zdjęcia zrobione internowanym w Białotęcie, które opisałem jako kadry z ulicy. Do Białotęki aparat dostarczyłem przez zaprzyjaźnionego operatora Piotra Kwiatkowskiego, którego brat Maciej był tam przetrzymywany. Piotr przekazał mu aparat podczas widzenia. Zdjęcia zostały wykonane w poczekalni i w więzieniu.

W Interpresie nie sprawdzali tych filmów. Liczyła się liczba sztuk szpułek filmowych i opis. Nie zmuszano nas do wywoływania zdjęć. Wobec nas cenzura była jednak dość łagodna.

### **Na demonstracjach**

Trudno było fotografować demonstrację. Fotoreporter narażał się obu stronom. Ubecy byli w tłumie, i manifestanci traktowali czasem nas jak ubeków. Nie znałem osobiście – jak moi polscy koledzy – solidarnościowych „zadymiarzy”. Jestem wysoki, nie mogłem się wtopić w tłum. Trzeba było uważać, żeby nie uszkodzić sprzętu, nie dać się oblać sikawką milicyjną i jeszcze zrobić dobre zdjęcia. To nie było takie łatwe. Byłem kiedyś na Lwowskiej na występie podziemnego teatryku. Było to bardzo ciekawe, ale proszono, żebym nie robił zdjęć. Inni dziennikarze mogli to chociaż opisać. Zdjęcia ze struktur „Solidarności” robił Erazm Ciołek. Dużo dobrych zdjęć z tego okresu wykonał też Wojciech Łaski z Francji.

Były oczywiście wydarzenia, które mnie mocno poruszały – pogrzeby czy bici ludzie. Osobiste wzruszenie nie może jednak przeszkodzić w robieniu zdjęć, które przyczynią się do piętnowania zła.



## „Nie rozwijasz się”

Mimochodem stałem się fotoreporterem politycznym. Tak wyszło. Choć wcale nie twierdzę, że robiłem lepsze zdjęcia niż koledzy. Plusem jest to, że moje archiwum historii Polski jest w kolorze.

Jestem „per ty” z Lechem Wałęsą. Podczas ostatniego spotkania na zimowej olimpiadzie w Salt Lake City powiedział mi, że on z elektryka został prezydentem, a ja ciągle jak byłem fotoreporterem, tak nim jestem nadal. Zarzucił mi, że się nie rozwijam.

Moje ulubione zdjęcia? Często nikt ich nie widział. Nie są polityczne. Natomiast zawodowo fotografowałem komunizm, jego skutki i upadek również w innych krajach. To był temat mojego życia.

Opracował Jarosław Wróblewski



Fot. z archiwum rodzinnego autora

23 lutego 1961 r. z rodzicami i siostrą (od lewej: Chris, Helena, Jan i Krystyna) przed pałacem Buckingham w Londynie. Ojciec otrzymał tego dnia od królowej MBE (Member of the Order of the British Empire) za pomoc Polakom po wojnie.

# NIE PODAWAĆ – NIE DOPUSZCZAĆ – ELIMINOWAĆ...

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze „Biuletynu IPN” ukazała się interesująca relacja Piotra Szubarczyka poświęcona gdańskim echem pojawienia się w 1977 roku dokumentów GUKP-PiW, czyli cenzury. Pozwalam sobie sprostować jedną informację i jedną opinię, albowiem „Biuletyn” z założenia winien być możliwie najbardziej miarodajnym źródłem historycznym na temat dziejów najnowszych.

Informacja: Niezwykle cenne dokumenty wywiezione do Szwecji przez Tomasza Strzyżewskiego spotkały się ze sceptycznym przyjęciem, ale... dyrekcji Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa oraz Redaktora „Kultury”, którzy obawiali się prowokacji, nie wierząc w autentyczność dokumentów. Wówczas zwrócił się on do wydawnictwa Aneks w Londynie, w którym zajmowałem się m.in. powstającą wtedy serią książek (zanim wydawnictwem książek zajęła się ze znakomitym skutkiem moja żona, Nina).

Wstępną i pozytywną weryfikację prawdopodobnej autentyczności dokumentów przeprowadził mieszkający wówczas w Lund na emigracji Andrzej Koraszewski oraz Jerzy Diatłowski z Warszawy, przebywający na urlopie w Szwecji. Rozpocząłem wielotygodniowe, trudne negocjacje, przekonując T. Strzyżewskiego, że być może w latach pięćdziesiątych ktoś na Zachodzie byłby w stanie wypłacić mu oczekiwane kilkaset tysięcy dolarów... Zapewniliśmy, że Aneks uczyni wszystko, by zagwarantować T. Strzyżewskiemu prawa do wszelkich honorariów, szczególnie zagranicznych. Ostatecznie udało mi się go skłonić do przekazania dokumentów. Ze wszystkich zobowiązań finansowych, znacznie jednak poniżej oczekiwań „autora”, wywiązaliśmy się.

Rozpoczęliśmy przygotowania do publikacji w wydawnictwie Aneks dwutomowej „Czarnej Księgi Cenzury PRL”. Jednocześnie uznaliśmy, że mamy w ręku polityczną bombę, i podjęliśmy pryncypialną decyzję o przekazaniu dokumentów do KSS „KOR” po to, by właśnie opozycja w kraju – a nie emigracja – rozpoczęła polityczną ofensywę. Tak się też stało. Zbiór ukazał się w dwóch wersjach: pierwsza, o ograniczonej objętości poprzedzona oświadczeniem członków KOR-u i listem T. Strzyżewskiego, oraz druga, z szerszym wyborem dokumentów, ze znakomitym wstępem Stanisława Barańczaka (ukazała się nakładem wydawnictwa NOWA). Dokumenty wywołały ogromne wrażenie w Polsce i na świecie i bez wątpienia przyczyniły się do zdynamizowania działań opozycji i osłabienia prawomocności władz PRL.

Skłoniłem T. Strzyżewskiego do tego kroku, albowiem ogromnie mu zależało, poza samym aktem politycznym, na umożliwieniu przyjazdu do Szwecji jego żony i córki. Tłumaczyłem, że władze PRL będą bardziej skłonne zrezygnować z represji wobec jego rodziny, jeśli cała sprawa zostanie nagłośniona i przez opozycję w kraju, i przez nas na Zachodzie.

Artykuły problemowe z fragmentami dokumentów cenzury oraz wywiady z T. Strzyżewskim ukazały się w najważniejszych gazetach w Europie i USA, w opracowaniu nadawały je RWE i BBC. Okazało się to skuteczne i po kilku miesiącach żonie i córce pozwolono na wyjazd do Szwecji.

Całość w dwutomowej edycji „Czarnej Księgi Cenzury PRL” ukazała się w Aneksie, po czym była trzykrotnie dodrukowywana i uzyskała ogromny, jak na warunki emigracyjne, bo ponad 10-tysięczny nakład, z czego ponad połowa została przemycona do kraju.

Opinia u Piotra Szubarczyka, że „list i paczka wzbudziły początkowo nieufność działaczy KOR (obawa o prowokację)” jest więc nieuzasadniona, albowiem przesyłka pochodziła od nas z Londynu, a byliśmy bardzo bliskimi, codziennymi współpracownikami Komitetu. Po kilku dniach po dotarciu przesyłki w rozmowie telefonicznej Adam Michnik podziękował „za niezwykle prezent”.

Najwyraźniej Autor zasugerował się opinią T. Strzyżewskiego, który na emigracji zaangażował się w działalność wspierającą KPN i kierował się wyrażonym w listach do mnie przekonaniem, że powinien być otrzymać więcej pieniędzy za przemycone dokumenty cenzury. Wiem, że nie było mu lekko, również z powodów rodzinnych, niemniej rosnące zgorzknienie z czasem zaczęło wpływać na jego oceny poszczególnych osób oraz ugrupowań opozycji. Niemniej powyższe uwagi dotyczące kwestii finansowych nie powinny przystaniać istotnych motywacji patriotycznych, którymi bez wątplenia kierował się T. Strzyżewski, miesiącami kopiując dokumenty cenzury, a następnie przemycając je do Szwecji. Odegrały one bowiem ważną rolę w procesie ukazywania prawdziwego, często absurdalnego, charakteru władz PRL.

W nadziei na publikację powyższego listu przesyłam wyrazy szacunku

**Eugeniusz Smolar**

## Od autora

Nie znam dokładnie perypetii Tomasza Strzyżewskiego po przedostaniu się na Zachód z rewelacyjnym zbiorem dokumentów, obrazujących działalność cenzury prewencyjnej typu sowieckiego w Polsce. Nie znam też szczegółowo roli Eugeniusza Smolara i wydawnictwa Aneks jako pośredników w sprawie. Tematem mojego artykułu, czy raczej wspomnienia, było przedstawienie – z pozycji „prelegenta” podczas „nielegalnych” spotkań w Gdańsku – reakcji ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu zetknęli się z niszczycielską działalnością tego rodzaju cenzury. Zrelacjonowałem też to, co mówiło się wówczas w naszym gdańskim środowisku (SKS, ROPCiO, później RMP) o materiałach Strzyżewskiego. A mówiło się, iż materiały są tak wstrząsające, że początkowo nawet Komitet Samoobrony Społecznej KOR, ich depozytariusz w kraju, miał wątpliwości co do ich autentyczności. Zastanawiał duży odstęp czasu od udanej ucieczki Tomasza Strzyżewskiego do Szwecji (marzec 1977 r.) do oświadczenia KSS KOR (18 listopada 1977 r.).

Informacje Eugeniusza Smolara są cennym uzupełnieniem mojego wspomnienia i za to dziękuję. Muszę jednak wyznać, że nie podoba mi się ton nagany wobec Tomasza Strzyżewskiego i wyraźna sugestia, że głównym motywem jego czynu mogła być chęć „sprzedaży” wywiezionych materiałów. Nie pasuje do takiej sugestii jego odważne publiczne oświadczenie z 18 października 1977 r., zaczynające się od słów: „Ja, Tomasz Strzyżewski...” i zawierające ważne wyznanie: „Uświadomiwszy sobie ogrom niszczycielskich możliwości i zasięg destrukcyjnego wpływu cenzury na kulturę narodową oraz świadomość społeczną Polaków, zdecydowałem się wyostać i ujawnić opinii światowej możliwie najobszerniejszą i dobraną w najbardziej reprezentatywny sposób część dokumentacji tajnej GUKPPiW [Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk]”. Pieniądże? Tak,

**LISTY** były mu bardzo potrzebne. Był w obcym kraju, bez żadnych gwarancji, że podejmie pracę i będzie miał środki utrzymania, kiedy przestanie być gwiazdą sezonu. W Polsce zostawił żonę, 3-letniego synka i półroczną córeczkę, których za wszelką cenę chciał ściągnąć do Szwecji. Wiedział, jakiego figla spłatał komunistom, a wyobrażenia podsuwała mu obrazy, po których raczej ciężko zasnąć. Prosił KSS KOR o „rozciągnięcie opieki nad dziećmi” i wyrażał obawę, że „mogą one paść ofiarą zemsty”. Że nie były to obawy gołostowne, świadczy los licznych esbeckich ofiar tego czasu lub choćby późniejsza historia rodziny płk. Kuklińskiego. W pieniądzech mógł widzieć środek do rozwiązania swych problemów.

Nie ma wątpliwości, że rewelacje Tomasza Strzyżewskiego przyspieszyły w kraju proces kształtowania się środowiska opozycji antykomunistycznej, co zaowocowało podczas Sierpnia. Choćby z tego powodu o dzielnym eks-cenzorze z Krakowa należy mówić z większym szacunkiem.

**Piotr Szubarczyk**





# ŚP. TOMASZ STRZEMBOSZ (1930–2004)

## Autorytet

Profesor Strzembosz wysłuchał tematu, proponowanego przeze mnie na doktorat, zadał kilka pytań, poinformował, że jestem „już trzydziesty pierwszy” w jego notesie, a potem wyjaśnił: „Jest zwyczajem tego seminarium, że mówimy do siebie po imieniu”. Zwrócić się po imieniu do człowieka, który jest w wieku twoich rodziców, a do tego jest powszechnie znany i szanowany, to nie takie łatwe. Z czasem przekonałem się jednak, że w tej formie „Tomaszu” było więcej naszego szacunku, respektu i przyjaźni dla Mistrza niż w najstarszej dobranej formie z *savoir-vivre’u*. A Tomasz wiedział doskonale, że ta bliskość, podkreślona przez bezpośrednią formę, bardziej nas zmobilizuje do pracy niż najsurowsze, „panaprofesorские” wymagania.

Wiosną Tomasz powiedział nam na seminarium, byśmy mówili o swoich historycznych lekturach, bo „ja sam dowiedziałbym się czegoś nowego”. Przypomniałem sobie wtedy znaną sentencję wielkiego Seneki: *Docendo discimus* – ucząc innych, uczymy się sami. O to prawdziwy Mistrz! On nie musi udawać, że wie wszystko. Nie tędy droga do autorytetu.

Piotr Szubarczyk, OBEP IPN Gdańsk

## Mistrz

Nie miałem tyle szczęścia co moi koledzy z KUL i moje pierwsze spotkanie z Profesorem nastąpiło już po studiach – w 1991 r. Na gościnne seminarium doktoranckie trafiłem jako nieznany Mu współpracownik Archiwum Wschodniego – inicjatywy, której naukowo wówczas patronował. Była nas – jak pamiętam – trójka ludzi „sposo”, patrzących z pewnym zdziwieniem, a może i z zazdrością, na więzy, jakie łączyły grupę magistrów z KUL z Mistrzem – na otwartość, szczerłość i szacunek, jakimi się darzyli. Dzięki Jego cieplej, przyjacielskiej postawie i domowej atmosferze comiesięcznych spotkań z wolna i my stawaliśmy się „strzemboszowcami”, dla których poczucie więzi środowiskowej i wspólne spojrzenie na historię (zwłaszcza tę kresową) stanowiło niebagatelną wartość. Przez szereg lat odwlekałem sprawę sfinalizowania doktoratu, wierząc mimowolnie, że stan taki może trwać wiecznie. Kiedy się w końcu zdecydowałem, miałem nieodparte odczucie, że toczymy z Profesorem – już wówczas ciężko chorym – wyścig z czasem. Mimo poważnego stanu zdrowia był ze mną do samego końca. Los tak chciał, że jestem Jego ostatnim doktorantem. Fakt ten jest dla mnie bardzo zobowiązujący i symboliczny zarazem.

dr Tomasz Łabuszewski, naczelnik OBEP IPN Warszawa

## Nauczyciel

W kilka dni po śmierci Tomasza, o którym my, uczniowie, najczęściej mówiliśmy Mistrz, słowa nie układają się w zdania. W pamięci odżywają obrazy z naszej ponaddziesięcioletniej znajomości, fascynacja historykiem i Człowiekiem z krwi i kości. Jak wyraziste jest wspomnienie Tomasza z sarmackimi wąsami(!) z wyprawy do Puszczy Augustow-

skiej w 1990 roku, kiedy to mieliśmy szczęście po raz pierwszy dłużej razem przebywać. Na kwaterze w Mikaszówce zawstydził nas, gdyż w robieniu „pompek” nikt mu nie mógł dorównać. Nawet w ciężkiej chorobie pozostał młody i pełen radości życia. Wtedy – w Mikaszówce – uderzyło mnie, z jakim szacunkiem zwracał się do ludzi. Tych prostych kochał chyba najbardziej. Jako historyk potrafił wiele z nich czerpać. Z Tomaszem zawsze chciało się być, bo on, „wielki” Profesor, nie przytłaczał, lecz inspirował.

Był jak czyste złoto. Jeżeli są definicje słów „godność”, „nauczyciel”, to on najlepiej je utożsamia. Razem z Jego towarzyszką życia – Panią Marylą Strzemboszewą – tworzyli wspólny związek. Ona zawsze była pierwszą recenzentką Jego tekstów, a naszym Dobrym Duchem. To, co najlepszego można powiedzieć o przyjaźni, skupiło się w tej parze.

dr Janusz Marszałec, naczelnik OBEP IPN Gdańsk

### **Wdzięczność**

Profesor jest i pozostanie dla mnie człowiekiem najbardziej godnym szacunku – jako Mistrz, pod którego kierunkiem doskonalono się moje pojmowanie historii i pod którego duchowym przywództwem powstały moje dotychczasowe prace – ale też jako Człowiek, pełen ciepła, skromności i niezwykłej życzliwości, który w bardzo dla mnie trudnym momencie życia, gdy wydawało się, że przeciwnościom losu nie ma końca, w sposób najbardziej naturalny i oczywisty okazał mi swoją pomoc. Niezapomniane pozostają, odbywające się w domu Profesorostwa, spotkania seminaryjne, na których kształtował się warsztat doktorantów, badaczy Polskiego Państwa Podziemnego. Jestem dumny i wdzięczny, że mogę należeć do grona uczniów Profesora.

dr Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki, OBEP IPN Kraków, Delegatura Kielce

### **Obiady**

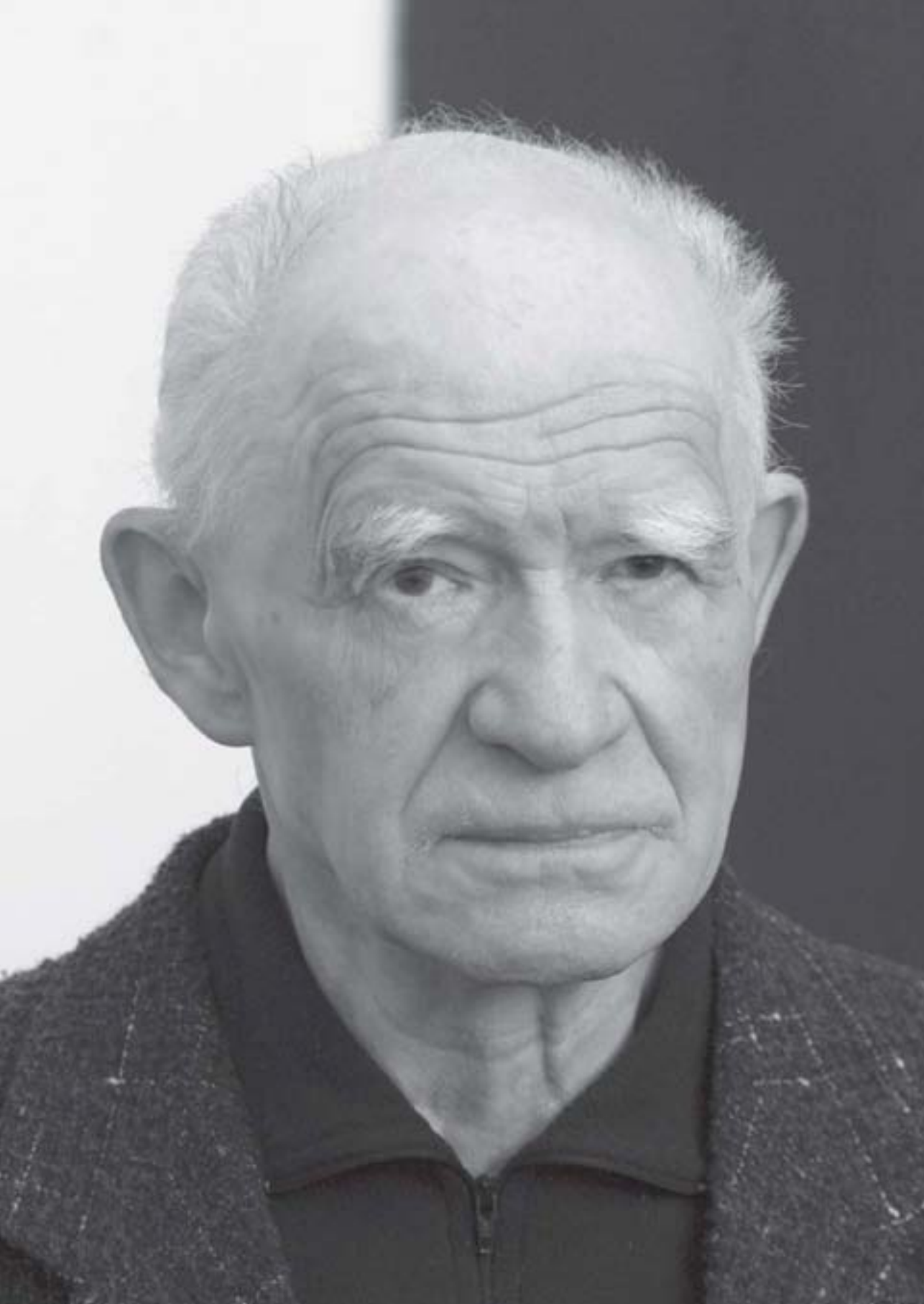
W przerwie seminariów naukowych w domu Profesora panie zabierały się do tego, co umiały najlepiej, czyli do przygotowania obiadu. Po problemach naukowych, którymi karmiliśmy dusze i umysły, wszyscy wyczekiwali na coś dla ciała. W kuchni królowała pani Marylka, żona Profesora, wspierana naszymi skromnymi siłami. Każdy przynosił na ten wspólny posiłek to, co mógł. Rozmowy na tematy naukowe przy obiedzie zwykle okazywały się bardzo owocne. Łatwiej było znaleźć odpowiedź na trudne problemy. Przy wspólnym stole wytwarzała się też między nami więź, jaka łączy grupę przyjaciół.

Bernadetta Gronek, dyrektor BUiAD

### **Chwile ciszy**

Wdzięczna będę Tomaszowi za atmosferę seminaryjnych spotkań, gdzie gromadziło się tylu ciekawych ludzi. Wdzięczna za mądre słowa i za to, co brzmiało pomiędzy nimi. Słyszałam je jako zachętę – podejmij ten wysiłek, zobaczysz, że warto. Warto – choć wcale niełatwo, Tomasz bowiem pięknie i szeroko pojmował tematy badawcze, lecz w badaniach podkreślał wagę precyzji.

Wdzięczna będę za uwagę, z jaką słuchał naszych wypowiedzi, i za głęboki namysł przed każdą odpowiedzią i radą, której nam udzielił. Lubiłam bardzo chwile ciszy, które



zapadały, zanim Tomasz zabrał głos. Zapamiętam ciepło i spokój tych spotkań oraz zaangażowanie w nasze sprawy i problemy.

Justyna Skowronek, OBEP IPN Gdańsk

### Wykład

Na wykład monograficzny prof. Tomasza Strzembosza na KUL chodzili wszyscy. W małej sali (na 15 osób) mieściło się nawet 30–40 studentów. Bywali tam mediewiści, nowożytnicy, bywali nawet studenci z innych kierunków.

Przyciągał jego sposób prowadzenia zajęć: z pasją, z umiejętnością pokazania istotnych szczegółów, plastyczność wypowiedzi. Było to równie atrakcyjne jak temat wykładu. Formalnie brzmiał on (były to bowiem lata 80.): „Działalność partyzancka w Polsce podczas II wojny światowej”. Faktycznie zaś: „Partyzantka antysowiecka na przykładzie losów ppłk. Jerzego Dąmbrowskiego »Łupaszki«”. Temat, szczególnie w okresie komunizmu, bardzo „gorący”.

Wtedy zaczęła się moja (i nie tylko moja) fascynacja osobą Profesora. To spośród słuchaczy jego wykładów wyrosło grono historyków, którym zaszczepił konieczność dążenia do odkrycia prawdy i umiejętność analizy szczegółów przy jednoczesnym niezatrucaniu wizji całości problemu.

Piotr Niwiński, OBEP IPN Gdańsk

### Szacunek dla prawdy

Jeszcze w 1990 r. nie byłem zdecydowany, na jaki temat chcę pisać pracę magisterską. Dlatego na seminarium przedstawiłem prof. Tomaszowi Strzemboszewi do wyboru trzy tematy: podziemie antykomunistyczne na Mazowszu, postawy moralne w obozach koncentracyjnych i konflikt polsko-ukraiński w Bieszczadach. Profesor bez wahania wybrał ostatni, stwierdzając, że najwyższy czas, aby historycy zajęli się tą właśnie problematyką. Tak zaczęła się moja prawdziwa przygoda z historią. W trakcie badań niejednokrotnie dotykałem spraw bolesnych i wstydlivych. Nigdy jednak nie spotkałem się z Jego strony z niewiarą czy powątpiewaniem w odkrywane fakty. Czasem jedynie sugerowałem znalezienie dodatkowych źródeł, potwierdzenie relacji, sporządzenie listy ofiar. Zawsze wyłącznie po to, by prezentowany obraz był pełniejszy.

Prywatnie, konsekwentnie starał się nie obarczać innych swoimi troskami. Kiedy powiedział, że przez tydzień nie będzie można z nim się skontaktować, bo udaje się do szpitala na „drobny zabieg”, który okazał się... operacją wszczepienia rozrusznika serca. Pomimo to niedługo później, we wrześniu 2000 r., w piekielnym skwarze zdobyliśmy górę Demerdzi na Krymie.

Grzegorz Motyka, OBEP IPN Lublin

### Książka

Na początku 1996 r. zbierałem materiały do pracy magisterskiej o majorze Janie Taborowskim „Bruździe”. Wiązało się to z licznymi i częstymi wyjazdami w odległe zakątki Polski. Skromny budżet studenta nie mógł tego udźwignąć. Po kolejnym seminarium podszedłem do Profesora i powiedziałem, że nie będę w stanie napisać pracy na ten temat, nie zdążyłem dodać, z jakich powodów, kiedy usłyszałem: „Panie kolego, jak tonąc, to na głębokiej wo-

dzie!“. Kiedy już udało mi się wyjaśnić, na czym polega problem, Profesor powiedział: „To nie jest problem, przyjedziesz do mnie do Warszawy, dostaniesz ode mnie 200 dolarów z mojego grantu. To powinno wystarczyć. Warto, bo to będzie dobra książka“. We mnie to stwierdzenie wywołało przerażenie, bo nie napisałem wtedy jeszcze ani jednego wersu...

Sławomir Poleszak, OBEP IPN Lublin

## **Bieszczady**

Od chwili pierwszego spotkania z Profesorem Tomaszem Strzemboszem moją uwagę zwrócił bardzo osobisty i ciepły stosunek do każdej z osób goszczących w progach Jego domu na comiesięcznych spotkaniach seminaryjnych. Niezależnie od tego, czy tą osobą był początkujący słuchacz, czy też stały już bywalec, wytrawny uczestnik seminarium doktorskiego. Pamiętam te pierwsze wypowiedziane przez Niego słowa powitania: „Ja mam na imię Tomasz, a ty...?“ . Wspominam również widok Jego drobnej sylwetki usadowionej centralnie za stołem sporej wielkości, otoczonej przeważnie półkołem oddanych Mu osób, tak różnych pod wieloma względami (wiekiem, charakterem, doświadczeniem naukowym, zawodowym itp.), a pomimo to bardzo sobie bliskich.

Najgłębiej jednak wryły się w moją pamięć obrazy z seminariów wyjazdowych. Szczególnie zaś z tego, które odbyło się w końcu września 2003 r. w Bieszczadach. Być może fakt, że byłem jego organizatorem, oraz to, iż zbiegło się ono w czasie z moimi urodzinami, tylko wzmacnia dzisiaj moje odczucia. Cieszyłem się wówczas z tego, że mogłem sprawić wielką radość Profesorowi, który jak mówił, powrócił w Bieszczady po niemal czterdziestu latach nieobecności (świadczyły o tym posiadane przez niego mapy z tego okresu z niezaznaczonym jeszcze Jezio-rem Solińskim), a jak się później okazało, po raz ostatni. Przemierzał razem z nami (seminary- stami) oraz nieodłącznym swoim druhem, psem Bartem, spowite jesienną aurą bieszczadzkie lasy i połoniny. Już wtedy przechodził poważną chorobę oczu, która tak naprawdę nie pozwala- ła Mu upajać się pięknem gór. Pamiętam jak dziś słowa Tomasza, gdy opisywałem Mu pano- ramę widzianą ze szczytu Małej Rawki: „Mariuszu, zmuszony jestem uwierzyć Ci na słowo“. Był bardzo silnym człowiekiem. Pomimo swojego podeszłego wieku niemal zawsze w charaktery- stycznym berecie, tzw. traperach, z pasem i przewieszoną przez ramię torbą, potrafił przemie- rzać wielogodzinne trasy górskich wycieczek z uśmiechem na twarzy i anegdotą na ustach. Po powrocie na kwatery, wieczorem, przy nieodłącznej gorącej herbacie, prowadził z nami długie dysputy na nurtujące Jego i nas tematy historyczne.

Mariusz Zajączkowski, OBEP IPN Lublin

## **Niezgoda na bylejakość**

W 1990 r. na seminarium prof. Tomasza Strzembosza przygotowywałem pracę magi- sterską na temat antykomunistycznego podziemia na Zamojszczyźnie. W tym czasie dostęp zarówno do akt aparatu bezpieczeństwa, jak i dokumentów własnych podziemia był bardzo utrudniony, a uczestnicy wydarzeń pozostawali nieufni i niełatwo było zbierać ich relacje. Zniechęcony piętrzącymi się trudnościami, poprosiłem Profesora o zmianę tematu. Powie- dział wówczas: „Panie Rafale, jak spadać, to z wysokiego konia“. I pracę napisałem.

Kiedy oddał mi sprawdzony maszynopis, na jednej ze stron zobaczyłem dwukrotnie podkre- ślone czerwonym długopisem i opatrzone kilkoma wykrzyknikami zdanie, które bezrefleksyjnie przepisałem z relacji: „»Kostek« puścił serię z rewolweru“. Na marginesie widniała uwaga:

„Rewolwer nie strzela seriami”. Ta właśnie niezgoda na bylejakość i pozytywne motywowanie nas (seminarzystów) do wysiłku świetnie charakteryzowały podejście Profesora do jego uczniów.

Rafał Wnuk, OBEP IPN Lublin

### **Autentyzm**

Na seminarium Profesora trafiłam wiosną 2001 roku. Wcześniej znałam tylko jego książki, które oczywiście wykreowały moje wyobrażenie o Nim. Byłam bardzo ciekawa pierwszego spotkania. Mogłabym w tym miejscu wymienić wiele cech, które stanowiły o wyjątkowości osoby Profesora. Ale najsilniejsze wrażenie wywołała konstatacja, że mówił dokładnie takim samym językiem, jakim pisał swoje książki. Pomyślałam wtedy, że znam tego człowieka od lat. Z perspektywy czasu myślę, że jest to jeszcze jedno potwierdzenie tego, że był Człowiekiem o bardzo przejrzystej osobowości, w tym sensie, że we wszystkim, co robił, był autentyczny, niczego nie udawał, a jednocześnie nawet wtedy, gdy się z kimś nie zgadzał, czynił to z ogromną kulturą osobistą. Jako historyka cenię Go przede wszystkim za to, że starał się pisać historię, uwzględniając jak najszerszy kontekst problemu, którym się zajmował.

Agnieszka Jaczyńska, OBEP IPN Lublin

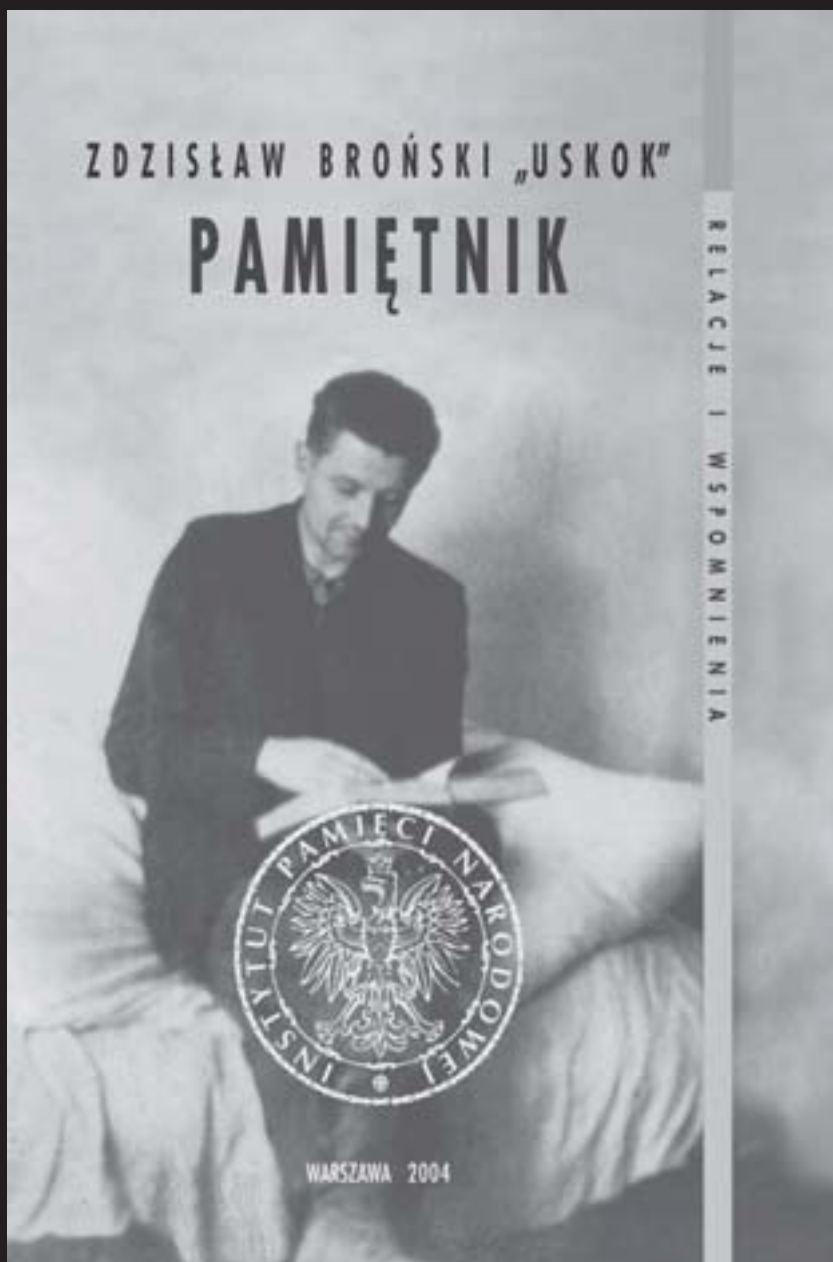
### **Twarz**

Sobota 23 października 2004 r. była dniem pożegnania Profesora Tomasza Strzembosza. Żegnała Go piękna polska jesień i słońce, skrzypce i harcerska trąbka, tysiące oczu oraz ta cisza, w której jeden gasnący płomień zapala dziesiątki niewidzialnych ogników. Była tam młodzież i starsi.

Moje pierwsze seminarium. Profesor podał mi rękę i kazał mówić „Tomasz”. Zaniemówiłem... Był przede wszystkim harcerzem (dziś nie wszyscy rozumieją, co to znaczy), potem profesorem (powiedzmy... starej daty). W życiu codziennym należał do ludzi odważnych – nie kłaniał się ani pochlebcom, ani oszczercom. A w zamęcie słów – i to z perspektywy czasu może okazać się najważniejsze – zdołał zachować jedną twarz. I ta twarz przetrwa wszystkie burze.

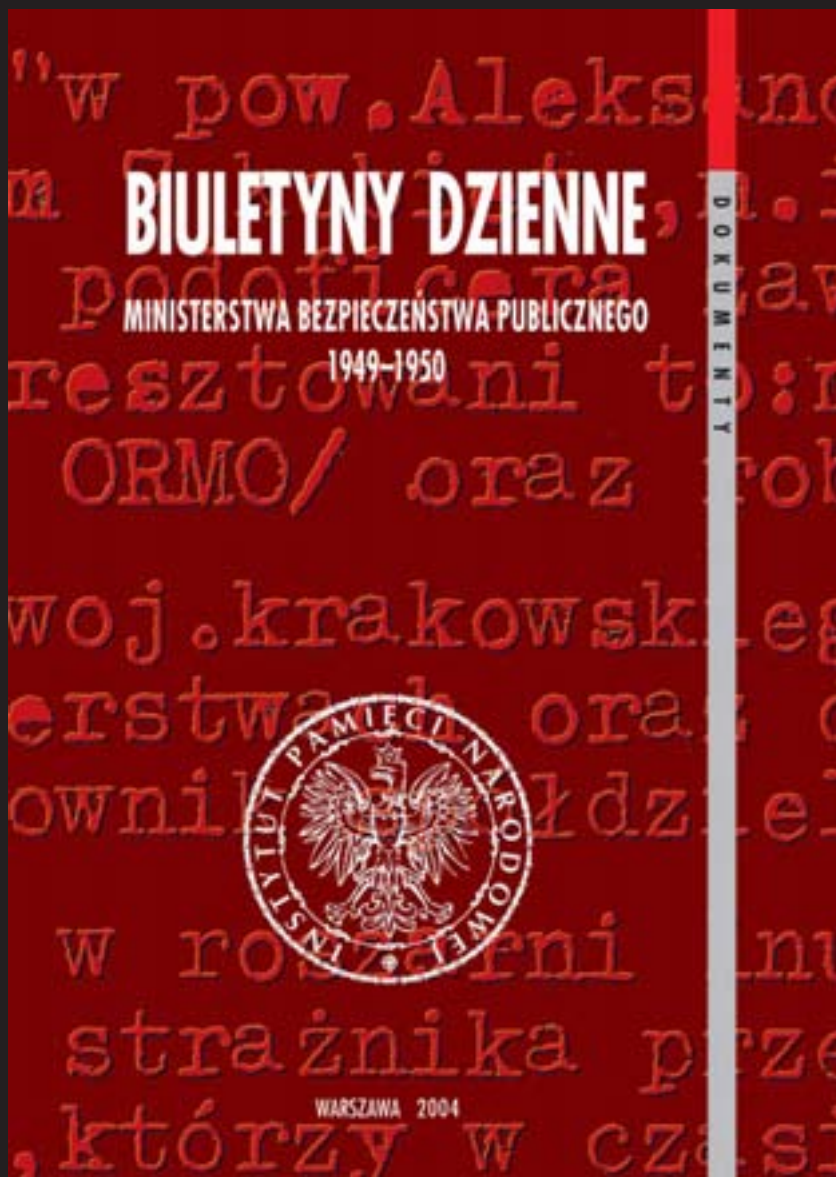
Ryszard Surmacz, OBUiAD IPN Lublin

# NOWOŚCI IPN



Zdzisław Broński „Uskok” (1912–1949), od jesieni 1943 r. dowodził oddziałem partyzanckim w Obwodzie AK Lubartów, brał udział w akcji „Burza”. Po „wyzwoleniu” walczył z komunistami. Zginął otoczony w bunkrze, gdzie przez dwa lata ukrywał się przed UB. Ukrywając się, spisywał wspomnienia. Jest to źródło unikatowe, gdyż pozwala poznać motywy, jakie skłoniły żołnierzy wyklętych do pozostania w konspiracji. Ze wspomnień przebija zdumiewająca wyobraźnia społeczna i polityczna autora, który trafnie analizował zmieniającą się sytuację międzynarodową i wewnętrzną w Polsce.

# NOWOŚCI IPN



*Biuletyny dienne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z lat 1949–1950 zawierają dokładne informacje o sytuacji w Polsce widzianej z perspektywy centrali „bezpieki” w Warszawie. Jest to obraz zdeformowany nieustannym poszukiwaniem wroga klasowego, ale niezwykle cenny, dzięki szczegółowości podawanych faktów, często skądinąd nieznanymi. Informacje z biuletynów wpływały też na politykę wewnętrzną państwa. Wersja drukowana zawiera wybór fragmentów, przede wszystkim opisów nastrojów i oporu społeczeństwa oraz aresztowań z powodów politycznych. Niektóre notatki ukazują reakcje ludności na wydarzenia polityczne i społeczno-gospodarcze. Na dołączonej płycie CD znajduje się zeskanowany pełny zbiór biuletynów z lat 1949–1950.*